E. TOMASZEWSKI

WIDMO niedźwiedzia



Książnica Atlas

WIDMO NIEDŹWIEDZIA

EDWARD TOMASZEWSKI

WIDMO NIEDŹWIEDZIA

OPOWIADANIE HISTORYCZNE
Z XIV W.

KSIĄŻNICA-ATLAS * LWÓW-WARSZAWA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ KONSTANTY M. SOPOĆKO

2863

DRUKARNIA L. WIŚNIEWSKIEGO WE LWOWIE, UL. OSSOLIŃSKICH 16
PRINTED IN POLAND

ROZDZIAŁ I

w którym Wicherek nazwał Otka kpem

Wiosna r. 1353 jaśniała w pełnym przepychu, roześmiana słońcem, upstrzona barwami kwiecia, zielonością, radosna, słodka, ożywcza. Już z wyżyn i pagórków leśnych, otaczających kotlinę lwowską, spłynęły w setnych strumykach wody ze stopionych śniegów, już i wyrwy po nich zazieleniły się trawą. Od świeżo zoranych pól powiał zapach surowej ziemi, a od puszczy zieleniejącej się krajami szedł niemilknący świegot ptasząt. Rankami i wieczorami ciągnęły się mgły białe po lasach, łąkach i ugorach, a zwłaszcza po mokradłach, które poza górą zamkową na północnej stronie rozłożyły się szeroko. Szła wiosna, taka jak co roku piękna i wonna, a przecież nowa; oczekiwana długo i z niecierpliwością, witana z radością po smutnej zimie.

Co prawda jednak, w tym roku, w którym opowiadanie nasze zaczynamy, ludziska nie mieli co narzekać na zimę; lekką bowiem była i krótką. Poprzedzająca ją jesień ciągnęła się długo, omotawszy pola i lasy babim latem. Gdzieś dopiero po Bożym Narodzeniu pocisnął troszkę mróz i świat się zabielił śniegiem. Ale trwało to krótko. Już z końcem stycznia nastały odwilże i deszcze padały obficie, a po połowie lutego

ziemia była już czarna, bez śladu śniegu, szumiąca potokami, płynącymi po jarach i pagórkach. Lekkość zimy omyliła i zwierzęta. Dzwonkowy trel skowronka przepędził precz zbierające się na skraju puszczy wrony i nawet wilków było niewiele. A przecież bywało w inne ciężkie zimy podchodziły one pod osiedla ludzkie i nierzadko, podkopawszy się pod obory, bydlęta porywały. Czynili ludzie na nie łowy i sposobami różnymi tępili, ale było ich takie mnóstwo, że i sporej gromadce ludzi niebezpiecznie było włóczyć się po puszczy. W tym roku było ich niewiele. Może pociągnęła je zima w inne okolice, bardziej przez nią objęte, może znalazły gdzie indziej obfitszy żer dla siebie, dość że się z nimi spotkać było trudniej. Za to niedźwiedzie, które promienie słoneczne zbyt często budziły, włóczyły się po puszczy i rykiem napełniały powietrze.

Natura ludzka jest jednak dziwna; zawsze i we wszystkim więcej złego dopatruje się, niż dobrego. Różne i z tej lekkiej zimy ludzie wróżby wieścili, a wszystkie smutne i złe. Jedni tedy przepowiadali nieurodzajne lato, twierdząc uparcie, że gdy śnieg w zimie zawiódł, to w lecie deszczem spłynie, zaleje wszystko, zamuli i zniszczy. Inni przewidywali zarazę, która, gdy mróz w zimie nie ścisnął, łatwo na wiosnę mogła zagrozić bezbronnej wobec niej ludzkości. A jeszcze inni, a tych było najwięcej, przepowiadali rychły napad Tatarów. Często wychodzili na okoliczne wzgórza, upatrując, czy nie zaświta na niebie złowroga łuna, widoczny znak mordu i zniszczenia.

W tym kraju, w którym od lat wielu mało było chwil spokojnych, ostatnia ta wróżba łatwo spełnić

się mogła. I nie tylko od Tatarów groziła pożoga, łez i krwi rozlanie. Był nieprzyjaciel bliższy, co pod bokiem tej ziemi siedział i ręce po nią wyciągał. A był nim książę litewski Lubart. On to dwa lata temu, pod niebytność króla Kazimierza, który chorobą złożony leczył się w Krakowie, kraj ten ogniem i mieczem spustoszył, ludzi pobił, a dostawszy w moc swoją gród lwowski, przez pół zrównał go z ziemią. Posiłkowany niektórymi bojarami ruskimi zagarnął Wołyń i siedział tam, pilnie patrząc na Ruś Czerwoną, aby i ją dostać w swe ręce. Nic to, że go przed kilku laty król Kazimierz w niewolę ujął, na nic poszły przyrzeczenia, jakie wraz z Kiejstutem złożył królowi. Po wypuszczeniu z niewoli rzucił się zaraz na tę nieszczęsną ziemię i tak we krwi pławiącą się, aby ją do cna spustoszyć. Mord, pożoga, rabunek i niepewność czasów odstręczyły od niego wielu sprzyjających mu dotąd bojarów, a chęć zaznania spokoju skłoniła ich ku Kazimierzowi. A zwłaszcza ostatnia napaść Lubarta przed dwoma laty, nieludzko krwią zaznaczona, zdawało się, że odmieniła ich serca i umysły.

Tymczasem gród lwowski dźwigał się z ostatniej pożogi. Uprzątnięto zwaliska, otoczono nowym wałem i palisadą dziedziniec zamkowy, naprawiono bramy i mosty. Na zwaliskach, na podgrodziu powstawały nowe budynki, a w dzielnicy ormiańskiej i niemieckiej poczęło tętnić życie kupieckie i rozległ się młot rzemieślniczy. Na stołach kramarskich przy ormiańskiej cerkwi św. Anny złociły się znów złotogłowie i wschodnie materie, a przy ubogim kościółku św. Jana ruch panował do późnego zmroku. Gród stawał się tym, czym był za życia Jerzego II, siedliskiem handlu,

łącznikiem Wschodu z Zachodem i zdawał się zapominać o przebytych klęskach.

Nie zapomniał jednak o nich pan Abraham z Baranowa, który starostą był na grodzie z rozkazu króla. Na dziedzińcu jego dworu dniem i nocą czuwano. Codziennie na zwiady wyjeżdżało po parę ludzi ku wschodowi, skąd można było spodziewać się nowej napaści. Dniem i nocą na zamkowej górze wartownik zapuszczał w bezkresną dal oczy, pilnie śledząc niebo i ziemię. Po grodzie uwijało się rycerstwo i pachołki, przyjeżdżający nieraz z dalekich stron kraju. Bramy grodu zamykano już o zmroku i nie wpuszczano ani nie wypuszczano nikogo bez pozwolenia. Zdarzało się tylko czasem widzieć wieczorem poza grodem rycerza lub pachołka, który z ważnym poleceniem szedł gdzieś szybko, najczęściej w stronę zamkowej góry.

I teraz właśnie przy zmierzchu dnia zaparła się brama za jakimś młodzieńcem, który szybkim krokiem ruszył wąską uliczką podgrodzia ku widocznemu z dala kościółkowi N. P. Marii Śnieżnej. W mrocznych uliczkach pomiędzy domkami przemknęła czasem jakaś postać milczkiem idąca i zniknęła w jakimś zaułku lub w drzwiach domu. Czasami skrzypnęły gdzieś drzwi i płomień ogniska domowego oświetlił na chwilę drogę. Młodzieniec szedł pomiędzy domkami krokiem szybkim a niejednostajnym, bo czasem, jakby mu nie wystarczała szybkość jego kroków, przyspieszał je lub nawet biegł kawałek. Kręte uliczki znał widocznie dobrze, bo pomimo leżących gdzieniegdzie belek zwęglonych od pożaru, mimo dołów, gęsto tu i tam rozkopanych, nie potknął się ani razu, zręcznie zapory owe przeskakując.

Wyminąwszy kościółek, ruszył dalej, okrążając podnóże góry. Domki tutaj stawały się coraz rzadsze, natomiast częściej było widać zorane łany ziemi a wśród nich kępki drzew na miedzach. Wreszcie zgoła już w czystym polu u samego podnóża piaskowej góry zamajaczył przed nim dom, którego tylko czubek dachu wystawał spoza wału i parkanu. Parkan ten, a raczej częstokół, do samego prawie szczytu zasypany był ziemią ubitą i pokrytą darnią. Chłopak nawet nie starał się dojść do furtki, lecz rozpędziwszy się wbiegł na nasyp, przełożył nogę przez palisadę i przyłożywszy dłoń do ust, krzyknął:

— Hej! Lisek! Wicherek! Wyjdź no który!

Na owo zawołanie pojawiły się zaraz za palisadą dwa ogromne kundysy, naszczekując głośno i drapiąc się na wał, a równocześnie buchnęło światło przez otwarte drzwi i postać dziewczyny stanęła na progu.

— A kto woła? — spytała cienkim głosem.

— To ja, Marychna, ja Otek! Odgoń psy, bo mi jakę potargają.

— Zaraz, zaraz! — odkrzyknęło dziewczę — Burek, Zagraj, poszły precz psy! Cóż ci to tak pilno, żeś wieczorem z grodu wyszedł? Masz sprawę do oćca?

— Nie do oćca, a do Wicherka — odpowiedział zapytany, zeskakując lekko z nasypu i zbliżając się do dziewczyny. — Oćca pewno i tak w domu nie ma?

— Jakbyś zgadł. Jest na górze, bo pan starosta przykazali pilnie straże stawiać.

— A Wicherek jest?

— Poszedł z końmi do wody, co go tylko nie widać. Wejdź do izby i poczekaj!

— Ej, nie! Pójdę mu naprzeciw. Wracać mi trzeba

migiem. Spotkam go na drodze, to mu sprawę opowiem. Ty mu tylko nagotuj jedzenia na jutro, bo w drogę jedziemy. Lisek pewnie u oćca Grzegorza?

— A ino!

— No to bądź zdrowa!

Tu zwrócił się i chciał znowu wbiec na nasyp, ale dziewczyna schwyciła go za rękę.

— Czekaj wariacie, czyś oszalał! Dokąd jedziecie i z czym?

— On ci sam to powie. Nie pytaj, bo to dużo mówić, a mnie naprawdę pilno. Bywaj zdrowa!

To mówiąc, wyrwał się zdumionej dziewczynie z rąk i w kilku skokach znikł za nasypem, kierując się w pole. Niedaleko jednak ubiegł, gdy w ciemności zatupotały kopyta i z mroku wyłoniła się trójka koni, idąca ze spuszczonymi łbami, a na jednym z nich siedział na oklep wyrostek z rozpiętą na piersiach koszulą, gwiżdżąc jakąś beztroską melodię.

— Hej, Wicherek! To ty? — zabrzmiało z ciemności.

— Ja! Cóże tam? — odezwał się powolny głos.

— Zsiadaj migiem z konia, albo lepiej zażeń konie do domu i przyjdź tu. Ale migiem, bo mi spieszno!

— Czego się tak palisz? Tatary idą, czy co?

— Mówię ci nie marudź, ino wracaj prędko, bo ci kości poprzetrącam. Jak ja do ciebie o tej porze darł się bez te przeklęte wertepy, to jużci musi być coś ważnego. A mówię ci wracaj migiem, bo będzie źle!

Mówiąc to uchwycił Otek ułamaną jakąś gałąź z ziemi i tak nią śmignął po nogach konia Wicherka, że ten jak oparzony podskoczył, a potem ruszył ku domowi, trzęsąc głową i prychając. Otek pozostał na

miejscu, a wyszukawszy w pobliżu wrośnięty pień, czerniejący z trawy, usiadł na nim i oparłszy głowę na rękach, popadł w zadumę.

Tymczasem cicha i ciemna noc wszystko dookoła spowiła swą płachtą czarną. Zniknął w niej domek, do którego Wicherek pognał konie, zniknęły okoliczne lesiste pagórki, skryła się w niej i góra zamkowa. Na niebie rozbłysły gwiazdy mrugające, ale ich promienie ciemności ziemskich nie rozjaśniały. Owszem, przy gwiaździstym niebie czerń ziemi tym bardziej się uwydatniała.. Ciszę przerywało tylko sapanie Otka, ale i to powoli ustawało. Minęła spora chwila, zanim od strony domku zatupotały bose nogi biegnącego Wicherka. Otek podniósł głowę, ale szybkość biegnącego widocznie go nie zadowalała, bo strzepnął niecierpliwie rękami i wstając z pnia zawołał:

— Żywo, żywo! Kiep był ten, kto ciebie Wicherkiem nazwał, bo tyś bardziej do ślimaka podobny. Ruszasz się jak patyk w wodzie, a mówiłem żebyś migiem wracał.

Biała koszulina przysunęła się bliżej do mówiącego i rozlazły, znudzony głos odpowiedział:

— Mój Otku, przecież goniłem, jak mogłem, a po drugie Wicherkiem nazwałeś mnie ty sam. Com więc winien, żeś ty kiep.

— Ja kiep? — zawołał gniewnie Otek. — Ja, któremu sam pan starosta takie ważne zlecenia daje, jako na przykład dziś, miałbym być kpem? To ty, pokrako, jakiej świat nie widział...

— Com ci winien? Czyż nie mówiłeś, że kiep nazwał mnie Wicherkiem? A któż mnie tak nazwał, ha?

— Cichaj! — zawołał Otek, tupnąwszy z gniewem nogą. — Cichaj, mówię ci, bo ci takie lanie sprawię, że cię rodzona matka nie pozna!

— Jakoż ma mnie poznać, kiej leżą w grobie? I to ci powiem, że bez to, żem sierota, to ty tak na mnie pomstujesz, boś pierwej tego nigdy nie czynił.

— No, no — rzekł udobruchany nagle Otek. — Nie bądź głupi. Żem ci tam trochę nagadał, to tylko bez tę twoją powolność, a nie bez to, żeś sierota. Ja się bardzo spieszę, a ty mnie tu zatrzymujesz, jeszcze kpem nazywasz.

— Ano, bo po prawdzie...

— Cichaj, powiadam ci, pókim dobry! Będziemy mieli dość czasu na gadanie. Słuchaj, co ci rzekę: Wybierz sobie ze swoich koni jednego, ale chwackiego wałacha i czekaj na mnie jutro, przed świtem, pod krzyżem leśnym, wedle traktu gliniańskiego. Weź spyży trochę i przyodziej się przystojnie. Oćcu powiesz, że jedziesz ze mną, bo tak pan starosta kazali i za kilka dni wrócisz. Bądź zdrów, bo ja już muszę iść!

— Dy poczkaj! Czyś zgłupiał? — zawołał, chwytając go za rękę Wicherek. — Gdzie jedziemy? Po co?

— Do Lublina, a po co, to się w drodze dowiesz.

— Jakżeż my do Lublina gliniańskim traktem pojedziem, toć że to droga do Halicza? Nam by drogą na Chełm jechać trzeba.

— I tak pojedziem. Gliniańską puszczą wykręcim na chełmski gościniec, aby nas ode Lwowa nikt nie uwidział. I to ci rzekę, abyś gębę miał zamkniętą i nikomu nie gadał, gdzie jedziesz.

— Nawet oćcu?

— Oćcu możesz powiedzieć, ale przed innymi milcz!

Kiej cię kto zapyta, skręć jak chcesz, byś prawdy nie powiedział, bo to tajemnica.

— To nas tylko dwóch jedzie?

— A dwóch.

— I nie wolno więcej?

— A kogoż więcej weźmiesz?

— A Liska.

— Czekaj Wicherku, Liska — Hm! Dobrze by było, żeby on był z nami, bo nasze ręce, a jego głowa świat zawojować mogą. Ale nie wiem, czy się pan starosta zgodzą, aby i on jechał. A przydałby się, bo chociaż on tchórz wierutny, ale że chytry, to chytry. A nam różnie po drodze wypadnie, jako że do Lublina szmat drogi. Ha, co ma być, to będzie! Weź go! Na jedno wyjdzie, bo jakby pan starosta nie pozwolili, to i tak do domu daleko wracać mu nie przyjdzie. Weźcie broń, jaką macie, i jutro do dnia czekajcie mnie pod leśnym krzyżem. I to ci mówię, nie pytaj więcej o nic, bo noc krótka, a przygotować się trzeba. Bywaj zdrów!

— Idź z Bogiem! A żeś o mnie nie zabaczył i bierzesz mnie ze sobą, niech ci to Pan Jezus wynagrodzi, mój Otku...

Ale Otek już nie słyszał błogosławieństwa towarzysza, bo puściwszy się między domki pędził tak, że wśród ciszy nocnej daleko było słychać jego prędkie, przytłumione nieco piaskiem kroki. Wicherek stał jakiś czas na miejscu, gładząc swoje długie konopiaste włosy, a potem ociężałym krokiem zawrócił ku domowi i zniknął w ciemnościach nocy.

ROZDZIAŁ II

w którym autor opowiada o trzech towarzyszach i o spotkaniu się ich pod krzyżem

Młodzieniec, który tyle zamętu, a równocześnie i radości pozostawił w duszy Wicherka, nazywał się właściwie Mieczysław i był synem szlachetnego rycerza Ottona z Pilczy herbu Topór. Tenże przed rokiem 1352 był krótki czas starostą na grodzie lwowskim, a zwano go „panem Otą“. Był to człek rycerski i do króla bardzo przywiązany, toteż gdy król potrzebował go w Krakowie, chętnie tam podążył, zdając na rozkaz króla starostwo Abrahamowi z Baranowa. Ale zdał mu nie tylko starostwo, lecz także i syna swego, owego właśnie Mieczysława, którego przyjaciele imieniem ojca przezwali. Był on jedynym synem Ottona i całą jego troską; mimo to nie zawahał się powierzyć go przyjacielowi od serca, Abrahamowi, aby się u niego sztuki rycerskiej i pasa dosłużył. Matka chłopaka pieściła i przez palce patrzała na jego chłopięce wybryki, a wybryków tych było wiele. Gorąca natura Otka objawiała się w całym jego postępowaniu, ale przykład ojca i słodycz matki a i wrodzony chłopcu szlachetny charakter powściągały tę jego gorącość. Uprosił ojciec dominikanina ojca Grzegorza, który był przełożonym braci przy kościółku św. Jana, aby go wyuczył na książce czytać. Ale taka to była i nauka. Otek na znaki pisarskie w księdze ojca Grzegorza patrzał jak na poskręcane węże. Nużyły go one i nudziły i chętnie od nich uciekał w las albo na harce z towarzyszami. Nauczył się wprawdzie czytać, ale innych wzniosłych nauk, które mu poczciwy ksiądz chciał

włoczyć do głowy, ani rusz nie dopuszczał. Lubił natomiast niezmiernie słuchać opowiadań rycerzy o ich przygodach czy bitwach, a wtedy czarne jego oczy iskrzyły się zapałem, a muskularna dłoń zaciskała się dookoła mieczyka, z którym się prawie nigdy nie rozstawał. Po wyjeździe ojca, oddany na dwór starosty Abrahama potrafił szlachetnym obejściem zyskać sobie łaski już i tak dobrego starosty.

Wśród towarzyszów swoich, których miał wielu, synów bądź to rycerzy, bądź bojarów, których na dworze nie brakło, najbardziej wyróżniał dwóch. Jeden z nich — właśnie Wicherek — był synem ubogiego rycerza Włodka, a drugi nie wiadomo czyim był synem, sierotą przez rycerza Włodka do domu przygarniętym, a zwany Liskiem. Z tymi dwoma łączyła Otka przyjaźń od lat najmłodszych, chociaż stan posiadania ich ojców różnił się bardzo. Rycerz Włodko, przybył jeszcze do grodu za czasów Jerzego II, miał kilka łanów ziemi, na których gospodarzyła siostra Wicherka, Marychna, po śmierci matki jedyna gospodyni w domu. Ojciec, będąc strażnikiem na zamku, mało w domu bywał, całe gospodarstwo zatem spoczywało w ręku Marychny.

Dziwny był ten Wicherek. Z całego świata nic sobie nie robił, zawsze powolny, mówił głosem znudzonym, a czynił wszystko tak, jakby go ktoś gwałtem do tego zmuszał. Jeśli go Otek nazwał Wicherkiem, to chyba w przeciwieństwie do wiatru, bo był powolny, rzeczywiście jak ślimak. A chłop był setny. Wysoki, barczysty i choć w życiu niezgrabny, gdy przyszło walczyć lub w nagłej potrzebie stawał się zawzięty jak niedźwiedź, a gibki jak ryś. W życiu codziennym był to chłopak niemrawy, zamyślony wiecznie, z wyłupiastymi nie-

bieskimi oczyma i potarganymi zawsze płowymi włosami. Nigdy się nie śmiał, ale też i nigdy nie płakał, a cierpliwy był, jak rzadko kto. Dokazałby nie lada sztuki ten, kto by go do gniewu przywiódł lub do śmiechu pobudził. Był zupełnym przeciwieństwem gwałtownego i narwanego a równie szlachetnego Otka.

A ten trzeci? A Lisek? Kto by tam odgadł, co w nim siedziało. O dwóch tylko cechach jego charakteru wszyscy wiedzieli; że był tchórzliwy jak zając a chytry jak lis. Nazywał się właściwie Jakub, przynajmniej tak siebie nazywał, gdy go rycerz Włodko, podróżujący wówczas z pewnym kupcem ormiańskim, do Lwowa przywiózł. Ale już od maleńkości w domu strażnika Włodka okazywał swoją chytrą naturę. Wścibił się wszędzie, choć go nie proszono; gdy go usunięto drzwiami, wracał oknem, a tak się potrafił przyczaić, że nikt z rozmawiających nie był pewny, czy przy nim Lisek nie stoi i nie podsłuchuje. Nie był jednak fałszywym, bo tajemnicy sobie powierzonej nigdy nie zdradził, a dowiadywał się o wszystkim jedynie z wrodzonej mu ciekawości. Tchórzliwą swoją naturę porzucał, gdy chodziło o Otka lub Wicherka. Dla nich gotów był narazić się na największe niebezpieczeństwa, chociaż w ich towarzystwie kpił sobie z nich w żywe oczy. Kochał ich jak braci, a już dla Marychny był po prostu prochem u jej stóp. Ona jedna tylko go znała, dla niej jednej miał tylko dobre słowo na ustach i ogromną miłość w sercu.

Ledwo świt począł rozpraszać ciemności nocne, gdy pod leśnym krzyżem, na gliniańskim gościńcu zatupotały kopyta końskie. To jechał Otek. Niecierpliwa jego natura wyrwała go pierwszego z łoża. Jechał, oglądając

się na wszystkie strony, czy na piaszczystej drodze nie dojrzy go jakaś postać ludzka. Widocznie wyprawa jego musiała zostać dla ludzi tajemnicą, bo przybywszy pod krzyż, stojący przy drodze, tuż pod ścianą lasu, nie zsiadł z konia, lecz okrążywszy pagórek z krzyżem, zaszył się w krzaki i tam dopiero stanął. Koń jego, dziarski bułanek, zabrał się zaraz do ogryzania liści z krzaków, a Otek zeskoczywszy na ziemię, począł przeglądać juki i poprawiać rzemienie. Ubrany był dostatnio, w liliową jakę, narzuconą na spodnią koszulę takiegoż koloru, pięknie lamowaną, przepasaną suto nabijanym i szerokim pasem, za którym tkwił krótki a szeroki miecz. Nosate bardzo buty z cholewami, poza kolana zachodzącymi i świecące ostrogi zdały się mówić o dalekiej podróży, jaka go czeka. Krucze swoje włosy, ujęte w pątlik, nakrył atłasową liliową czapeczką, spod której wyglądała smagła, rumiana lekko twarz i czarne, niespokojne, ogniem buchające oczy. U kulbaki na koniu przytroczył łuk i sajdak, pełen strzał, na plecach chybotał mu się róg, brązem oprawiony, a z boku zwisał ciężki, bojowy topór, z rękojeścią suto inkrustowaną.

Już Otek opuściwszy konia, niecierpliwić się zaczął, raz po raz na drogę wyglądając, gdy z nagła doleciał go głos krotochwilnej piosenki:

Hej! Czyżeś ty oszalał,
Hej! czy nie masz rozumu!
Stoi karczma przy drodze,
A ty jedziesz do domu!
Hej!

Wyglądnąwszy spoza krzaków na drogę Otek aż

plasnął w ręce na widok jadących swoich kompanów i śpiewających na całe gardło.

— Bogdaj was psi zjedli! — zawołał gniewnie, ale półgłosem. — Drą się psiajuchy, aż las echo niesie. A to głupie chłopy!

Ale „głupie chłopy“, nie słysząc słów gniewnego Otka, śpiewali dalej wesoło:

Hej! Rycerz ja ci rycerz,
Hej! Mieczyk mam u pasa,
A bojam ja się, bojam
Iść w biały dzień do lasa!
Hej!

Czy głos już z bliska dochodził, czy to głośne „Hej“ tak podrażniło Otka, bo wybiegł na drogę jak oparzony i wyciągnąwszy gniewnie pięści, krzyknął:

— Cichajcie, głupie chłopy!

— A bez co mamy cichać? Słyszy nas to kto? A choćby i słyszał, to i co? — odkrzyknął Wicherek.

— Dy mówiłem wczoraj, byś gębę trzymał zamkniętą, a ty cały gród chcesz zbudzić na swój odjazd!

— Wiera, mówiłeś. Ale ja nie o Lublinie śpiewam, a o bojaźliwym rycerzu.

— Co śpiewacie, to śpiewacie. Szyjcie się w krzaki, by was oko ludzkie nie widziało. Sprawa jest ważna, a według rozkazania pana starosty nikt o niej wiedzieć nie śmie.

Podpędzili więc konie w krzaki i ustawiwszy je koło Otkowego konia, pozeskakiwali na ziemię i otoczyli Otka. Obaj mieli na sobie brązowe jaki i żółte, z wysokimi cholewami buty. Na głowach, których włosy również upięte były pod pątlikiem, mieli czapki tego

koloru co i odzież, a prócz mieczy za pasem, takaż broń, co i u Otka, wisiała przy kulbakach ich koni. Lisek był spośród nich najniższy, ale w jego oczach niespokojnych a rzutkich, na białym wysokim czole i na lekko do uśmiechu ściągniętych ustach, widna była pewność siebie i chytrość. On pierwszy zagadnął Otka:

— Powiadaj, co za sprawa i po co my jedziemy?

— Powiem, ale w drodze. Nie mamy czasu do stracenia. I to wam powiem, że tu nie chodzi o samego pana starostę ani o nasze głowy, ale o nasz gród chodzi nieszczęsny, który jeśli nie całkiem łońskiego roku zgorzał przez tego zbója Lubarta, to ninie do szczętu zgorzeć może.

— Bajesz — zaśmiał się Lisek. — Lubart z królem pojednał się na wiosnę i siedzi gdzieś na Litwie. Za daleka mu do nas droga.

— Czy daleka, czy nie, nie moja rzecz. Tak powiedzieli mi pan starosta i ja mam ich słuchać. Teraz ano wyjdźmy pod krzyż i polećmy się Panu Jezusowi, bo powiadam wam, że czeka nas długa droga i niebezpieczna i kto wie, co nam się wydarzyć może.

Rzekłszy to, wyglądnął spoza krzaków na drogę, a gdy ujrzał, że na drodze pusto i głucho, ruszył pod krzyż, a za nim dwaj towarzysze. Tu uklękli na ziemi i przeżegnawszy się nabożnie, kornie pochylili głowy, szepcąc pacierz.

Tymczasem las budził się do życia. Zerwał się lekki wiaterek i potrząsając gałęźmi drzew, rozbudził śpiące ptaszki, które wnet śpiewem swoim napełniły cały las. I szła ku niebu modlitwa puszczy, szemrzącej pacierz swój poranny, zmieszana z pieniem ptaszków i westch-

nieniami chłopców, a pierwszy promień wschodzącego słońca zaczerwienił ich twarze ciche i rozmodlone.

Po chwili podnieśli się z ziemi, a poprawiwszy raz jeszcze popręgi u siodeł i rzuciwszy okiem na broń, lekko dosiedli koni.

— W Imię Boga, w drogę! — zawołał Otek.

Po czym przeżegnali się raz jeszcze krzyżem szerokim, pobudzili ostrogami konie i zaszyli się w las, pełen ptasiego gwaru, mroczny i tajemniczy.

ROZDZIAŁ III

w którym Otek opowiada o zleceniu pana starosty

Początkowo jechali drogą leśną, piaszczystą i gęsto śladami kół pooraną. Nad nimi zwisały gałęzie buków i dębów, a dołem ocierali się o krzaki jeżyn lub malin, lub o rozrosłe i gęste paprocie. Im dalej jednak, tym droga stawała się węższa, mniej uczęszczana, coraz bardziej trawą i krzakami porosła, aż wreszcie przeszła w ścieżkę, na której często trzeba było omijać leżące pnie mchem porosłe lub zbity kłąb krzaków. Mroczno tu było i miejscami mokro, a od ziemi szła woń przegniłych liści i ciepłe opary z bagienek i bajurek leśnych. Rzadko kiedy przez korony drzew promyczek słońca dotarł do ziemi. Zaczęła się puszcza leśna głucha i tajemnicza, w której wyznać się mógł tylko człowiek obyty z lasem i niebezpieczeństwami, jakie on krył w sobie.

Jechali milczkiem, ale im bardziej zagłębiali się w puszczę, tym więcej rozjaśniały im się twarze, tym spokojniej patrzyły oczy wokoło. Widać obyci byli

z lasem i nie mrocznej gęstwiny się bali, lecz oka ludzkiego, aby ich sprawy obcy człowiek na szwank nie naraził.

Wreszcie Lisek, który milczeć długo nie lubiał i już od dawna kręcił się w siodle, spoglądając na Otka zapytał:

— Zali pan starosta Abraham pozwolili ci brać towarzyszy, czyś sam od siebie nas zabrał?

— Jużci, że pozwolili — przytwierdził Otek. — I gdyby nie to, że popędzać trzeba i żem się bojał, aby nas kto nie uwidział na drodze, już bym wam wszystko dawno powiedział.

— Dy mówisz o tym od wczoraj, a my nic nie wiemy — obruszył się Wicherek. — Mnie się to dziwnie nawet wydaje, że mając dobrą drogę do Chełma, ty nas wiedziesz środkiem puszczy.

— Zaliś nie słyszał, com mówił, że mamy unikać ludzkich oczu. Na drodze mógłby nas kto zobaczyć, a mnie znają, żem jest giermek pana starosty i snadnie by się domyślili, żem jest od niego posłany. Czasy ninie niepewne i niewieda komu ufać, a kto zły. Skróś tego pojedziemy puszczą aż do traktu chełmskiego, który — jak wiecie — okrąża puszczę. Tam nas nikt nie zna, tam i my nikomu w oczy świecić nie będziemy. Co zaś do tego, czy mi pan starosta pozwolili was wziąć ze sobą, to muszę wam wszystko od początku opowiedzieć, bo i to niepewne, kto z nas trzech do króla dojedzie.

— Do jakiego króla? — zdziwił się Wicherek.

— Jak to do jakiego? Alboż mamy innego, jako nie miłościwie nam panującego króla Kazimierza? Chciałbyś, gamoniu, Lubarta, tego zbója litewskiego

królem nazwać, co nam gród łońskiego roku spalił i tyla ludzi pomordował?

— Nie bez to się pytam, jakobym nie wiedział, ale bez to, że mi dziwna ta nasza jazda do króla.

— Nie przerywaj, wałkoniu jeden — zniecierpliwił się Lisek. — Ujechaliśmy już setny szmat drogi, a ja nic nie wiem. Jakoż od was można dowiedzieć się czego, gdy jeden chce być bakałarzem, a drugi głupi jak but. Hej!

— Jedno za drugim powiadając, tak było — zaczął Otek. — Wczora od rana na dworzyszczu pana starosty były różne dziwa. Skoro świt przyleciał stary Jakiel, któren ma gospodę przy trakcie białohorskim, z wielkim krzykiem i lamentem. Ja byłem w sieniach, a wiedząc, że się jeszcze pan starosta nie ubrali, nie chciałem Żyda przepuścić. Ale on takiego lamentu narobił, że pan starosta na pół ubrany wyszli i zaraz go do siebie pociągnęli. Żyd z płaczem jął opowiadać, że jechał wczoraj traktem białohorskim ze swoim wozem, a że miał w Gródku zakupić kilka bydląt, wziął ze sobą dobrze wypchany mieszek. Tam go gdzieś o kilka stajań za karczmą napadł Koniucha i...

— To mi dziwno — przerwał Lisek — bom słyszał, jak rycerz Zawała, któren jest strażnikiem lasów i dróg, i pilnie baczyć ma, aby przezpieczeństwo od zbójów na drogach było, owo słyszałem jak opowiadał naszemu oćcu, że Koniucha od jakiegoś bojara z kuszy postrzelony, zmarł jeszcze na wiesnę.

— Nie wiem ja, jak to tam było — ciągnął Otek — jeno mówię, com słyszał. Owo tedy napadł Koniucha z kilku zbójami Żyda, odebrał mu pieniądze i wóz z końmi, jeszcze na dobitek obił go niemiłosiernie

pałką. Ledwo Żyd z rąk im się wydarł. Tedy pan starosta groźnie pojrzał na rycerza Zawałę, któren obok niego stał i począł mu czynić wyrzuty, że nie dba o drogi i pachołków nie rozstawia po nich, aby zbójów wyłapać, że to wstyd, aby pod samym grodem zbóje rabowali i żeby im nie można było dać rady. Wymawiał się rycerz Zawała, jak mógł, ale nie mógł gniewu pana starosty złagodzić. Wyszedł tedy na dziedziniec, a zwoławszy pachołków, jacy pod ręką byli, wysłał ich, aby przetrząsnęli lasy i zbójów połapali. Nie wiem, czy się im to uda, bo Koniucha sprytny jest i już się gdzieś pewnie w jakąś mysią norę skrył.

— Bo i pewnie, że tak — przytaknął Lisek. — On ci to przecież łońskiego roku napadł na Woznesenie, chłopów pobił, bydło zabrał i konie i przepadł, jak kamień w wodę. Ho, ho, Koniucha to spryciarz, jakich mało!

— Bez to i mnie się wydaje, że to nadaremno, ale nie moja w tym głowa. Poszedł ci ano Jakiel do domu, lamentując i zawodząc po drodze, pan starosta zaś chodził potem gniewny i w odrzwia trzaskał. Więcem nie odchodził z sieni, bom się bojał, aby nie zastawszy mnie na miejscu, nie napomstował mi. Dobry on pan, ale jak się zgniwa, toby człowieka na kawałki posiekał. Ano siedzę ja i siedzę, aż gdzieś wedle południa idzie przez dziedziniec rycerz Zawała i jakowyś inszy rycerz z nim razem, com go jeszcze na dworze nie widział. Blachy miał godne na sobie, szmelcowane, a taki był zmęczony i spotniały, że mu włosy przylipły na głowie. Obadwa tedy poszli do komnaty pana starosty i coś tam długo gadali. Nie wiem o czym,

bom tam nie szedł, ale za kilka pacierzy kazali pan starosta zawołać księdza Marka. Tom już wtedy wiedział, że będzie jakoweś pisanie.

— A kto chodził po księdza? — spytał Lisek.

— Któż by? Jużci, że ja. Uwinąłem się wrychle, jako że do Panny Marii niedaleko, i księdza migiem przywiodłem. Długo oni tam radzili i pisali, bo już było przed wieczorem, gdy ksiądz poszedł, a pan starosta zakrzyknęli na mnie, abym wszedł. Siedział ci pan starosta na ławie za stołem, sam tylko i w ręku trzymał jakowąś rurę z blachy, u której na sznurku wisiała pieczęć. Spojrzał na mnie łaskawie i tak pada: „Słuchaj Mieczek, tyś chłopak sprytny i silny...

— To się pomylił — przerwał Lisek — bo kto cię zna, to by o tobie nie rzekł, żeś sprytny.

Otek aż konia ze złości wstrzymał, ale Wicherek popędził go i zawołał:

— Zamknij gębę, Lisku, bo ci tu obaj takie baty wsypiemy, że zaraz doma zawrócisz. Pedaj dalej, Otku, a na tego gamonia nie zważaj.

Ale Otek musiał naprzód wysapać złość, która w nim kipiała, a dopiero po chwili, spoglądnąwszy z ukosa groźnie kilka razy na Liska, ciągnął dalej:

— Owo tedy pan starosta tak rzekli: „Tyś chłopak sprytny i silny i wiem, że mi usłużysz dobrze. Weźmiesz tedy konia i broń, tyle że bez blach, i pojedziesz do Lublina do króla. Tam pod ten czas ma się król zatrzymać. Oddasz mu to pismo (tu mi podał ową rurę) i powrócisz nie zwlekając nazad. Gdybyś zaś króla nie zastał w Lublinie, nie czekaj ani go nie szukaj, ino wracaj. I to ci powiadam, abyś w drodze z nikim nie gadał, na oczy nikomu nie lazł, bo gdyby

poznano, że ja cię wysyłam, dużo by na tym ucierpiała sprawa naszego miasta, a i ty sam siła złego na swoją głowę mógłbyś sprowadzić. Bez to i lepiej by było, gdyby was pojechało dwóch alibo i trzech, bo wtedy i przezpiecznie by ci było w towarzystwie i dla onego pisma pewność większa. Jeśli tedy masz jakowegoś towarzysza, któremu można by zawierzyć, tedy umów się z nim i jutro do dnia wyruszaj, aby króla jeszcze w Lublinie zastać.“ Rzekłem mu tedy o tobie Wicherku, na co się zgodził. Wieczór, kiej od ciebie wróciłem, tom mu mówił o Lisku. Zgodził się, żeby i jego wziąć, czego mi żal ninie, bo ten gamoń w złość mnie wprowadza swoim głupim gadaniem.

— Głupie czy mądre, to się dopiero okaże — rzekł Lisek. — Gdyby tak na mnie padło polecenie pana starosty, tobym się wprzód wywiedział, co stoi w tym piśmie.

— A to na co?

— A na to, ty mądralo, żebym wtedy wiedział, kogo mam unikać. A ty tak jedziesz do króla, jak baran na zarżnięcie, jak ślepy w góry albo jak koń, co głową rucha, jakby siła wiedział, a nic nie wie.

— Jakoże było mi pytać o to? Czy to ja panu staroście równy, aby przede mną sprawę, jaką ma do króla, wypowiadał?

—Pytać nie pytać, a można było tak przepytywać cichcem, żeby ci sam powiedział w czym jest rzecz.

— Ja tego nie umiem.

— Jużci, dlatego też pedam, żeś głupi. Kiedy ci pan starosta kazali ludzi unikać, byś się spytał jakich ludzi, tobyś już w sedno utrafił. Bo jeśli bojarów, znaczy się od nich groźba idzie, a jeśli Węgrów alibo

innych zamorców, toby wtedy inaczej myśleć można. Anuż będziesz pomocy potrzebował, zali wiesz komu zawierzyć?

— Alboż nas trzech za mało? Chyba że ciebie już tchórz obleciał i chciałbyś do dom powracać. Wolna droga, jeno żeśmy kawałek ujechali, tobyś się sam bał wracać.

Tu roześmieli się obaj chłopcy, ale Lisek na to nie zważał, jakby nie do niego było mówione. Zamyślił się tylko nieco i dalej mówił:

— I to dziwne, czemu starosta pismo wysyła, spieszyć się każe, a króla szukać nie każe, gdyby go w Lublinie nie było. Cóż w tym jest? Czy ono pismo warte coś jeno wtedy, gdy król będzie w Lublinie?

— Musieć starosta kogoś jeszcze gdzie indziej wyśle, albo my, powróciwszy z niczym, znowu pojedziemy.

— Może to być, ale może i nie być, bo i kto wie, czy my wrócić zdołamy? Mnie się ta sprawa nie bardzo podoba. Za mało wiem, a jeśli czego nie wiem, to mi już źle...

— Co tu jest wiedzieć? — przerwał Wicherek. — Kazali jechać do króla — pojedziem, kazali pismo oddać — oddamy, kazali wracać — wrócimy. Nie nasza głowa w tym, co za sprawa i co nam grozi. Ty bo Lisku zawdyś taki. Kiej ci jeść dadzą, nie weźmiesz tego do ust, aż się nie dowiesz, kto zwarzył, z czego i na czym. Mnie za jedno, bylem robił, co mi każą.

— Prawda — przytwierdził Otek. — Dobrze mówi Wicherek. Kazali jechać — pojedziemy i tak wszystko uczynimy, aby było dobrze.

Rozmawiając tak i sprzeczając się, ujechali już

spory szmat drogi i słońce, przedzierające się miejscami przez korony drzew, dobrze już dopiekało. Konie jednak były zmęczone, bo jazda wśród puszczy nie była przyjemną. Las podszyty był gęstymi krzakami, za którymi nie wiadomo, co się kryć mogło. Nieraz przeskakując przez nie, wpadali w bagna aż po końskie brzuchy. Ale też nieraz natrafiali na polanki leśne, a wtedy puszczali konie w skok i gnali, aż póki ich nowe gąszcze lub bagna nie wstrzymały. Przy czym wjeżdżać musieli nieraz na dość wysokie góry, lasem pokryte, pełne strumyków szemrzących albo cienistych i grząskich wąwozów. Na szczytach takich wysokich pagórków, które czasami były łyse albo krzewem tylko porosłe, rozglądali się na wszystkie strony, ale prócz morza drzew, gałęzi i liści, chwiejących się pod ich stopami jak morskie fale, i orłów, krążących w górze nad puszczą niczego więcej zobaczyć nie mogli. Spuszczali się wtedy w dół, spokojni, że w tej chwili oni jedni byli panami tej pięknej i dzikiej przyrody.

Gdy wreszcie przebyli łańcuch gór zalesionych, którymi jak wiankiem, przerwanym tylko z północnej strony, lwowska kotlina otoczona była, wjechali w puszczę płaską już i suchą i nie tak gęsto krzakami podszytą. Ale też i konie ustawać zaczęły i łby chyląc ku ziemi potykały się ze zmęczenia. Trzeba było dać im odpocząć, a i chłopcom głód doskwierać począł, jako że do dnia wyjechawszy z domu, mało co zjeść mogli. Natrafiwszy tedy na osłonioną dolinkę, przez którą strumyk o kryształowej wodzie przepływał, zeskoczyli z koni, a popuściwszy im popręgów, puścili je na trawę. Sami zaś, zabrawszy z juków

żywność, usiedli nad strumykiem i milcząc, gryźli placki jęczmienne, okraszając je wędzoną, mocno czosnkiem woniejącą kiełbasą.

ROZDZIAŁ IV

w którym Lisek boi się Koniuchy, a zabija niedźwiedzia

Podjadłszy sobie do woli, legli pod drzewem, aby trochę odpocząć, a więcej, aby dać koniom wytchnienie, bo w drodze, która ich czekała, nie mieli koni na zmianę i musieli na tych dostać się do celu. Należało je więc szanować i zbytnio nie przemęczać, aby w drodze nie ustały. Leżeli więc sobie i omawiali swoją dalszą jazdę. Jeden tylko Lisek nie brał udziału w rozmowie. Siedział milczący, zadumany; rękami objął kolana, wpatrzony wzrokiem tępym i zdawało się bezmyślnym przed siebie. Nawet zwykły na jego ustach drwiący uśmiech pochował się gdzieś, a twarz w tej chwili ściągnięta, pełna była jakiejś wewnętrznej troski, nurtującej go. Zauważyli to i towarzysze, dziwiąc się, że Lisek taki zawsze rozgadany, teraz zupełnie do ich rozmowy nie miesza się.

Więc Otek, trąciwszy go kułakiem w bok, zagadnął:

— Ejże! czy nie masz ty czasem ochoty chrapnąć? Byłoby to gorzej, bo ciebie ze spania trudno jest obudzić.

— Nie do spania mi teraz — przemówił wolno Lisek — ano ważniejsze myśli przyszły mi do głowy.

— O czym?

— A o tym zbóju Koniusze.

— Ee, co tam, tym bym sobie głowę zaprzątał! Złapią go pachołkowie rycerza Zawały i pójdzie na gałąź.

— Nim ci go złapią, to nam może przyjdzie z nim potańcować.

— To ci powiadam, Lisku, żeś maruda — rzekł na swój powolny sposób Wicherek — albo cię tchórz oblata. Wiadomo nam przecie z tego, co Jakiel gadał, że Koniucha na trakcie białohorskim baraszkuje, a my od niego daleko. Co by on tu robił, kiej tu ani drogi, ani rozbijać kogo nie ma.

— A ty co o tym myślisz? — zwrócił się Lisek do Otka.

— To samo, co i on. Strachałbym się tam Koniuchy, jeszcze co? Zaszył się gdzieś ten zbój w krzaki, bojący się, aby go pachołkowie nie schwytali.

— To ja wam rzekę, że licho bardzo myślicie i wyrozumcie dlaczego.

— No?

— Dy jeśli prawdą jest, że Żyda na trakcie białohorskim ograbił, a musi być prawdą, boby Żyd lamentu nie czynił, to jako że myślicie, kędy się ów zbój skrył?

— Wlazł w puszczę i tam posiedzi bez ten czas, jak go szukać będą.

— Że wlazł w puszczę to pewne, ale rzecz w tym, w którą puszczę? Myślicie, że on taki głupi, aby w puszczy białohorskiej siedział? Tam by go pachołki wrychle dostały.

— Może i prawdę mówisz — przytwierdził Otek.

— A jeśli poszedł, to w jaką stronę? — pytał Li-

sek. — Nie lepiej mu skryć się w tej stronie, gdzie ludzi najmniej, a puszcza najgłębsza. A któraż puszcza najgłębsza, jeśli nie ta, po której my ninie chodzim? — Tak sobie myślę, że on w naszą stronę poszedł i miarkuję, że trza nam dobrze wytrzeszczać oczy, aby nieszczęścia nie było.

— Ee, choćby on tam siedział i po naszej stronie, co by miał zaraz na nas napadać. Zresztą czy to my toporów nie mamy?

— Mamy, ale siła złego na jednego, a Koniucha samotrzeć, a choćby i samoczwart nie chodzi. Ma ci on ludzi wiele i gorzej by nam było, gdyby nas napadł.

— A bez co miałby nas napadać? — rzekł Wicherek. — Albośmy to kupcy; albo wieziem towary, żeby się na nie łakomił?

— A konie? Nie darmo Koniuchą go nazwali; wielce on na konie łapczywy. Przy tym do kieszeni nam nie zaglądał i mieszków nie przetrząsał, czyż nie może myśleć, żeśmy zasobni w pieniądze? Wyrozumcie dobrze, com mówił, a potem powiedzcie „Ee".

Lecz zanim towarzysze mogli mu coś odpowiedzieć, odezwał się niedaleko nich ryk jakiś głośny, a tak zajadły i niesamowity w tej ciszy, która ich dotąd otaczała, że skoczyli na równe nogi, z oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia i grozy. Ryk ponowił się i przeszedł w skowyt przejmujący i zdawało się bliższy. Osłupienie chłopaków trwało jednak chwilkę tylko. Jakby na komendę pobiegli do koni, które stały nieruchomo, strzygąc uszyma i wietrząc niebezpieczeństwo. Tu odwiązali łuki i topory i stali chwilę, nadsłuchując bacznie. Ryki tymczasem stawały się coraz częstsze i silniejsze i odbijały się echem w róż-

nych stronach lasu. Na twarzy Wicherka i Otka nie było widać lęku, tylko jakieś skupione oczekiwanie. Lisek zaś wydawał się prawie skamieniały, czy ze strachu, czy z nagłości wydarzeń, ale i on położywszy u nóg topór, jako i jego towarzysze, nałożył na łuk strzałę i patrzał w las. Tymczasem oczekiwanie przedłużało się, a ryki nie ustawały, owszem potężniały jeszcze.

— Poczekajcie tu — szepnął Wicherek — ja pójdę spojrzeć, co ono takiego.

I nie czekając, zniknął skulony z napiętym łukiem za gałęziami drzew. Towarzysze stali dalej cisi i zasłuchani, z ręką na cięciwie, słuchając, czy nie odezwie się głos ich towarzysza. Ale poza wzmagającym się rykiem, który zdawał się czasem oddalać lub na przemian zbliżać, żadnego innego głosu słychać nie było.

Po chwili z gąszczy wyszedł Wicherek, z twarzą bynajmniej nie zatrwożoną, lecz cichy i ostrożny. Palec położył na ustach, jakby nakazywał milczenie i przysunął się chyłkiem do towarzyszy.

— Niedźwiedź! — szepnął.

— A bez co tak ryczy? — spytał podobnie Otek.

— Chciał ci pewnikiem wybrać pszczołom miód i cały rój opadł go. Teraz tarza się po ziemi, ryczy i łapami oczy wyciera.

— Cóż nam czynić?

Nastała chwila milczenia, a myśleć było nad czym. Niedźwiedź zaatakowany przez pszczoły, mimo bolu nie opuszcza rychło pola walki. Za swoje cierpienia chce sobie podniebienie osłodzić. Mogło to trwać dłużej, a ponieważ sprawa odbywała się na drodze, po

której przejechać musieli, mogłoby ich to dłużej na miejscu zatrzymać. Wdawać się zaś w niepewną walkę i narażać sprawę, z którą zostali posłani, mogłoby również złe przynieść owoce. Był jeszcze jeden sposób, a wydawałby się najłatwiejszy do uskutecznienia: po prostu siąść na konie i łukiem ominąć zagrożone miejsce. Lecz nasi peregrynanci zanadto byli doświadczeni w tych sprawach, aby nie wiedzieli, że konie poczuwszy niedźwiedzia, nie ruszą z miejsca i żadna ich siła do tego nie skłoni. Trzeba było coś postanowić i to szybko, bo niedźwiedź, opędzając się od pszczół, mógł i do nich zaglądnąć. Wprowadzony we wściekłość byłby bardzo niepożądanym i niebezpiecznym gościem.

Zamyśleni nad tą sprawą Wicherek i Otek mimo woli spoglądnęli na Liska, jakby od niego żądali rady. Tu jednak uderzyła ich zmiana, widna na twarzy przyjaciela. Takim go jeszcze nigdy nie widzieli. Był blady jak trup, a pot lał mu się strumieniem po twarzy. A ta twarz, taka zwykle uśmiechnięta i ładna, podobna była teraz zupełnie do paszczy wilka. Skurczone usta w grymas szatańskiego uśmiechu, zęby wystające spoza warg, a na nich piana wściekłości, zgroza, bijąca z oczu szeroko otwartych i błyskających dziko, oto obraz, który mógł naprawdę nastraszyć i tak już przerażonych kompanionów. Łuk odrzucił od siebie, a we wzniesionej do góry ręce trzymał topór, obuchem ku dołowi zwrócony.

— Co ci to? — zapytali obaj ze strachem. — Ocknij się, na miły Bóg! Czyś oszalał? Boisz się?

Lisek pokiwał przecząco głową i ciągnąc Wicherka za rękaw, wycharczał spoza zaciśniętych zębów:

— Chodźmy!

— Gdzie?

— Do niego... zarąbać... bydlę... trup... o... trup.

— Lisku, cichaj! Na miły Bóg, co ci to? Puść rękę!

Ale Lisek, z niebywałą u niego siłą, ciągnął Wicherka w gąszcze, kiwając głową na Otka i charcząc niezrozumiałe wyrazy.

Poszli więc za nim, więcej zestrachani jego wyglądem, niż grożącym im w każdej chwili niebezpieczeństwem. Przedzierali się przez gąszcze, przyciągani doniosłym rykiem rozwścieczonej bestii i wreszcie spoza krzaków wyglądnąwszy, zobaczyli ją.

Ciskał się na środku polanki, podrygując śmiesznie na tylnych łapach, a przednimi przecierał ślepia; to znowu rzucał się na ziemię i tarzając się po niej, starał się uniknąć kłujących żądeł pszczół, które chmurą nad nim zawisły. Dla dobrze zabezpieczonego widza byłoby to widowisko wcale śmieszne, nasi jednak chłopcy bynajmniej się nie śmieli. Przerażał ich i ten olbrzym, tarzający się na środku polanki, a więcej jeszcze ich przyjaciel. Oto wysunął się całkiem zza krzaków i pochylony, z wzniesionym toporem, chyłkiem ruszył ku niedźwiedziowi, wyrywając się trzymającym go towarzyszom. Sądzili oni, że mu się ze strachu pomieszał rozum i że czyni to wszystko bez przytomności. Lisek jednak nie zdradzał strachu. Było w nim coś innego: jakaś wściekłość, jakieś niezłomne postanowienie zgładzenia bestii.

Tymczasem niedźwiedź powstał na tylne łapy i kręcąc się w kółko, zobaczył szarpiących się chłopców, którzy oddaleni byli od niego ledwie o dwadzieścia może kroków. Stanął więc nieruchomy, nie

opędzając się już od pszczół, błyskając rozwścieklonymi ślepiami. Nie było czasu do stracenia. Więc Otek i Wicherek puścili wydzierającego się Liska i wymierzyli z łuków. Dwie strzały furcząc przeszyły powietrze i obie utkwiły w niedźwiedziu. Jedna wbiła się w szyję, chwiejąc się na boki, druga utknęła w oku. Niedźwiedź ryknął boleśnie, wyszarpał strzałę z oka i w mig połamał ją, jak trzcinę, potem począł się kręcić w kółko, chcąc dostać strzałę z szyi. Ale nie przebrzmiał jeszcze pierwszy jego ryk, gdy Lisek zwinnie przyskoczył i zadał mu straszny cios obuchem w czaszkę. Legł zwierz na ziemię od uderzenia, ale w tej chwili zerwał się i rzucił całym cielskiem w stronę, skąd padł nań cios. Lisek jednak odskoczył w bok i zabiegłszy mu od tyłu, zdzielił go ostrzem topora w kark, aż topór ugrzązł pomiędzy kręgami. Porzucił więc tarzającą się bestię i pobiegł przeciwko biegnącym mu na pomoc towarzyszom. Tu z wściekłym warczeniem, jak wicher rzucił się na Otka, obalił go na ziemię i wyrwawszy mu topór z ręki znalazł się w jednej chwili przy niedźwiedziu. Nie zważając na wściekłe ruchy rozżartej bestii, z której krew buchała posoką, począł go walić toporem gdzie padło, po łbie, po łapach, po brzuchu. Wreszcie zwierz legł i nie ruszał się zupełnie, ale Lisek ciąć nie przestawał. Czapka mu z głowy zleciała, włosy przysłoniły mu oczy, a odzież porwana pazurami konającego niedźwiedzia, darła się za każdym ruchem ręki.

Towarzysze stali jak wkopani w ziemię, szeroko otwartymi oczyma śledząc tę dziką walkę. Nie mogli

kroku postąpić z przerażenia i mimo woli przyszło im na myśl, że ten szalony ich towarzysz, po zmasakrowaniu niedźwiedzia, gotów i na nich w szaleństwie swym rzucić się.

A on nieprzytomny, bił toporem w niedźwiedzia, którego cielsko wyglądało już jak posiekana kupa mięsa. Nagle topór wypadł mu z dłoni, a on podniósłszy ręce do góry, kręcił się przez chwilę dokoła, a potem runął jak długi na ziemię, koło swej ofiary, charcząc głucho i drąc paznokciami ziemię.

Pobiegli tedy do niego, obrócili go z wysiłkiem na plecy i nie zważając na tnące ich pszczoły, poczęli przemawiać do niego najczulszymi wyrazami, aby go uspokoić. On jednak nie przestawał szarpać rękami, a tak strasznie zawracał oczyma i kurczył twarz, że wyglądała jak maska szatańska. Zza zaciśniętych zębów wypadały słowa dzikie i charkotliwe:

— Trup... trup... Widzisz trup... O! łapie za włosy... widzisz... za... włosy... trup... już trup... Puszczaj... puszczaj... rety... Jezu...!

— Wicherek! — krzyknął Otek. — Biegaj do źródełka i przynieś w czapce wody. Może go to odejdzie.

Wicherek, pierwszy raz może w życiu tak prędko, zerwał czapkę z głowy i pognał w las. Za małą chwilkę nadbiegł z ociekającą czapką i chlusnął przyjacielowi wodą w twarz. Ten wzdrygnął się i błędnym okiem, ale już spokojniej popatrzał na towarzyszy.

— Biegnij no jeszcze! — krzyknął Otek. — Widać mu to dobrze robi.

Kilka chluśnięć wodą rzeczywiście dobrze zrobiło Liskowi, bo uspokoił się, a nawet z pomocą towarzyszy podniósł się i poszedł zwolna do miejsca, gdzie

stały konie. Pszczoły porzuciły ich zupełnie, otoczywszy chmurą ścierwo swego pierwszego wroga.

Towarzysze posadzili Liska pod drzewem i sami usiedli przy nim, patrząc na niego niespokojnie. A on siedział blady, mokry, z oberwaną odzieżą i rozrzuconymi włosami, cichy, milczący, spokojny. Po chwili czerwone jego oczy nabiegły łzami i ukrywszy twarz w dłoniach, zapłakał Lisek tak gwałtownie, że poranione pazurami barki trzęsły mu się, jak w febrze.

Ale i dwaj jego towarzysze nie mogli się już dłużej powstrzymać. Nagłe spotkanie z niedźwiedziem, walka z nim, szaleństwo przyjaciela, a wreszcie ten gwałtowny, a niezrozumiały dla nich płacz, wyczerpał ich zupełnie. Łzy polały się im po twarzy i głaszcząc Liska pieściwie po głowie, przemawiali doń wśród płaczu, prosząc, by się uspokoił, aby nie płakał już i ich więcej nie martwił. Konie, uspokojone już, podeszły do swoich panów, pocierając ich łbami po plecach i rżąc z cicha.

ROZDZIAŁ V

w którym Lisek opowiada swoje sny koszmarne

Długo nie mógł się Lisek utulić w płaczu mimo perswazyj i namawiań towarzyszów. Widocznie jednak z wylanymi łzami spłynęło na niego ukojenie, bo oderwawszy wreszcie ręce od twarzy, spojrzał dokoła wzrokiem przytomnym i jakby ze zdziwieniem przypatrywał się swej postaci i podartej odzieży.

— W czymże ja teraz pojadę? — jęknął, próbując

uporządkować odzież. — Jakżeż mi jechać dalej z takimi dziurami i jak ludziom na oczy się pokazać?

— Wszystko to fraszka, Lisku — powiedział Otek. — Dobrze żeś do siebie przyszedł. Myśleliśmy, że ci się rozum pomieszał ze strachu przed niedźwiedziem. Któż to kiedy widział walić w pojedynkę z toporem w niedźwiedzia i do tego rozjuszonego żądłami pszczół? Dziękuj Bogu, że cię trupem tam nie zostawił; a bliski byłeś tego.

— Ja nie ze strachu to zrobiłem — szepnął Lisek.

— A bez cóż innego?

— Ja nie wiem. Wy mnie pomawiacie o to, że się stracham czego bądź, ale tak nie jest. Ja tylko nie lubię leźć niebezpieczeństwu w łapy, ale żebym się czego bojał, to nie.

— A czemuś to na oślep lazł niedźwiedziowi w łapy? I czemuś go tak bił bez pamięci? Mnieś wywrócił; myślałem, że moim własnym, wyrwanym mi toporem po łbie mnie zwalisz. Tyleśmy razy szli społem na wilki, czy dziki, czy innego zwierza, a tyś taki nigdy nie był.

— Bośmy też i nigdy niedźwiedzia nie spotkali.

— To i cóż? Taki ci był straszny, czy co?

— Ja nie wiem. Musi być we mnie coś, co mi spokoju nie daje, jak niedźwiedzia zobaczę.

— Albożeś go przed tym widział? — spytał Wicherek. — Sam powiadasz, żeś się z nim nigdy w życiu nie spotkał.

— Albo ja wiem. Widzi mi się, że musiałem z nim coś mieć do czynienia, gdym był jeszcze bardzo mały, ale już tego nie pomnę. I to wam powiadam — ino się ze mnie nie śmiejcie — że to jest nie całkiem ja-

sna sprawa z tym niedźwiedziem i ze mną. To chyba ktoś na mnie jakiś urok albo czary rzucił.

— Tfu! Nie wymawiałbyś głupich słów pośród lasu.

— Ja już i do księdza Marka z tym chodziłem, aby mi urok odegnał, bo trzeba wam wiedzieć, że to już drugi raz mi się tak przygodziło.

— Jak to drugi raz? — zapytał Wicherek. — Drugi raz zabiłeś niedźwiedzia?

— Niedźwiedzia inom dzisiaj jednego zabił, ale posłuchajcie, to wam wszystko opowiem.

— Lepiej, byś nam to opowiedział, jak będziemy jechać — rzekł Otek wstając. — Siadajmy na konie, bo już i tak zmitrężyliśmy sporo czasu.

— A jakże ja tak pojadę z takimi dziurami? Wstyd się ludziom na oczy pokazać.

— Przez las to cię tam nikt widzieć nie będzie, a jak wyjedziemy na gościniec, to tam jest karczma, o której słyszałem. Pewnikiem tam coś znajdzie się, żeby twoje ciało przyodziać. Trzeba tylko, abyś sobie wodą umył rany, co ci po pazurach niedźwiedzia zostały.

To mówiąc, pomógł Liskowi zdjąć podartą w kilku miejscach jakę, a Wicherek zaprowadził go do źródełka i czystą wodą począł mu delikatnie zmywać zakrzepłą krew. Szczęściem rany nie były głębokie, ale widocznie bolesne, bo Lisek przy tym zmywaniu aż zęby z bolu zaciskał. Przygładziwszy potem na sobie odzież jako tako, zawiesili broń u kulbaki i poprawiwszy uprząż, siedli na konie i puścili się w dalszą drogę. Z umysłu ominęli miejsce nieszczęsnej walki,

aby przyjaciela nie rozdrażniać na nowo i koni nie straszyć.

Jechali więc dalej, przeważnie lasem sosnowym, albo wcale albo rzadko gdzie krzakami porosłym. Lepiej tu było jechać, bo drzewa nie były tak gęsto przy sobie rosnące, ale za to słońce mocniej dopiekało, jako że stało już prawie na środku nieba. Ale trzej przyjaciele nic sobie z tego nie robili, a skoro rozdrażnienie ich przeszło i miejsce walki pozostało daleko za nimi, naszła ich nagle jakaś potrzeba wygadania się. Poczęli więc molestować Liska, aby im o onej przygodzie swej z niedźwiedziem opowiedział. Nie ociągając się, Lisek tak zaczął:

— Wiecie o tym, żem jest sierota nie mający ni oćca ni matki, a i o tym wiecie, że mnie rycerz Włodko naszedł na leśnej drodze, kiej podróżował z kupcami ormiańskimi. Niech mu też Pan Jezus wynagrodzi za to, że przytulił do siebie sierotę i na drodze go nieszczęsnego nie ostawił. Rad bym ja mu się odwdzięczyć chciał, jak syn oćcu, albo i lepiej jeszcze za jego dobre serce. Ale o tym nie wiecie — i ja także nie wiem — skąd ja na tej leśnej drodze się znalazł. Rycerz Włodko nieraz mi opowiadał, jako mię spotkał na gościńcu leśnym, zakutanego w kożuszek, zastrachanego, krzyczącego i pędzącego na oślep przed siebie. Nieraz ja, nie śpiąc w nocy, takiegom się w myślach widział opuszczonego wśród lasu, a kiedy potem przyszedł sen, zawsze mi się jednakowo widziało, żem jest w lesie i jakiś mnie stwór goni. Budziłem się z krzykiem, oblany potem i długo nieraz w noc otulała mnie matka Włodkowa i do snu kolebała. Raz zaszedłem do oćca Grzegorza, któren mnie — jako sami wiecie — bardzo

lubi, na książce czytać uczył razem z wami i siła pięknych obrazków pokazował. Owóż tedy ociec Grzegorz dostał był nową księgę do klasztoru, którą braciszki skryptory dopiero co ukończyli. Była to księga gruba na dwie ręce, a taka ciężka, że ją ociec Grzegorz, usiadłszy, ledwie na kolanach mógł utrzymać. Nie wiem, co w niej było pisane, bom takich znaków nigdy nie widział, ale że ociec Grzegorz pozwolił mi patrzeć z sobą razem, więc patrzałem. Były tam i piękne obrazki, na początku każdej karty farbami malowane, jakieś przedziwne anielskie postacie, albo ptaszki różne, lub zwierzęta. Na jednej karcie, gdy ją ociec Grzegorz z nagła obrócił, obaczyłem wymalowanego niedźwiedzia, leżącego niby pod drzewem i wysysającego miód z plastra. Inom spojrzał na ów obrazek, zaraz mi się przypomniały sny moje straszne. Uwidziało mi się, że mnie taki stwór goni, a na ziemi leży jakaś niewiasta, z włosami rozścielonymi na piasku i ze straszną raną w głowie. Przywidziało mi się to na okamgnienie, ale takie to było straszne, żem krzyknął głośno i chociem był małym wtedy, porwałem tę księgę i z całej siły walnąłem o ziemię. Musiałem strasznie wyglądać, bo ociec Grzegorz poniechał leżącej na ziemi księgi i począł mnie uspokajać, wina mi jakieś z flaszek lał w gębę, a ciągiem pytał, co mi się stało. Ja mu nie mogłem powiedzieć, bo i sam nie wiedziałem, co ono jest.

— I wtedyś do księdza Marka poszedł po radę? — spytał Otek.

— Nie. Ino te sny już mnie potem nie opuszczały, a były coraz straszniejsze. Tak sobie umyśliłem pójść do księdza Marka i jego mądrości doświadczyć. Posłuchał ci on, com mu mówił, długo patrzał na mnie i rękę

mi na sercu położył, a potem przeżegnał mnie, pogłaskał, dał kołaczyk i do domu iść kazał, bo powiada: „sen mara, Bóg wiara“.

— No i co? — spytał Otek.

— Ano nic. Śniło mi się i potem, ale już coraz rzadziej. Aż dopiero dziś mi się ów sen na jawie przypomniał i dlategom to pamięć zatracił.

— I tako ci się przywidziało, jak wtedy u oćca Grzegorza?

— Tak samiusieńko. Taka mnie złość porwała i strach jakiś, żem nie wiedział sam, co robię, a potem tom całkiem rozum zatracił. Cóż by to mogło być, jak nie urok? Różne dziwa po lesie chodzą i ludziom psoty robią. Może i mnie któreś w ową noc w lesie urzekło i już tak cierpieć będę do śmierci. I jakoż inaczej być może, kiedy i ksiądz Marek, chociaż taki mądry, a żadnego liku zadać mi nie mógł? A wy cóże o tym myślicie?

— Ja myślę — przemówił zwolna Wicherek — że ano może i po prawdzie mówisz. Wiadomo, jakie to „złe“ ludziom psoty wyczynia, a najwięcej bodaj czy nie krasnale. Stara Pawłowa, co pod górą mieszka i zioła ano różne po lasach zbiera, nieraz mi mówiła, jakie to dziwy po lasach siedzą. Ino mrok zapadnie, jużci toczy się gdzieś spod korzenia sina świecąca głowa na pajęczych nóżkach, albo wiłkołaki jakieś wyją i szukają, kogo by zwalić i krew z niego wyssać. A one małe krasnale nieraz podkradną się i pod chałupę i dziecko śpiące porwą, aby zeń potem swego sługę zrobić, który by im przy ich skarbach stróżował. Bywa, że i człowieka idącego nocą przez las opadną, a jeśli ze strachu znieruchomieje i krzyżem świętym

ich nie odżegna, a słowem Bożym nie odpędzi, to ci go trupem położą i krew wyssą. Tak mówiła stara Pawłowa. Ja tam nijakich strachów jeszcze nie widział, chociem się nieraz po nocy po lesie włóczył, koni szukając lub do dnia jeszcze na grzyby idąc.

— A to nie pomnisz, co ociec Grzegorz nieraz nam mówił? — zapytał Otek. — Ono ci to „złe“ nie ima się ochrzczonych ludzi, a uczciwych, ano złych albo niechrzestnych. Jak ciebie ksiądz święconą wodą zleje a olejem świętym namaści, to ci już żadne „złe“ psoty nie wyrządzi i dostępu do ciebie nie ma na wieki wieków, chyba że się na duszy pokalasz i diabłu ją oddasz. Wszelako myślę, że lepiej pognać konie, byśmy za dnia na gościniec zjechali, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Dobrze mówisz — przyświadczył Lisek, podpędzając konia — lepiej złemu w drogę nie wchodzić. Będziemy my jeszcze dalej lasem jechać, ale że to na gościńcu, to już „złe“ mocy takiej nie ma, boć tam pełno wszędzie krzyżów, a świętych figur stoi. Nużeż tedy, jedźmy żwawo, a prędzej do onej karczmy dobijemy, bo to i pożywić się trzeba i pod dachem noc przespać.

Podpędzili więc konie, ale nie długo mogli jechać szybko, bo konie ustawały ze zmęczenia, a popołudniowy upał dawał się także mocno we znaki. Las był coraz rzadszy, ale ciągnął się bez przerwy i końca widać nie było. Grunt stał się piaszczysty, ciężki do jazdy, toteż konie okryły się potem, a i młodzieńcom pot zrosił czoła i ze zmęczenia mocno sapali.

— Lepiej by nam było jechać teraz oną mroczną puszczą, cośmy ją rankiem przebyli. Ni chłódka teraz

nie ma, ni mroku, a kurz, aż dech zapiera — narzekał Wicherek, ocierając rękawem spocone czoło.

— Nie narzekaj — zgromił go Otek — że tam ci sadełko trochę stopnieje, to tylko dla ciebie lepiej. Co tam będziesz Panu Bogu się sprzeciwiał; co Bóg dał, to trzeba przyjąć i za łaskę dziękować.

— Dobrze mówisz — przyświadczył Lisek. — Boża wola wszystkim rządzi. Musi ono i dobre jest, że ano są dnie chłodne, a inne ciepłe, czasem słońce zaświeci, czasem deszcz i śnieg spadnie. Pan Bóg to wszystko w Swej dobroci sprawił, jako mówi owa gadka o dwienastu miesiączkach.

— Jakaż to gadka? — zapytał Otek.

— Nie znacie jej, to wam powiem. I tak jechać prędzej nie możem, bo konie ustają, a tak mówiąc, prędzej nam czas zleci, a ja zabaczę, że mnie kark świerzbi od przeklętych pazurów niedźwiedzia. Owo posłuchajcie!

Tu Lisek poprawił się w siodle, przetarł rękawem spoconą twarz i rozpoczął opowiadanie. Ponieważ był więcej ciekawy do książek niż słuchający go towarzysze i więcej u ojca Grzegorza przebywał, a i z natury miał wielki dar opowiadania, przeto słuchali go z otwartymi ustami. Przy tym słuchając opowiadania, zapominali zwolna o niedawnej przygodzie i tylko od czasu do czasu, gdy im powrócił na myśl ów szalony czyn ich przyjaciela, patrzali na niego z niedowierzaniem. Ale on jechał już całkiem spokojny, rozgadany, obok kręcącego się wiecznie w siodle Otka i milczącego Wicherka.

ROZDZIAŁ VI

w którym Lisek znika w ciemnościach nocy

Tak jadąc zwolna, to znów podpędzając konie, gwarząc i przekomarzając się, zapuszczali się coraz dalej w puszczę, a końca jej widać nie było. Wreszcie promienie słońca zniknęły zupełnie i w lesie powstawał mrok i cisza. Jak zwykle bywa przed wieczorem, powiał nagle po szczytach drzew leciutki wiaterek, jakby je chciał do snu ukołysać i martwota poczęła ogarniać las i jego mieszkańców. Zwolna ustawały głosy nawołujących się ptasząt i pukanie dzięciołów, a w las poczęła się wkradać jakaś tajemnicza moc nocy, dziwna i uroczysta i działająca na dusze chłopaków.

I oni umilkli, popędzając konie do pośpiechu. Ale te, mając za sobą cały dzień drogi, nie okazywały ochoty do szybszej jazdy. Coraz częściej opuszczały łby do ziemi, zrywając po drodze całe gałązki krzewów, aby je wlec za sobą i gryźć. Były głodne i zmęczone. I chłopcom też należał się dłuższy wypoczynek, bo w nocy prawie całkiem nie spali, a jazda całodzienna zmęczyła ich do cna. A tu końca puszczy nie było. Otek co chwila zapuszczał oczy w dal, szukając wśród drzew jasnego nieba, ale prócz zieleni gałęzi niczego dopatrzeć się nie mógł.

Widocznym było, że nasi chłopcy, kołując dla uniknięcia bagienek leśnych i zasłuchani w gadki Liska, zbili się z drogi i zbłądzili. Czekała ich nieprzyjemna noc w lesie, tym gorsza, że po dniu stosunkowo gorącym zrobiło się z zapadnięciem nocy chłodno.

Jechali jeszcze czas jakiś, ale gdy ściemniło się zu-

pełnie i konie ledwo wlokły się wśród chaszczów leśnych, odezwał się Otek, wstrzymując konia:

— Nie lża jechać dalej! Tu staniemy, niech się konie podpasą i my wypoczniemy. Biegajcie zebrać chrustu; podpalimy ogień, bo ziąb chwyta.

Chłopcy w jednej chwili zeskoczyli z koni, rozkiełznali je i popuściwszy popręgów, puścili je na trawę, a sami nazbierawszy chrustu, skrzesali ognia. Płomień oświetlił ich zmęczone twarze, pasące się konie i okoliczne drzewa i rzucał migotliwe cienie ich po ziemi, co wyglądało, jakby się cały las ruszał. Gdy płomień buchnął wysoko, a cały stos chrustu leżał obok, usiedli chłopcy przy ognisku i poczęli zajadać, co im do juków napakowano. Okazało się, że najlepiej zaopatrzony był Otek, któremu matka nie pożałowała słoniny, kiełbasy i białej bułki. Pozostali chłopcy mieli po wiązce kiełbasy i bochenku razowca. Poza tym mieli przy sobie trochę grosiwa, za które wszędzie mogli dostać żywności. Tej nie wzięli wiele, ażeby zbytnio nie obciążać koni. Jedli więc w milczeniu, a smacznie, bo głodni byli po całodziennym trudzie, a ciszę przerywało tylko mlaskanie ich języków i trzaskanie palących się gałęzi. Lisek coraz bliżej przysuwał się do ognia i szczególnie plecy nastawiał na działanie ciepłych promieni. Zauważył to Otek i rzekł ze śmiechem:

— Pchasz się do ognia, nikiej ćma. Cóż ci to tak zimno?

— Abyś wiedział — odpowiedział smętnie Lisek. — Niedźwiedź mi całą jakę porwał, to i zimno mi, bo noc chłodna.

— E! Nie rób sobie z tego nic. Wyjedziemy na goś-

ciniec, to tam jest karczma, w której wszystkiego dostać można. Znajdzie się tam jakiś przystojny kubraczek i dla ciebie.

Lisek pokręcił głową:

— Może to i być, że się znajdzie, ale po pierwsze, trzeba tam zajechać, a po drugie, trzeba za kubraczek zapłacić, a ja pieniędzy nie mam na tyle.

— Ale ja ich mam więcej, bo mi pan starosta na drogę kilkanaście groszy czeskich dali. W tym sęk jeno, co robić?

— A zaś czemu?

— Ano jechaćli dalej, czy ostać się tutaj nocować?

— Jużci — po namyśle odparł Lisek — trza będzie ostać. Nijak nam po nocy po lesie błądzić, jeszcze by konie łby porozbijały.

— Ale czasu szkoda.

— Obacz, jak głupio mówisz. Kiej byśmy dniem i nocą naganiali, toby nam wprędce konie popadały, a potem co? Maszli za co insze konie kupić? Nocować musimy, to darmo. Wygodniej by było gdzieś w szopie na sianie przespać noc, ale i tu niezgorzej nam będzie.

— Tylko strach! — odezwał się milczący dotąd Wicherek.

— Przed czymże strach? — zapytał Otek.

— A przed „złym". Nieraz mi stara Pawłowa mówiła, która znachorką jest i bez to po nocach za ziołami chadza, jako że w lesie nieprzezpieczno jest nocować, bo „złe" chodzi.

— Wierzących ludzi ono się nie chwyta — zawyrokował Lisek — chyba pogan i niechrzestnych. Pomódlcie się tedy i idźcie spać. Ja tu sobie przysiądę i będę czuwał nad ogniem i nad końmi, aby im się co

nie stało. Rany, co mi niedźwiedź zadał, bolą mnie, to i tak spać bym nie mógł. Będzieli mnie śpik zbierał, to jednego z was zbudzę, aby czuwał.

— A nie będziesz się strachał? — spytał Otek.

— Zaś bym tam się strachał cichej nocy.

— No! wiadomo, żeś tchórz — zakpił.

— Mój Otku! — przemówił wcale nie obrażony Lisek — nazywacie mnie tchórzem, że nie skaczę łbem do wody, jak wy, albo że nie pcham się tam, gdzie się biją. Ale owo zapamiętaj sobie, że kto bez potrzeby śmierci w ślipie zaziera, ten jest głupi, a nie rycerz. Godny rycerz ma nie jeno miecz u boku, ale także rozum w głowie i jednego bez drugiego nie używa.

To powiedziawszy Lisek, podniósł się z ziemi i poszedł do koni przygnać je bliżej, bo się bardzo oddaliły. Wyjął także z juków kawałki sznura i spętał nimi przednie nogi rumaków, aby się w lesie po nocy nie pogubiły. Kiedy po chwili wolnym krokiem powrócił do ognia, towarzysze jego, odmówiwszy wpierw krótki pacierz — już spali.

Lisek dorzucił chrustu do ognia, oparł się o drzewo i przyciągnąwszy do siebie topór swój usiadł i patrzał w ciemność. Widocznie dolegały mu rany na plecach, bo ciągle gładził je jedną to drugą ręką, dogadując sobie przy tym:

— Psiajucha jedna! Jak to mnie pogłaskał! Szczęście, że mnie całkiem w łapach nie udusił. Bo jakże iść z toporem na niedźwiedzia w pojedynkę? Godzi się to? A zaś nie mówiłem co dopiero Otkowi, kto tak robi? Czym to taki głupi?.... Możem to i niegłupi, alem zawżdy biedny. Hej! Insze dzieci oćca po ręcach boćkają i matce na kolana lezą, a ja to co? Ociec Włodko

i nieboszczka dobrzy byli, ho, toby mnie Bóg skarał, gdybym o nich złe słowo rzekł, aleć to obcy ludzie. I choć dla sieroty dobrzy byli, ale zawżdy obcy... Ciekawość, skąd ja się wziąłem tam, na tej leśnej drodze? Strach tak mi rozum spętał, że nic nie baczę, co przedtem było, ino ten trup i niedźwiedź. Brr, aż mnie ciarki przechodzą! A przecież miałem wtedy ze trzy roki i coś bym pamiętać musiał. Ha! Panu Jezusowi to wszystko wiadomo i może On mnie kiedyś oświeci. Nie jest mi tak źle. Ociec Włodko lubią mnie i Wicherek, i Marychna. Albo i ta Marychna? Co ci to za dobre dziewczynisko! Nieraz tobym ci ją tak wziął i poszedł hen, hen, precz, coby tylko z nią być i tak już na zawsze ostać. Kiejbym kiedy wielki rycerz był i na wojnie łupów nabrał godnych, tobym jej to wszystko zniósł i powiedział: „Naści, Marychno, i zrozum, że cię tak nawidzę, jak... jak...

Tu nie mógł w myślach znaleźć porównania i przymknął oczy, aby się namyślić. Ale wtedy Marychna stanęła jak żywa przed nim i przyzywając go ręką, uśmiechała się szczerze. Lisek chciał do niej pobiec, a nie mógł. Poruszył się tylko gwałtownie, ale otarta o pień drzewa rana wyrwała go z drzemki.

Otworzył oczy i spojrzał przytomnie.

— Coś mnie śpik zbiera — pomyślał sobie. — Kiejbym ich tak zaraz obudził, śmieliby się ze mnie, żem niezdara. Ano, pochodzę krzynę, to odejdzie.

Podszedł do ognia, dorzucił chrustu i skierował się w stronę koni. Te pasły się spokojnie, podrygując czasem na spętanych nogach. Obszedł je, poklepał i znowu powrócił na swe dawne miejsce.

Ale „śpik“ brak go coraz więcej. Częściej oczy za-

mykał, a głowa chyliła mu się coraz niżej. Wreszcie na dobre zdrzemnął się.

Nawet sobie nie zdawał sprawy, jak długo drzemał, gdy nagle doszło go rozgłośne parskanie konia. Wzdrygnął się, otworzył oczy i oprzytomniał w jednej chwili. Konie, zwróciwszy łby ku lasowi, niespokojnie strzygły uszyma. Po chwili bacznego wsłuchiwania się dosłyszał dość wyraźny szelest. Ktoś albo coś brnęło wśród krzaków i zeszłorocznych liści.

W pierwszej chwili chciał zbudzić towarzyszy i już w tym celu podskoczył do ogniska, ale wprędce powstrzymał się od tego. Wszak to mogło być jakieś zwierzę niegroźne, ryś lub wilk, który i tak od ognia uciecze. Nie było zatem potrzeby budzić zmęczonych towarzyszy, a siebie wystawiać na kpiny z ich strony. Zaniechał więc tego, ale uskoczył w bok, poza ognisko, aby nie być widocznym na tle ognia i czekał, patrząc w las.

Szelest tymczasem zbliżał się coraz bardziej, a kiedy oczy Liska przywykły do ciemności, rozróżnił już wyraźnie postać jakąś, przeskakującą od drzewa do drzewa. Wpatrzywszy się lepiej poznał, że to była postać człowiecza, na której widok Lisek doznał dziwnego uczucia. Zdawało mu się, że z tym człowiekiem idzie ku niemu coś strasznego, a zarazem coś, co zmieni jego życie, co go wprowadzi w świat inny, pełen trwogi, nieznany. Stał tak zapatrzony, cichy, bez ruchu, a tymczasem nieznany człowiek zbliżył się całkiem do ogniska. Płomień oświetlił wyraźnie postać dziką, brodatą, w starym kożuchu i ogromną czapą na głowie. W ręku trzymał sążnistą pałkę i sznur.

Na widok śpiących nie okazał zdziwienia, raczej

ciekawość i błysk radości przebiegł po jego twarzy, a usta rozchyliły mu się do uśmiechu. Lekkim krokiem zaczął skradać się do broni, leżącej tuż przy drzewie, za którym stał Lisek.

Na ten widok tenże obudził się z dotychczasowej martwoty, wyskoczył zza drzewa, chwycił topór w rękę i krzyknął:

— Ktoś ty?

Po twarzy nieznajomego mignął strach, ale przez chwilę tylko. Wprędce czapkę zdjął z głowy, pochylił się nisko i rzekł:

— Sława Bohu!

— Ktoś ty? — powtórzył Lisek, przystępując bliżej ku towarzyszom, śpiącym jeszcze. Lekkim uderzeniem po plecach Wicherka i Otka postawił ich na nogi. Oczywiście zdumieli się bardzo widokiem nieznajomego, który tymczasem kłaniał się wciąż, powtarzając swoje „Sława Bohu".

— A to kto? — zapytał, przyskakując do niego Otek. — Coś ty za jeden? Co robisz tutaj w puszczy? Powiadaj!

— Ja tutejszy, panie — odpowiedział nieznajomy grubym głosem po rusku.

— Jak to tutejszy? W puszczy żyjesz?

— Aja! Pry hostyńciu.

— Przy jakim gościńcu? Albo tu jest blisko gościniec?

— A jest.

— Gdzie? daleko?

— A tam, niedaleko.

— A cóż ty w puszczy robisz o tej porze?

— Ja chciał sidła na ptaszki zastawiać, aby ich do dnia schwytać. To moja pożywa.

— Na ten sznur będziesz je chwytał? — zapytał Lisek, wskazując na trzymany przez nieznajomego powróz.

— Ej, nie.

— A gdzie masz sidła? — pytał dalej Lisek, wpatrując się bystro w twarz brodacza.

Ten dopiero po chwili namysłu odrzekł:

— Schowane.

— Gdzie?

— Mam ja w lesie chowanki, aby ich nie nosić ze sobą.

— Może to być, ale ja ci nie wierzę. Ty coś kręcisz, chłopie. Sidła nastawia się rano albo wieczorem, ale nie po nocy. Któż to kiedy wśród nocy chodzi po puszczy i sidła nastawia? Słychane to rzeczy! Powiadaj prawdę!

— Prawdu, pane, każu! — zapewniał brodacz i bił się w piersi.

— Co tam będziesz po próżnicy go rozpytywał — przerwał Otek — i tak się niczego nie dowiesz. Po wtóre co nam do tego, czy on nastawia sidła, czy nie. Słuchaj no chłopie — zwrócił się do brodacza — daleko stąd do gościńca?

— Niedaleko, panie — odparł żywo nieznajomy. — Zaraz las się kończy i jest gościniec.

— A dokąd nim zajechać można?

— Do Chołma.

— A jest tu gdzie karczma, gdzieby można zanocować?

— Jest, pewnie że jest. Zaraz za lasem.

— To nas zaprowadź do gościńca.

— Czemu nie! Doprowadzę.

Wicherek już podskoczył do konia, aby go okiełznać, lecz Lisek pociągnął Otka za rękaw na bok i rzekł szeptem:

— Ty! Ja jemu nie wierzę!

— A zaś czemu? — obruszył się Otek.

— Skróś tego, że w nocy nikt nie chodzi po puszczy zastawiać sidła; na to ma dosyć czasu w dzień. A po drugie — widział ty jego powróz w rękach?

— To i co? Jak każdy powróz.

— A nie, to nie jest żaden powróz, to jest tatarski arkan.

— E! bajesz.

— Nie baję, jeno prawdę mówię. Po licha on po puszczy włóczy się nocą z arkanem w ręku i ze zbójecką pałką? Ja bym tego człeka, którego mam za zbója, związał i panu staroście oddał.

Otek strzepnął niecierpliwie rękami i rzekł gniewnie:

— My tego zrobić nie możemy, bo naprzód nie wiemy, czy on naprawdę zbój, a powtóre ja dla tego człeka nie będę wracał do Lwowa. Ty ćmisz albo cię tchórz oblata i ciągiem jeno o zbójach bredzisz. Kiej ten człowiek drogę do gościńca zna, to chodźmy za nim i tylo.

— Rób, jak chcesz — zgodził się Lisek — ale ja będę uważał i byle coś zauważę, łeb mu toporem rozbiję, że ani zipnie.

— To se uważaj, jeno nie marudź.

To mówiąc skoczył do konia, a za nim Lisek. W mig konie posiodłali, ognisko zagasili i byli gotowi do drogi.

Chłop wyforował się naprzód, chwycił konia Otkowego przy pysku i ju chciał iść, kiedy go Lisek zatrzymał:

— Daj no mi ten twój sznur — rzekł — bo ci źle prowadzić konia. Jeszcze sobie szkapa w nim nogi zapląta i będzie nieszczęście. Daj no go!

Brodacz zawahał się, ale oddał sznur, a Lisek dotykając go wyczuł, że przesuwa się on na końcu przez pętlę.

— Ot, nieomylny znak, że jest to naprawdę arkan — pomyślał Lisek. — Ej, bratku już ja cię pilnować będę, a i ten arkan przyda mi się w potrzebie.

Zatknął arkan za pas i krzyknął:

— Ruszaj!

Zanim brodacz zagasił ognisko, wyjął zeń szczapę płonącą i tym teraz przyświecał sobie, prowadząc Otkowego konia. Za nim jechał Wicherek, a na końcu Lisek. Ten ostatni nie dowierzając chłopu, oglądał się ustawicznie na boki i w tył, ale cisza była wokoło, cisza bezkresnej nocy, blado oświetlonej kopcącym płomieniem szczapy. Jechali powoli, noga za nogą, omijając grube pnie sosen. Las tutaj był prawie wyłącznie szpilkowy i dołem całkiem niepodszyty, co było dobre, bo można było, nie narażając się na uwikłanie w krzakach, przy bladym świetle szczapy posuwać się naprzód. Lecz tej szczapy nie na długo starczyło. W pewnej chwili, czy to dlatego że wypaliła się, czy ją brodacz umyślnie rzucił na ziemię, dość że wypadła mu z ręki i zagasła. Ogarnęła ich teraz niesamowita ciemność głuszy leśnej, w której raczej dotykiem niż wzrokiem należało się kierować, aby łbów końskich nie rozbić o pnie drzew. Lisek coraz bardziej żałował, że nie powstrzymał Otka od tej nocnej peregrynacji. Nie dowie-

rzał on wciąż nieznajomemu, a niewiara ta wzrosła jeszcze, gdy jadąc dalej dość długo, nie tylko nie natknęli się na gościniec, ale las stawał się coraz gęściejszy. W pewnej chwili Lisek począł odwijać ów powróz odebrany chłopu i coś nim manipulować przy siodle, a potem zsunął się z konia i znikł w ciemności. Nikt na to nie zwrócił uwagi, bo każdy patrzał przed siebie, a zresztą wobec nieprzejrzanych ciemności trudno było zniknięcie Liska zauważyć. Kto by jednak przeszedł poza jego koniem, zaczepiłby się o naprężony sznur, który od kulbaki zwisał gdzieś ku tyłowi, daleko w ciemność.

Przydługa jazda wydała się wreszcie dziwną i Otkowi, bo nagle wstrzymał konia i pochyliwszy się ku końskiej szyi, starał się zmacać w ciemności głowę przewodnika. Kiedy to jednak okazało się daremnym z jednej i drugiej strony łba końskiego, zaniepokojony — krzyknął:

— Hej, chłopie! Gdzieżeś?

Ale odpowiedział mu tylko powolny głos Wicherka:

— Co jest? Czego tak krzyczysz?

— Chłopa nie ma.

— Jak to nie ma? Kaj się podział?

— Wiem ja to. Już chwilę nie słyszę go koło siebie. Musi puścił konia i myśmy poszli inną drogą, alibo nas sam porzucił.

— Bez cóż by nas rzucał?

Ale już Otek nie zdołał odpowiedzieć, bo nagle las rozbrzmiał tupotem kilkudziesięciu ludzi i zachrypłymi głosami. Wśród drzew, jakby spod ziemi wyrosły jakieś postacie i zanim chłopcy ochłonęli z przerażenia, ściągnięto ich z koni, przywiązano i przytroczono do

drzew, spowijając mocno przez całe ciało sznurami. Wszystko to odbywało się przy piekielnym hałasie, pisku i krzyku, że łatwo można było mniemać, jakoby jakieś monstra piekielne zeszły się w lesie, aby grozą napełnić serca naszych podróżnych.

Ponad te krzyki zabrzmiał nagle głos silny gdzieś ze środka tłumu:

— Macie ich?

— Mamy.

— Zapalcie ogień!

Wnet tu i ówdzie iskry poczęły przebiegać po gałązkach chrustu i niezadługo kilka płomieni buchnęło w górę w różnych miejscach, oświecając dzikie postacie, przywiązanych jeńców i trzy wspinające się konie. Między jeńcami jednak nie było Liska. Za koniem jego tylko wlókł się sznur długi, który stał się teraz przedmiotem badań i podziwu napastników.

ROZDZIAŁ VII

w którym Wicherek kpi sobie z Koniuchy

Otek i Wicherek przywiązani do dwóch oddzielnych drzew skórzanymi rzemieniami, patrzyli przerażeni na straszne twarze uwijających się przy ogniskach napastników. Rzemienie wciskały im się w ręce i nogi, ugniatały piersi i tamowały dech, ale Otka najbardziej bolało to, że przez własną lekkomyślność, bo ostrzegany przez Liska, dostał się w ręce tych zbójów — bo za takich uważał tę zbieraninę — i sprawę, z którą był posłany naraził na zgubę. Czynił sobie gorzkie wyrzuty, że Liska nie usłuchał i szukał w myśli sposobu, aby

wymknąć się z tej niedoli. Ale sposobu żadnego nie widział. Na wprost od niego, o dwa nieledwie kroki przywiązany był do drzewa Wicherek, głowiący się też nad tym, aby wyswobodzić się z pęt. Obaj jednak nadaremnie oglądali się na wszystkie strony, o ile pozwalały im rzemienie, szukając Liska; nigdzie go jednak nie było. Wreszcie Otek, korzystając z rozgwaru, jaki ciągle jeszcze panował przy ogniskach, półgłosem zapytał Wicherka:

— Spójrz no za mnie, czy tam nie ma Liska?

— Ani śladu. Krom nas dwóch nikogo więcej nie widzę przy drzewach.

— Kaj on mógł się podziać? Może go zabili?

— Toby tu leżał, boć nas przecież tu napadli. Nie! jego tu nie ma i Pan Bóg wie, kaj się podział.

— Chytry on jest i mnie przestrzegał, abym chłopu onemu nie wierzył i sam się ująć nie dał. Dobrze mówił, bo wiera zbój on przeklęty naprowadził nas na zgubę. Kiejbym miał rękę wolną, to bym mu toporem łeb rozbił, jak amen w pacierzu.

— Co tam się będziesz odgrażał po próżnicy. Aniśmy wolni, ani topora nie masz, bo ci go pewnikiem z kulbaki odpięli. Lepiej nad tym pomyślmy, jak się wydobyć z tych pęt. Hej, kiejby tu Lisek był, ten by sposób znalazł na poczekaniu. Próbowałem ci rozerwać rzemienie, ale mocne to łyka i nie uradzę. Co robić?

— Wiem ja to! Dy, popatrz! Tam, przy tamtym ognisku stoi ów psiajucha, który nas tu przyprowadził. O! przeklęty niecnoto? Bodajś się w ziemię zapadł! Ale co oni robią przy naszych koniach?

— A czegoś stoją przy koniu Liska i coś tam medy-

tują. Hej, kiejbym ja wiedział, kędy Lisek się podziewa, tobym był spokojniejszy. I to ci mówię, że jak on żyje, to nam zamrzeć w zbójeckich rękach nie da.

— Pewnikiem, że nie, ale co on sam zrobi, przeciwko tylu zbójom? A i to niepewne, gdzie on jest. A choćbyśmy się i wyrwali, to z czym pojadę do Lublina, kiej zbóje pewnikiem wszystko nam zabiorą i owo pismo pana starosty. Oto żem głupi, hej, jak but. Zawierzyli mi pan starosta, a jam wszystko zaprzepaścił.

— No, no, nie martw się, może się to wszystko na dobre obróci za łaską Pana Jezusową. Przecież nam z koni nic jeszcze nie wzięli i coś ochoty do tego nie mają. Popatrz, co oni robią?

Rzeczywiście coś dziwnego działo się ze zbójami. Zgromadzili się u wielkiego ogniska i coś tam uradzali, ale że stali dość daleko, chłopcy nic usłyszeć nie mogli. Przypatrywali się im tylko z trwożną ciekawością. Teraz, gdy się wszyscy razem zeszli, można było lepiej poznać tę całą zbieraninę. Było ich ponad trzydziestu chłopów rosłych, wąsatych i brodatych, ubranych w długie kożuchy z wścieklicami na głowach i z różną bronią w ręku. Niektórzy mieli oszczepy, inni łuki, większość topory i miecze. Rzadko który z nich miał buty na nogach; przeważnie nosili słomianki lub wprost nogi pozawijali szmatami.

W pośrodku gromady stał jeden, olbrzym po prostu, na którego wszyscy baczną zwracali uwagę i który zdawał się przewodzić tej hałastrze. Ubraniem nie różnił się od reszty kamratów, tylko kożuch jego przepasany był pasem, za który zatknięty miał obosieczny miecz. Człowiek ten, pewnie zbójecki woje-

woda, mówił coś długo, wymachując rękami i kładąc je nieraz na głowni miecza, jakby komuś tą bronią groził. Towarzysze czasem przerywali mu okrzykami, ale krótkimi, bo gdy tylko podniósł rękę, robiła się cisza. Miał widocznie posłuch u kamratów. Po dłuższej naradzie, zakończonej piekielnym wrzaskiem radości i podrzucaniem czapek do góry, koło rozstąpiło się i olbrzym podszedł powoli w stronę powiązanych młodzieńców. Teraz mogli mu się lepiej przypatrzyć. Był to chłop rzeczywiście olbrzymi, z twarzą tak straszliwą, że prawie nie czyniła widoku twarzy ludzkiej. Jakaś straszliwa koszmara wyglądała przez złością i nadmiernym piciem zaczerwienione oko (drugie miał wyłupione), głęboko osadzone i okolone krzaczastymi brwiami, przez zeszpeconą twarz, brudną i porosłą czarnym, długim zarostem. Włosy z głowy spadały mu aż na kożuch, poplątane, miejscami siwe. Zgarbiony lekko w plecach, z długimi rękami, sprawiał wrażenie jakiegoś zwierzaka, który tylko przybrał na się postawę człowieczą, aby w niej zeszpecić ród ludzki. Szedł otoczony towarzyszami prosto ku chłopcom, śmiejąc się głośnym, basowym rechotem.

— Hej, ty! — zwrócił się do Otka — gadaj psi synu, czyś ty syn „pana Oty“.

— Jam to, ale nie mów mi, żem syn psi, bo takich jak ty ociec mój po gałęziach wieszać kazał.

— Ha, ha — zaśmiał się zbój — ale mnie nie powiesił, chociaż miał chętkę. Teraz ja jego synowi to samo zrobię, co on z moimi kamraty. Żywy nie wyjdziesz z mych rąk ani ty, ani ten drugi chłystek, ani ten trzeci, którego lada chwila chłopcy moi przyprowadzą. Zataił się gad jakiś i myśli, że go Koniucha nie

znajdzie. Nie takich ja znalazł i piekłu wydarł. Ja sobie z wami pohulam lepiej niż diabli w piekle! Po co wy gród opuścili i nocą po puszczy włóczyli się? Gadaj, bo ci łeb na miazgę rozbiję!

Otek jednak milczał i groźby się nie uląkł. Patrzał w twarz Koniuchy wzrokiem tak pełnym pogardy i wstrętu, jak się patrzy na obmierzłe, zimne i jadem plujące gady.

Koniucha zwrócił się do Wicherka:

— Gadaj ty, bo tamtemu ze strachu język zdębiał. Coście tu nocą robili?

— Goniliśmy dzika — odpowiedział powoli Wicherek — a że noc nas zaszła, więc chcieliśmy zanocować w lesie.

— A ten trzeci to kto?

— To mój brat.

— I gdzie on jest?

— Poszedł się pewnikiem wody napić. Zaraz powróci, to go obaczysz.

— Kpisz se ze mnie, ty gadzino!

— A ino! A z kogoż bym miał kpić? — odrzekł Wicherek spokojnie. — Chcecie się z nami pobawić, to wam zabawkę czynim.

— Ty wyrostku kraczący! — krzyknął wściekle Koniucha. — Pasy z ciebie drzeć będę, do kolan będziesz mi się łasił jak pies i o życie skomlił...

— Niedoczekanie twoje, zbóju przeklęty, żebym ja, synem rycerza będąc, ciebie po rękach boćkał i zmiłowania twego prosił. Prędzej twój kark połaskocze miecz kata!

— Ty mi jeszcze grozisz? — krzyknął zbój, błysnąwszy mu mieczem nad głową. — Ty psie! Hej,

chłopcy! Zanieście mi to padło do lochów i pilnować jak oka w głowie! Jutro wieczorem, jak wrócimy, pohulamy sobie z nimi po naszemu.

Po czym splunął gniewnie na ziemię, przechylił w tył wściekliczę i odszedł, a za nim reszta zbójów.

— Toś mu dobrze powiedział — pochwalił go Otek. — A myślałem, że będziesz się strachał.

— Zaśbym się miał strachać przeklętego zbója? Czym to nie rycerski syn? — żachnął się Wicherek.

— Niedoczekanie jego — powtórzył Otek. — A dy, słyszałeś, co on mówił, że Liska nie dostali? Co z nim się stało, tego pojąć nie mogę. Wyjechał ci z nami razem, cały czas słyszałem, jak konia poganiał i nagle znikł, jakby się w ziemię zapadł. — Ciekawość, co oni nam uczynią — spytał po chwili — i do jakiego lochu nas rzucą?

— Nic nam nie zrobią — odpowiedział Wicherek.

— Jak to nic? Kieby nam nie mieli nic zrobić, toby nas nie łapali. Bez cóż nas napadli? Pewnikiem nas pozabijają i to mnie martwi, że nie zginiemy, jak na rycerzy przystało, lecz z takich rąk niecnotliwych.

— Nie bój się, nic nam nie zrobią. Tyle wiem, że Lisek, jak żyje, zginąć nam nie da. Nieraz ci on wynachodził różne sposoby, aby się od złego ustrzec, to pewnikiem i ninie coś wynajdzie.

— Byleby żył! Raz mi markotno, że go z nami nie ma, a zaś cieszę się, bo może żyje i nam pomoże. Innej rady na nasze nieszczęście nie widzę.

— A ino! — potwierdził Wicherek.

Mogli rozmawiać swobodnie, gdyż zbóje całkiem się nimi nie zajmowali. Usiedli przy najdalszym i najwyżej w górę buchającym ognisku i wyjąwszy kto co miał

z torby lub kieszeni, jedli, suto popijając miodem, którego cała beczka stała nie opodal. Widocznie mieli gdzieś blisko kryjówkę, bo od czasu do czasu któryś z nich znikał w lesie i po chwili powracał, niosąc to połeć słoniny, to kawał mięsa czy chleba. Przy czym głośno mówili, krzyczeli lub ochrypłym głosem śpiewali. W mowie ich przeważał język ruski, chociaż padały tu i ówdzie wyrazy tatarskie lub litewskie. Była to zbieranina łotrów, jacy wówczas w tym kraju o nieustalonych rządach i wśród ciągłych zamieszek wojennych grasowali bezkarnie po lasach i gościńcach całego tego nieszczęsnego kraju. Próbowali tępić ich starostowie grodzcy, mnóstwo ich powywieszał i pościnał Detko, a potem Otto z Pilczy, ale było ich jeszcze wiele, a wobec szczupłej liczby rycerzy i pachołków w grodzie, mnożyło się tych kup mnóstwo, zwłaszcza że wspomagali ich często Tatarzy, rozboju i krwi pragnący. Niejednokrotnie napadali na mniejsze wioski, jak to zeszłego roku uczynił Koniucha, napadłszy wespół z Tatarami na Woznesenie, a dwory bojarów, a karawany kupieckie musiały się mieć ustawicznie na baczności.

I ci widocznie przygotowywali się na jakąś wyprawę, bo zjadłszy, nie kładli się spać, lecz jeszcze uradzali nad czymś z Koniuchą. Wreszcie jedna ich część, może z dziesięciu opryszków, pozbierawszy broń i torby gromadą całą pociągnęła w las. Po małej chwili uczyniła to i reszta z Koniuchą na czele. Tylko trzej z nich, a między nimi ten, któremu tak złorzeczył Otek, zagasiwszy wszystkie ognie, za wyjątkiem tego, przy którym stali jeńcy, zbliżyli się do nich. Tu nanieśli kupę chrustu dla podtrzymania ognia i dwaj z nich legli na

ziemię, czapki podłożywszy pod głowę, a ów sidlarz usiadł pod drzewem i umieściwszy topór i łuk obok siebie, wsparł głowę na kolanach i zadrzemał.

Uczyniła się cisza, przerywana tylko trzaskiem palących się gałęzi i przyduszonym chrapaniem śpiących. Z odejściem opryszków jakaś nadzieja zawitała do serc nieszczęśliwych peregrynantów. Zdawało się, zwłaszcza Wicherkowi, ufającemu więcej w swą niedźwiedzią siłę, że z trzema łatwiej będzie sobie poradzić, niż z pół kopą ludzi. Chodziło tylko o to, aby rozpętać się z rzemieni, oplatających go, którymi był przywiązany do drzewa. Za czym natężył się tak, że mu żyły na czole wystąpiły i zdawało mu się, że jeden z rzemieni, ten który mu ręce i piersi uciskał, lekko popuścił. Powtórzył napięcie raz jeszcze i drugi, ale jakkolwiek rzeczywiście popuściły trochę, to jednak rękami jeszcze poruszać nie mógł. Otek ani tyle nie dokonał, mimo że z natężenia aż mu się pęta w ciało wżarły.

W tym pasowaniu się z pętami upłynęła im spora chwila. Obaj zbóje zasnęli na dobre, a i trzeci zdawał się spać, oparty w bezruchu na kolanach, gdy nagle na drzewie naprzeciw siedzącego sidlarza zatrzęsła się z głośnym szelestem gałąź. Obaj jeńcy spojrzeli na drzewo, ale oprócz kołysania się gałęzi niczego nie zobaczyli. Siedzący nie ruszył się; widocznie spał. Ale drugie jeszcze głośniejsze kołysanie się gałęzi obudziło go. Wyglądało tak, jakby ktoś trząsł gałęzią dla zrzucenia z niej owocu. Opryszek podniósł głowę, wpatrując się w ciemność, a wtem świsnęła złowrogo pierzasta strzała i utkwiła w oku patrzącego. Z głuchym jękiem powalił się ten na ziemię i począł kopać nogami i szarpać palcami trawę. Jęk ranionego i tupot obudził jego

towarzyszy. Porwali się z głośnym krzykiem i poskoczyli ku rannemu, a raczej zabitemu towarzyszowi, bo tenże uspokoił się już i leżał wyciągnięty na ziemi. Jeden ze zbójów wyrwał strzałę z oka zabitego, obejrzał ją i zwrócił się z niemym zapytaniem do drugiego, ale nim słówko przemówił, furknęła znów złowrogo strzała i przebiwszy szyję, powaliła go na ziemię. Jeszcze nie przebrzmiał jego krzyk przedśmiertny, gdy trzeci zbójca, wyrwawszy topór zza pasa podbiegł do drzewa i począł wspinać się nań, uchwyciwszy się zwisającej gałęzi. Ale nie zdążył jeszcze skryć się cały w gęstwinie liści, gdy krzyknął przeraźliwie i zleciał w dół ze strasznie rozwaloną głową.

Od zatrzeszczenia gałęzi do śmierci trzeciego zbója upłynęło ledwie kilka chwil. Nagłość wydarzeń osłupiła wprost Otka i Wicherka. Z otwartymi ustami, z szeroko rozwartymi oczyma na pobladłej twarzy patrzali na trzy trupy, to na drzewo, z którego śmierć wypadła.

A tymczasem zaszeleściły znów gałęzie, dało się słyszeć drapanie po korze, wreszcie stuk kogoś zeskakującego z drzewa i do ognia zbliżyła się przegięta postać, z krwawym toporem w jednej i łukiem w drugiej ręce.

Był to Lisek.

ROZDZIAŁ VIII

w którym Otek, zamiast chłopaka złapał za łeb Tatarzyna

Otek i Wicherek rozcierali uwolnione z pęt ręce i patrzyli z radością na Liska, a on uśmiechał się do

nich, szczęśliwy, że ich uwolnił i raz w raz brał któregoś w ramiona i ściskał a całował. Podsycone ognisko oświecało dokładnie kawał lasu, trzy nieruchome trupy i stojące w dali konie z nienaruszonymi siodłami i torbami. Chłopcy z podziwem patrzyli na swego obdartego przyjaciela. Czuli żal w sercach, że nieustannie przezywali Liska tchórzem i wyśmiewali się z niego, a oto on teraz, sam jeden tylko nie wpadł w zasadzkę, ludzi pobił i ich uwolnił. Oddawali mu więc uściski, a szlachetny, a porywczy Otek począł żałować a przepraszać Liska, że jego rady nie usłuchał i w zasadzkę ich wpędził.

— Et, dalibyście spokój! — bronił się Lisek. — Nie mnie dziękować, a Panu Jezusowi trzeba, że nas wyrwał z rąk Koniuchy. A i prosić Go trzeba, aby nam dalej pomagał, bo czekają nas inne przeprawy ze zbójami, gorsze jeszcze.

— Zalibyśmy tam na nich czekali — odezwał się Wicherek. — Siadajmy na konie i dalej w las.

— Jużci — przytaknął Otek — odjedźmy z tego miejsca. Gdzieś dalej doczekamy rana, a w dzień jakoś gościniec znajdziemy.

Ale Lisek pokręcił przecząco głową i rzekł, wskazując w las ręką:

— Gościniec jest tam, za tymi drzewami, cale niedaleko, ale my tam nie zaraz pojedziem. Słuchajcie, o co się was zapytam: Godzi się to, gdy nam Pan Jezus dopomógł, drugich zostawiać w nieszczęściu, kiedy im dopomóc możemy?

— Pewnikiem, że się nie godzi — przytaknął Otek. — Ale komuż my możemy pomóc?

— Słuchajcie tedy — przykazał Lisek, nie odpowia-

dając wprost na pytanie Otka — idźcie do koni, opatrzcie je, a ja nazbieram chrustu, aby ogień podtrzymać, bo musi gorzeć, aby myślano, żeście w pętach, a wartownicy czuwają.

— Co tobie chłopie? — zdziwił się Otek. — O kim mówisz? Kto ma tak myśleć?

— Ten, co tu jest blisko — rzekł tajemniczo Lisek. — Nie ma teraz czasu na gadanie, potem wam wszystko powiem, a zaś róbcie, com powiedział, bo od tego zależy życie wielu ludzi, a może także i nasze.

To mówiąc Lisek począł szybko zbierać gałęzie, suto rozesłane po ziemi i ułożył z nich długi wał, którego jeden koniec dotykał ogniska. Teraz płomień powoli obejmował chrust, tak że przez nikogo nie podsycany mógł się palić długo i jasno. Otek i Wicherek skoczyli tymczasem do koni, aby je okulbaczyć. Otek przede wszystkim spojrzał do torby przy siodle i z radością przekonał się, że nic nie zginęło. Cenna rura z listem starosty leżała sobie spokojnie w torbie, nawet pieniędzy zbójcy nie zabrali. Uważali ten łup już za swój i nie spieszyli się go wyładować. Szybko napięli popręgi, założyli wędzidła i chwyciwszy konie za uzdy, przy czym Otek prowadził konia Liska — podeszli ku ognisku. Lisek już także skończył układać chrust, za czym zmacał na ziemi włóczący się za swoim koniem sznur, odwiązał go i zwróciwszy się do przyjaciół — rzekł:

— Kieby nie ten arkan, byłoby z nami krucho. Zawinę go i schowam do torby; łacno się nam jeszcze przydać może. A teraz chwyćcie konie przy pysku i idźcie za mną, ale tak, by nas nikt nie słyszał.

— A dokąd mamy iść? — zapytał Otek.

— Chodźcie! O wszystkim wam opowiem, ale nie teraz, bo szkoda czasu. Niech Otek trzyma ogon mego konia, a Wicherek Otkowego, byśmy się w ciemnościach nie pogubili i jazda!

Obaj uczynili, jak im poradził i dobrze zrobili, bo kiedy przeszli poza krąg ogniska, otoczyła ich znowu noc ciemna i głucha. Przesuwali się między drzewami, jak mary, cicho, bo kroki ich i tupot kopyt głuszyła ziemia. Aliści niedługo szli. Po kilku chwilach wyszli niespodzianie na małą polankę, jasną od księżycowej pozłoty, której promienie nie mogły się przedostać w lesie przez korony drzew. Ale najbardziej ich zdziwiło to, że na polance zamajaczyła przed nimi chata, otoczona wysokim parkanem, a z jednego maleńkiego okienka mrugało na nich mętne, przyćmione światełko. Lisek zatrzymał się na skraju polanki, skinął na towarzyszów, by podeszli bliżej i rzekł półgłosem:

— Konie teraz przywiążemy do drzew, a sami podejdziemy pod tę chatę. Tylko cicho, a sprawnie!

A właśnie zza parkanu dało się słyszeć szczekanie i wycie psa. W tej ciszy nocnej, przy blasku księżyca, widok tej tajemniczej chaty był bardzo niesamowity, a grozy dodawało jeszcze smutne wycie psa i nieświadomość, co się w tej chacie kryje.

— Co za chata? — spytał Otek, przywiązując konia do drzewa.

— Słuchajcie i wyrozumcie dobrze, co wam powiem — rzekł Lisek. — Ta chata, to jest kryjówka zbójów, a mieszkał w niej pewnikiem ów zbój sidlarz, co nas w zasadzkę wprowadził. I was chciał Koniucha w niej umieścić, póki by nie wrócił, ale sidlarz

mu odradził, powiadając, że anużby wam udało się uciec, toby ta tajemnicza ich kryjówka była zdradzona.

— Ale skąd ty o tym wiesz, co to za chata i co oni mówili? — dziwił się Wicherek.

— Wiem wiele więcej. Słyszałem wszystko, co mówili, bom za nimi leżał. My teraz podejść musimy do tej chaty. Sidlarza nie ma, bom go z łuku ustrzelił, aleć jest tam jeszcze chłopak nieduży; nie wiadomo kto on jest, bo się zbóje źle z nim obchodzili. Jego wywołamy, capniemy za kark i on nam wszystko wyśpiewa, co chcemy wiedzieć.

— Słuchaj Lisku! — przemówił Otek. — Nie wiemy, coś słyszał i co chcesz uczynić, ani nie wiemy bez co musimy iść do tej chaty i owego młodego chłopaka capnąć. Ale rzeknij mi ino jedno: zali nie zmitrężymy za wiele czasu dla tej próżnej zabawki? Nie lepiej by było wyjść na gościniec i puścić się w dalszą drogę? Zaliś to nie słyszał, z czym jadę i do kogo?

Lisek pomyślał chwilę, pokiwał przecząco głową, na koniec rzekł:

— Słuchajcie! Zbóje przygotowali haniebną zdradę. Chcą napaść człowieka pewnego, rycerza, jego i jego rodzinę wymordować i majętność jego zagrabić. My możem go uprzedzić, bo napaść ma być jutro dopiero, pod wieczór, możem nieszczęście od niego odwrócić i godziż się tego nie uczynić? Poradźcie się waszych serc i głów, a kiebyście jednego dnia utracić nie chcieli dla ratowania bliźnich swoich, jedźcie w imię Boże dalej; ja ich sam uratuję!

Lisek mówił poważnie i głos drgał mu wzruszeniem, a wzruszenie to udzieliło się i Otkowi, bo Wi-

cherek tak jakby nie słyszał przemowy Liska, ciągiem tylko patrzał na chatę, otworzywszy szeroko usta. Otek namyślał się chwilę, wreszcie spytał:

— Kto on, ów rycerz?

— To bojaryn Siemiaszyc.

— Cóż to za bojaryn? Jeszczem też o nim nigdy nie słyszał.

— I ja nie. Te łotry mają z nim dawne porachunki. Nazywali go niesamowitym, odgrażali się mu i klęli, a z tego, com słyszał, myślę, że musi on być bardzo nieszczęśliwy. Ano mówcie: idziecie ze mną, czy mam iść sam?

— A bez cóż ci iść do chaty? Jedźmy prosto do bojaryna.

— A wiesz, gdzie on jest?

— Przecie że nie, bo go nie znam.

— I ja nie wiem i bez to musimy pójść do chaty i chłopaka capnąć. On nam wszystko powie, alibo i zaprowadzi. No! jakże?

— Niech się dzieje wola Boża! — zawyrokował Otek. — Stracimy może jeden dzień, ale nie godzi się nam rycerzom, a także i krześcijanom, poniechać w nieszczęściu człowieka. Prowadź!

Pozostawili konie przy drzewach, a pobrawszy topory w ręce poczęli chyłkiem, kuląc się, skradać pod chatę. Kilkanaście zaledwie kroków było od skraju lasu do parkanu; chłopcy przebiegli ten kawałek polany szybko i znaleźli się przy parkanie. Pies wył i szczekał coraz zajadlej i gonił po całym obejściu, ale widocznie ten, co w chacie siedział albo spał, albo przyzwyczajony był do szczekania, bo nikt z chaty nie wychodził. Za czym Lisek wpuścił topór

pomiędzy deskę a belkę poprzeczną i ze zgrzytem gwoździ oderwał jedną, a potem i drugą deskę. Przez tak uczyniony wyłom przesunęli się na obejście, wypatrując psa. Ten nadbiegł rzeczywiście zaraz i cisnął się całym sobą na Liska, ale w tejże chwili błysnął topór Wicherka i pies z rozwalonym karkiem runął na ziemię. Teraz rozpatrzyli się nasi peregrynanci po podwórzu.

Parkan otaczał dość duży czworobok z chatą pośrodku. Za chatą w rogu znajdował się loszek z półkolistym dachem, nakryty gałązkami jedliny. Poza tym na podwórzu nie było nic, krom błota, śmiecia, przepalonych pni i chrustu. A od tej chaty niskiej z małym okienkiem, raczej dziurą wyciętą w belkach, od tego niechlujstwa, widnego wszędzie, wiała jakaś nędza przygniatająca i zdawało się, jakby odór trupi przenikał to całe zbiorowisko brudu.

Lisek obiegł całą chatę dokoła, zaglądnął w każdy kąt, próbował drzwi otworzyć, wreszcie skinął na towarzyszy, aby się zbliżyli. Gdy stanęli przy drzwiach, szepnął:

— Stań Wicherku przy drzwiach, a ty Otku przy oknie. Kiejby ten niedorostek wyglądnął oknem, łap go za kark i wyciągnij na dwór. Ty to samo uczyń, gdyby chciał drzwiami wyjść. Baczcie dobrze, aby go od razu przychwycić, bo gdyby narobił krzyku, mógłby kogo tu ściągnąć. Miarkuję, że wszyscy poszli, ale nużby jeszcze w pobliżu gromadka zbójów została, to i lepiej cicho się sprawować. Ja tymczasem go obudzę.

To rzekłszy, uderzył kilka razy toporem we drzwi i odstąpił od chaty na środek podwórza. Na ten głos

w chacie dał się słyszeć szelest, jakby ktoś szmaty po podłodze ciągnął i w otworze pokazała się głowa, bynajmniej nie chłopięca, ale brodata twarz o skośnych oczach i wystających policzkach. Promienie księżyca padały wprost na otwór, więc widać było dokładnie rozczochrany łeb Tatara. Zobaczywszy stojącego na środku podwórza Liska, wychylił pół ciała przez otwór i zapytał chrapliwym głosem z ruska:

— Chto ty?

— Ot, chto ja! — krzyknął Otek, podnosząc się spod okna i chwytając za łeb Tatara. — Zejdź tu, bratku, bo ci chcemy coś do ucha powiedzieć.

Wnet doskoczył Wicherek i Lisek i wspólnymi siłami wyciągnęli zbira z chaty i oparli o ścianę.

— Kiej się ruszysz, libo słówko piśniesz — zagroził Lisek, wznosząc topór do góry — łeb ci roztrzaskam tym toporem!

Lisek pomylił się więc, twierdząc że w chacie znajdą wyrostka, ale pomyłka ta była zupełnie uzasadniona. Tatarzyn bowiem był tak małego wzrostu, że patrząc nań z daleka, można było rzeczywiście wziąć go za nieletniego chłopaka. Z owiniętymi szmatą nogami, w skórzniach tylko, w narzuconym na siebie kożuchu, wodząc skośnymi oczyma ze zdumieniem i strachem po twarzach napastników, stał milcząc przed nimi. Rzadką, kozią bródkę zadarł do góry i drapał się bezmyślnie po skołtunionym łbie, nie próbując ani stawiać oporu, ani uciekać. Zresztą było to zgoła niemożliwe, gdyż przyjaciele tak go otoczyli, że wymknąć się nie mógł, a groźnie wzniesione topory nad jego głową przestraszały go niemało, tym bar-

dziej, że już nagłość napadu wśród cichej nocy wydała mu się niesamowitą.

Lisek wpatrywał się przez chwilę w obskórną twarz Tatarzyna, wreszcie rzekł:

— Słuchaj, ty kozi synu! Jak nie będziesz gadał prawdy i zaraz nie odpowiadał, o co cię pytał będę, to ci takie cięgi sprawimy, jak twoim kamratom tam w lesie. Gadaj, kto jesteś i skąd się tu wziąłeś w tej budzie?

— Ja tu żyję, panie — wyrzęził chrapliwie Tatar.— Ja niewolnik, ja wam wszystko opowiem, tylko mnie nie bijcie, jasne łycary!

— Czyj ty niewolnik?

— Koniuchy, panie.

— A skąd ty się wziął u niego? Dyć Koniucha z Tatarami nie walczy, aby u nich niewolnika brał, boć to jego kamraci.

— Ja już tu z dziesięć roków siedzę.

— W tej budzie?

— A nie w tej budzie, a na tej ziemi. Ja tu z chanem Telegą był i pod Rokitną w jasyr popadł i łycarowi się dostał.

— I uciekłeś od niego?

— A nie. Nie mógł uciekać. Koniucha mnie z domu u łycara porwał i tu przywiódł.

— A czegoż ty od niego nie uciekł?

— Nie mogę, panie.

— Zaś czemu?

— Bo aby uciec, trzeba mieć nogi.

Dopiero teraz spostrzegli towarzysze, że Tatarzyn rzeczywiście nie miał nóg, tylko kikucie, powyżej kolan obcięte, zawiązane miał szmatami. Dlatego to

wydawał się taki mały. Liska zmartwiło to, bo w pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że obecnie nie może liczyć na to, żeby ich braniec zaprowadził do Siemiaszyca, a przecież tylko dlatego wdarli się do chaty. Począł rozmyślać nad tym, co im teraz czynić wypada, a tymczasem Otek dalej wypytywał Tatara:

— Bez cóż ty w tej chacie siedzisz?

— Pilnuję, panie.

— Co tu jest pilnować? Chyba to śmiecie na podwórzu, bo w chacie pewnikiem nic nie ma.

— Słuchaj no! — odezwał się nagle Lisek. — Prowadź ty nas do chaty. Ty Wicherku zostań tu i daj baczenie, aby ktoś nie zaszedł nas niespodzianie. Dalej, chłopie, otwieraj drzwi!

— Nijak nie mogę.

— A to chcesz, byśmy przez okno leźli? — zeźlił się Lisek. — Otwieraj drzwi i prowadź nas do środka!

— Nie mogę, panie! Drzwi od środka zamknięte, a ja bez okno nie wlezę.

— Hm — zamyślił się Lisek. — Prawdę pedasz, że nie możesz. A co tam jest w tej chacie?

— Ognisko jest, taj ława, a więcej nic.

— Ale Koniucha ma tu swoją kryjówkę?

— Ta! — przyznał z wahaniem Tatar.

— To ty nam pokaż, gdzie on ma to, co zrabował ludziom.

Tatarzyn milczał i tylko wodził okiem po twarzach otaczających go, jakby ich prosić chciał o litość.

— Powiadaj! — groził Lisek. — A to jak nie powiesz, gorze ci!

— Jasne pany, łycary — skomlił Tatarzyn — pokażę wam, weźmiecie, a Koniucha wróci, to ubije

mnie. Co mi czynić? Wy pany teraz, a Koniucha jutro.

— Naprzód, że my nic nie weźmiemy, bośmy nie zbóje. Weźmie to kto inny, nie bój się. A potem ciebie Koniucha już i tak nie zobaczy, bo cię weźmiemy ze sobą.

— Czyś oszalał? — krzyknął Otek. — Zaśbyśmy kulasa mieli brać ze sobą, aby nam zawadą był w drodze?

— Cichaj! — mruknął Lisek. — On mi potrzebny i tyla. Pojedzie z nami, tylko że nie daleko; ostawimy go po drodze. Przeszkodą nam nie będzie, a pomocą wielką.

— A dyć on iść nie może.

— To pojedzie! Na moim koniu pojedzie. Nie gadaj, bo szkoda czasu. Pokaż, chłopie, ten schowek — zwrócił się do Tatara. — Nic ci nie będzie, a może lepiej ci będzie, bo tu słodkiego życia nie masz. Przecież widziałem, jak cię Koniucha po gębie prał.

— A bił, panie, i tego się boję, aby mnie całkiem nie ubił.

— Nic się nie strachaj! Tam, gdzie ja cię ostawię, będzie ci dobrze. No! gdzież ten schowek? Migiem mów, bo nie ma czasu.

— Tam — wskazał ręką Tatarzyn na loszek.

— W tym loszku? — zapytał Otek.

— A w tym.

— No, to chodźmy! Musimy spenetrować, co tam jest. Widzi mi się, że Koniucha tego na oczy widzieć już nie będzie, a oglądnie to pan starosta. Iść potrafisz? — zwrócił się do Tatara.

— Polezę, panie.

— No, to nie traćmy czasu, bo od tego zależy nasze przezpieczeństwo i ludzkie życia.

Loszek nie miał zupełnie drzwi, tylko zarzucony był kamieniami, a gdy nasi peregrynanci je odrzucili, ukazał się otwór, od którego schody prowadziły w dół. Wicherek nazbierał suchych gałęzi jedliny, których pełno leżało na podwórzu, skrzesał ognia i z zapaloną jedliną weszli do lochu. Zszedłszy kilkanaście schodków, znaleźli się w ogromnej jamie, wykopanej w ziemi i popodpieranej słupami, aby się powała nie zawaliła. Mdły płomień jedliny oświetlił jej wnętrze i chłopcy stanęli zdziwieni:

Było na co patrzyć. W jednym kącie leżały jedna na drugiej zbroje, niektóre świecące złotem, cudnie inkrustowane. W skrzyniach, których wiele stało przy sobie, gdy odemknęli wieka, zobaczyli futra i szuby drogocenne, a w innych złote kolce, łańcuchy i naramienniki. Wszystko to świeciło się i siało blaski niesamowite i upajało oczy patrzących. W innych znowu skrzyniach były cudnej roboty i barwy jaki i pasy wspaniałe, ze Wschodu sprowadzane, i suknie z jedwabiu, suto złotem przetykane. W skrzyni tej począł gmerać Lisek i wreszcie wyciągnął liliową jakę, obcisłe spodnie do niej i wszystko to wziąwszy pod pachę, zwrócił się ku wyjściu.

— Chodźmy! — rzekł do towarzyszy, którzy stali oszołomieni bogactwem kryjówki. — Trzeba zawalić loszek, a jak szczęśliwie z naszej wyprawy wrócimy, to już pan starosta będą wiedzieli, co z tymi skarbami zrobić. Teraz Wicherku idź pod las i sprowadź konie, a ja zrzucę tę jakę, co mi niedźwiedź do cna porozrywał, a wdzieję tę, którą sobie od Koniuchy po-

życzyłem. Poświeć no mi Otku, niech spojrzę, czy na niej krwi nie ma, boby mi to cale przyjemnym nie było.

Okazało się jednak, że jaka była zupełnie czysta. Więc gdy Wicherek poszedł po konie, a Tatarzyn zarzucał loszek, Lisek szybko zrzucił z siebie podarty swój strój, a przebrawszy się i opasawszy swoim pasem, zwinął w kłębek zrzucone ubranie i cisnął na kupę śmiecia. Tymczasem Wicherek przyprowadził konie, a kiedy i loszek zarzucono, zwrócił się Lisek do Tatarzyna:

— Owo jeszcze pogadamy ze sobą i od ciebie zależy, czy zostaniesz tu na łup Koniuchy, czy pojedziesz z nami. Co byś wolał?

— Alboż ja wiem — zawahał się Tatar.

— Ale ci tu źle?

— Oj źle! — i skośne jego oczy zaszły łzami.

— No, to uważaj, co ci powiem. Wiesz ty gdzie tu żyje Siemiaszyc, bojaryn Siemiaszyc?

— Siemiaszyc, panie, bojaryn Siemiaszyc? — zdziwił się Tatar. — A na co on wam, ten Siemiaszyc?

— To już nie twoja rzecz. Odpowiadaj, o co cię pytam. Wiesz, czy nie wiesz?

— Jakoż mogę nie wiedzieć, toż go tutaj wszyscy znają.

— Daleko stąd?

— A nie, niedaleko.

— Drogę znasz?

— Przecież, że znam.

— No, to ja wezmę ciebie na swojego konia i pojedziemy, a ty nam drogę pokażesz.

— I wy tam do Siemiaszyca jedziecie?

— A tam.

— Do jego dworzyszcza?

— Chcemy z nim mówić.

— A kto wy jesteście, co chcecie mówić z Siemiaszycem? — zapytał dziwnym głosem Tatar.

— Czemu zaś tak pytasz? — zaciekawił się Lisek.

— Wiadomo wam, kto on jest ten Siemiaszyc?

— Nie znamy go wcale.

— To i nie jedźcie tam. On człowiek niesamowity, z ludźmi nie żyje i świata nie widzi.

— Nic nam do tego, ani tobie. Mamy z nim sprawę i jechać musimy. Ty znasz drogę, to nas poprowadzisz. Tylko jeszcze jedno mi rzeknij: nie zostawił ten Koniucha gdzieś blisko swoich kamratów?

— Nie! Oni wszyscy poszli.

— A kędy?

— Dobrze nie wiem, bo mi nie mówili. Myślę ino, co poszli szukać Tatarów, bo napad mają uczynić na jakiegoś bojaryna.

— A gdzie oni znajdą Tatarów?

— Małoż to ich w grodzie żyje, a po lasach chodzi? Znajdzie on ich, znajdzie.

— No, to nie traćmy czasu, jeno jedźmy. Pójdź za mną!

Tatarzyn chwilę zawahał się, popatrzał raz jeszcze błagalnie na Liska, a potem opuścił głowę i uchwycony za ramię, dał się spokojnie prowadzić. Wicherek podsadził go na Liskowego bułanka, a za nim siadł Lisek i wyforował się naprzód. Za nim poczłapał Otek, a potem Wicherek.

Z polanki wjechali znowu w las, ale już nie taki gęsty, jak poprzednio, za to bardziej wilgotny, a miej-

scami nawet bagnisty. Lepiej jednak było im jechać, bo i konie odpoczęły i blask księżyca łatwiej wdzierał się przez rzadkie korony drzew, tak że rozeznać mogli przed sobą drogę na kilka kroków. Jechali milcząc, tylko Tatarzyn czasem mruknął coś, wskazując, którędy mają jechać. Nie rozmawiano na wyraźne życzenie Liska, który jeszcze bał się, aby nie spotkać jakiegoś zbója, chociaż Tatarzyn upewniał go, że wszyscy poszli z Koniuchą.

Tymczasem las stawał się coraz rzadszy, wreszcie przemienił się w pole krzewów, spośród których z rzadka tylko wystrzelał pień drzewa. Księżyc oświecał dziką lecz piękną okolicę, srebrząc swoim promieniem drgające pod lekkim wiaterkiem liście krzewów.

— Zara będzie gościniec — szepnął Tatar.

ROZDZIAŁ IX

w którym Lisek opowiada swoje nocne przygody

Jakoż przebywszy to pole krzewów, wjechali na łąkę moczarzystą, miejscami świecącą małymi stawkami, które w blasku księżyca srebrzyły się wśród czerni trawy, jak czarodziejskie zwierciadełka na ciemnej sukni czarownika. A wśród czerni łąki i tych srebrzystych zwierciadeł wody wyciągnął się przed nimi długi, biały gościniec, a raczej szeroka droga polna, pełna kołowisk, pni drzewnych, pokładzionych nad jamami, a przede wszystkim pełna piasku, w którym konie ich aż po pęciny zapadały się.

— No, to mamy już i gościniec — westchnął z ulgą Lisek. — Nie wiadomo jeno, dokąd nas poprowadzi.

— Do Chołma — rzekł Tatar.

— A nie gadałem to — pochwycił Otek — że puszczą glinianską łacno przedrzemy się na gościniec chełmski. A tak i prosto tam pojedziem i nikt nas nie uwidził blisko grodu.

— Kromia zbójów — zaśmiał się Lisek.

— I kromia niedźwiedzia — odpalił Otek.

— Nie wspominaj niedźwiedzia, bo mi jeszcze rany nie przyschły, które mi pazurami rozdrapał. A i potem, kiedym się darł na drzewo, tom sobie gorzej jeszcze skórę popsował tak, że teraz, kiej siedzę na koniu, to mnie tak plecy i nogi pieką, kiejby ogniem palone.

— A zaś na gorszą niedolę Tataraś se wziął przed siebie — odezwał się milczący dotąd Wicherek. — Trzeba ci było tego? Jeszcze nas zradzi, jako ten jucha sidlarz.

— Nie zradzi on. Przecieżem widział, jak go Koniucha za brodę ująwszy, kułakiem po gębie smarował. Pomścić by on się pomścił, kiejby zdolił, ale zradzić nie zradzi.

— Prawda, panie — przytwierdził Tatar — nie zradzę. A to róbcie, co chcecie, tylko mnie od Koniuchy weźcie.

— Ale co ty na drzewie robił? — zapytał Otek Liska. — Przeczże nam nie chcesz powiedzieć, jakeś zbójom umknął i co się z tobą działo?

— Nie chciałem, bo szkoda było czasu na gadanie. Ale owo teraz jedziemy sobie po tym piachu powoli, to wam wszystko opowiem. Słuchajcie!

— Od samegom początku nie dowierzał owemu sidlarzowi i jako się okazało później — praw byłem.

Wyście spali, a to i nie widzieliście, jak on do ognia podchodził, jak się zakradał od drzewa do drzewa; a kiej was śpiących obaczył, to się tak uśmiechnął, jakby was już ujrzał związanych, nikiej barany. A potem to jego kręcenie, że sidlarz, że w nocy sidła nastawia, albo i ten arkan. Was oszukał, ale nie mnie. Kiedym potem przejrzał, że to naprawdę arkan, tom już pewnikiem wiedział, że to zbój. I jadąc na koniu myślałem nad tym, jakby was od niego odciągnąć, alem nijakiej rady znaleźć nie mógł, bo — jak powiada ociec Grzegorz — na głupiego nie masz sposobu.

— Tak mi to przymawiasz? — zawstydził się Otek.

— Nie przymawiam, tylko gadam po prawdzie. Chociaż i to dobrze się stało, bo żeście się tam troszkę i strachali — nic to, a za to niewinnych ludzi ustrzeżemy od złego. Jadę ja sobie tedy na koniu i tak sobie myślę, że kiejbym siebie zratował, to już łacniej i was zratować wydolę. Za czym umyśliłem zejść z konia i iść za nim kilka kroków w tyle, a żebym się w nocy w lesie nie zagubił, przytroczyłem ów sznur do kulbaki, wziąłem łuk na plecy i topór w rękę, a zeskoczywszy z konia, zostałem tak daleko w tyle, jak długi był sznur. Tak więc trzymając go za koniec, szedłem za koniem, a koń za wami. Kiej was te zbóje obskoczyły, ja uskoczyłem w bok i zataiłem się w krzakach. I dobrzem zrobił...

— Pewnikiem, że dobrze — przyznał Wicherek — bo gdybyś się był nie przyczaił, gorzej by nam było.

— Poczekawszy tedy krzynę za krzakiem, kiedy się owo hukanie zbójów uciszyło trochę, zmacałem rękami jakiś setny pień drzewa z nisko zwisającą gałęzią i zarazem się wdrapał nań, tak sobie myśląc,

że kiej zostanę na ziemi, zbójcy mnie prędzej czy później znajdą, a uciekać całkiem nie mogłem, bo i was nie chciałem zostawić bez pomocy i w ciemnej nocy uciekając, mógłbym łatwo łeb rozbić o drzewo. Kiej zbóje zapalili ognie, dopierom ujrzał, że siedzę na drzewie, pod którym stał Koniucha i palił się suty ogień. Nie było mi tam przyjemnie, bo dym kręcił mi w nosie i do ócz wciskał się. Nijak jednak było mi złazić prosto na głowy zbójów, toż siedziałem, czekając lepszej pory. Oni tymczasem coś ze sobą szwargotali po rusku, to po tatarsku, alem niewiele z tego zrozumiał, bo jeden gadał przez drugiego i hałas czynili wielki. Tom tylko wyrozumiał, że im ów sznur, com go do kulbaki przywiązał, ćwieka w głowie zabił. Zaraz też Koniucha rozesłał kilku łotrów po lesie, aby mnie szukali, ale ja sobie przezpiecznie siedziałem na gałęzi i śmiałem się z nich. Byłoby mi cale dobrze, kiejby nie to, żem was widział przy drzewach przywiązanych, a i to, że mi dym oczy wyżerał. Za czym kiedy Koniucha z kamratami podszedł ku wam, zlazłem z drzewa i posunąłem się za nimi, ukryty za drzewami. — Boga mi — myślałem sobie — kiejby ten zbój chciał im co złego uczynić, wpadnę na niego z toporem, zarąbię i sam zginę z nimi.

— A my, głupi, ciebie za tchórza zawsze mieli — wykrzyknął Otek.

— Toście myśleli źle, ale ja o to nigdy nie dbałem. Tak sobie tedy myślę i co robiący idę za nimi. Trochęm się zaląkł, kiej Wicherek tak sobie zakpił z Koniuchy, ale widać mieli oni na was inne widoki,

bo poniechali was, a sami wrócili pod drzewo. Przemknąłem i ja za nimi, czekając, co będzie. Aż tu widzę kilku z nich poszło kajś w las i wróciło z pełnymi rękami spyży wszelakiej i napitku. Tak mnie coś zaraz tknęło, że oni tu gdzieś blisko kryjówkę swoją mają, a jakom zawsze był wszystkiego nadmiar ciekawy, poszedłem tedy za jednym z nich aż do tej chaty, którą i wy widzieli i gdziem owo tego tu Tatarzyna ujrzał, któren mi się chłopakiem małym wydał z daleka. Wróciwszy usiedli pod drzewem i zajadali łapczywie placki i mięsiwo, popijając suto jakimś napitkiem, może miodem, a może kumysem, bom tego dokładnie rozeznać nie mógł. Ja tymczasem rozmyślałem, jakby to wam dopomóc i z rąk tych przeklętników wyrwać. Ale mi żaden sposób nie przychodził do głowy. Zbójów naliczyłem trzydziestu siedmiu, aleć musiało ich być i więcej w pobliżu, bo coraz to któryś nowy podchodził do ognia i za kubek a mięsiwo chwytał. Sam jeden tylu rady dać nie mogłem, jako powiada owo łacińskie przysłowie, co to mi ociec Grzegorz powiadał — (wiecie, że mnie chciał przysposobić na księdza i trochę tam łaciny liznąłem już) — że „nec Hercules contra plures“, co po naszemu znaczyłoby, że i Herkules, chociaż taki silny, a nie wydoła przeciwko wielu. Postanowiłem więc iść za nimi, gdy ruszą, a może kajś w drodze znajdzie się jakowyś sposób. A gdyby i to zawiodło, to już musiałbym wracać do grodu, panu staroście wszystko opowiedzieć i pomocy u niego prosić. Pan Jezus poszczęścił, że się bez tego obyło.

— Wiera, że Pan Jezus nam dopomógł — przytaknął Otek — i jak tylko zdrowo wrócimy do domu

zaraz dam krążek wosku na świece do Najświętszej Panny Marii.

— I dobrze uczynisz, bo kto z Bogiem, Bóg z nim. — Tak sobie tedy przemyśliwam o sobie i o was, a oni tymczasem zjedli, wypili, gęby otarli i dalejże w rozhowory. Poczęli wrzeszczeć, że są gotowi, że im z Koniuchą nie straszno nawet iść do piekła. Tedy Koniucha wstał, czapkę zdjął z głowy, pokłonił im się w pas i tako rzekł ze śmiechem: — Proszę ja was, bracia, w gościnę do druha mego Siemiaszyca. Na jutro tam nocować będziemy. On stary, dońkę ma przy sobie jeno, toż mu starość tę osłodzimy. Wczoraj pożegnał drużynę swą, co w lasy poszła polować, to aż się prosi, by w gości zajść do niego. — Łotry śmiały się z tej przemowy, podrzucali z uciechy czapki do góry, a on wziął się jedną ręką pod bok, drugą położył na głowni miecza i tym jednym swoim oczyskiem wodził po nich, jak Lucyper po piekle. Tfu, aby nie wymówić w złej godzinie!

— Mie Oćca i Syna i Ducha Świętego! — przeżegnał się Wicherek. — Nie przywołuj wilka z lasu, a jeszcze o tej porze, przed zaraniem.

— Skarbów u niego — powiada — nabierzem, koni nabierzem, złota i soboli, z dońką potańcujem, a jemu ot co! — Tu pokazał ręką po szyi, jak go będzie rzezał. — Za krzywdy moje — powiada — pomsty mi trzeba. — Nie wiem, o jakiej krzywdzie ów zbój myślał, bo jeśli bojaryn chciał go obwiesić kiedy, to praw był.

— A ja wiem — odezwał się Tatar.

— Co wiesz? — zapytał Lisek.

— A wiem, czemu Koniucha mści się na bojarynie.

— No, powiadaj!

— Syn bojaryna, maleńki będąc, ustrzelił Koniusze oko.

— Jak to ustrzelił?

— Ano tak. Bawił się małym łuczkiem, taj strzała ugodziła Koniuchę w oko.

— Et, bajesz! — zaperzył się Otek. — Cóż by ów zbój u bojaryna robił?

— On był w jego drużynie, z halabardą chodził i straż na zamku trzymał.

— A skąd ty o tym wiesz?

— A bo Koniucha nieraz o tym mówił, a powiadają, że onemu Siemiaszycowi niewiastę i tego synaczka pomordował. Ale ja nie wiem, prawdali to, czy nie.

— Dziw, dziw! — zawołał Otek. — Za jedno oko dwa życia wziął i jeszcze na dalsze dybie.

— Owóż stanęło na tym — opowiadał dalej Lisek — że jutro, chciałem rzec dzisiaj, bo już noc bieleje, ma ów Koniucha napaść na dwór bojaryna, spalić go, z ziemią zrównać i trupy za sobą zostawić. Tymczasem wysłał dziesięć chłopów na Ternawkę, aby Tatarów sprowadzili, od których — jako sami wiecie — roi się na Ternawce. Sam zaś poszedł w puszczę innych jeszcze kamratów pozbierać. Przy was zostawił trzech, coby was pilnowali, a pomiędzy nimi był właśnie ów sidlarz, który nas w zasadzkę wprowadził. I wtedy oto przyszła na mnie najgorsza chwila.

— A zaś czemu? — przerwał Otek. — Jak ich ino trzech zostało, a tyś broń miał przy sobie, toś się był powinien cieszyć.

— A właśnie, widzisz, to mnie żarło. Jeszczem w życiu człowieka nie ubił, a tu musiałem trzech ubić

i to z zasadzki, nie po rycersku. Aleć była inna rada? Długom medytował i rozbierał rzecz całą z tej i z tamtej strony i innej rady nie znalazłem. Bo godniejsza wydała mi się śmierć trzech zbójów, których stryczek lub miecz i tak nie ominie, niż śmierć wasza i onych tam biedaków, co ich uratować możemy. Za czym począłem powoli drapać się na drzewo i stamtąd ustrzelić bodaj jednego, kiej ku temu da sposobność. Z napiętym łukiem długo czekałem, aż zbój na drzewo oczy zwróci, bo tak sobie myślałem, że gdybym chybił i zbója w oko nie trafił, gorzej by ze mną było, kiejby się na mnie we trzech rzucili. A ów tymczasem zadrzemał. Zacząłem tedy poruszać nogą gałęzie i wiera odzierżyłem, com chciał. Zbój wytrzeszczył oczy na drzewo, zbudzony i zaniepokojony trzaskiem gałęzi. Tedy wymierzyłem i puściłem strzałę, a ta go trupem położyła. Na jego krzyk pobudzili się i tamci, a ja tymczasem nałożyłem nową strzałę i drugiego nią przeszyłem. Myślałem, że ów ostatni uciecze, a tak i zbawi się, ale zacięta to była bestia, toż i poległa od mego topora. Ciężko mi było potem patrzeć na trzy trupy z mej ręki poległe i to nie w boju ani w wojnie, ale z zasadzki. Ale powiedzcie — była inna rada?

— Nie było i dobrześ zrobił — poświadczył żywo Otek. — Toż to przecież zbóje niegodni i pan starosta przykazali łapać ich i do grodu na pewny stryk prowadzić.

— Pan starosta mają władzę karać, a ja nie. A co powie ociec Grzegorz na to, którego miłuję, jako i wy, a może i więcej, a który i muchy nie pozwala zabić bez potrzeby.

— Powie tak, jako i my: inakszej rady nie było — rzekł Otek.

— Hej! — przyświadczył Wicherek.

Tatarzyn patrzał zdumionym wzrokiem na Liska, a po chwili zapytał:

— Toście wy, panie, Hawryszka ubili?

— Jakiego znów Hawryszka?

— Ano tego ze sznurem?

— Tego sidlarza? Ano tak!

— Jaki on tam sidlarz! To wypatrywacz Koniuchy i on o wszystkim jemu donosił. Pewnikiem to on wypatrzył, że Siemiaszycowa drużyna wyszła na łowy, taj namówił Koniuchę do napadu.

— A tobie go żal, tego Hawryszka?

— Oj, nie! panie. Jam już się nieraz na niego nasadzał, aby go ubić. Raz tom go podpalił w chałupie, ano wyratował się bestia.

— I nic ci za to nie było?

— Nikt nie wiedział.

— A bez cóż ty go tak znielubił?

— A bez to, że mnie bił, jak nikt inny. On, panie, litości nie znał, a kto wie, czyby i was nie ubił, nie czekając Koniuchy.

— Usłuż ty nam dobrze, a już cię więcej nikt bić nie będzie.

— Usłużę, panie, jak zdolę.

— Daleko to jeszcze do tego Siemiaszyca? — spytał Otek, który niecierpliwym będąc, jak najprędzej chciał puścić się w drogę do Lublina.

— Jeszcze kawałek, panie.

— Na kiedy staniemy?

— Jak podpędzicie trochę konie, to słonko niewiele podejdzie do góry, a już tam będziemy.

Tymczasem ciemność coraz bardziej uciekała i kryła się w dalekiej puszczy, a promień księżyca bladł i gasł, aż wreszcie i on sam ze świecącego dotychczas srebrnego krążka stał się biały i srebrzysty, jak obłoczek. A oni jechali drogą piaszczystą, mając po obu bokach albo krzewy na wyrębach rosnące, albo łąki, pełne bagienek. Dzień zapowiadał się ładny, chociaż teraz było dość chłodno, a na dobitek powiał wiatr, jak zwykle przed wschodem słońca, i chłopcy niewyspani i zmęczeni podróżą kulili się na koniach, poganiając je nieustannie. Wreszcie poczęły różowić się obłoki, a wschodnia strona nieba rozgorzała krwawą łuną, poprzedniczką słońca. Rozgorzała ona do pół nieba, ale nie na długo. Bladła powoli, ale czerwień jej schodziła na ziemię, a kiedy oblała łąki, drogę i naszych zmęczonych peregrynantów, wystrzeliła spod nieboskłonu kula słoneczna i odbiwszy się jak piłka od ziemi, zaczęła swój codzienny pochód po niebie.

Równo z pierwszym blaskiem słońca przeżegnali się chłopcy nabożnie i poczęli półgłosem odmawiać pacierze. Potem Lisek, który przy księdzu Grzegorzu nauczył się wiele pieśni, zanucił pieśń do Matki Boskiej, którą chłopcy w mig pochwycili i ciągnęli razem:

...Pokaż się Matką być, niech Ci się da użyć
Syn Twój ukochany, dla nas Tobie dany.
Panno Przewyborna, nad wszystkie pokorna,
Uwolń nas od złości, daj cichość w czystości...

Gdzieś w górze zawisł skowronek i dzwonkowym swoim trelem głosił chwałę Tej, której ulubieńcem go nazwali.

ROZDZIAŁ X

w którym nasi przyjaciele widzą czary i łzy

Słońce spory kawał łuku przebiegło po niebie, zanim nasi chłopcy, prowadzeni przez Tatarzyna, znaleźli się przed gródkiem bojaryna Siemiaszyca. Gródek stał na pagórku, a raczej na wysokim brzegu rzeczki, której wody napełniały fosy dookoła wałów, za wsią, którą — jak się potem dowiedzieli — nazywano Siemiatycze. Na wale wysokim, ubitą darnią pokrytym, wysterczała do góry palisada z grubych pni drzewnych, wbitych w wał jeden przy drugim, a na rogach stały też drewniane, ale mocne z wyglądu wieże, wybiegające za wał i palisadę. Baszty i palisada poczerniały już były od starości, a woda w fosie, pokryta pleśnią zieloną, niemiłą wydawała woń. W jednej z baszt znajdowała się brama, zakryta obecnie do połowy podniesionym mostem tak, że do gródka dostępu żadnego nie było. Na wale nie było żywej duszy i żaden głos ze środka nie dolatywał, tylko spoza palisady widać było czubki dachów i jakiegoś dziwnego kształtu kopułkę z krzyżem, wystającym spośród gałęzi drzew. Gródek ten, mimo posępnej w nim ciszy, a może właśnie dlatego, wydawał się groźny i mocny, a chłopcy, patrząc nań, dziwili się, jak mógł Koniucha myśleć o zdobyciu go, nie mając tylu ludzi, ani sprzętu, potrzebnego do zarzucenia fosy i rozbicia ostrokołu.

Z zadumy tej pierwszy ocknął się Wicherek:

— Bez cóż tak stoicie? Zadmij Otku w róg, niech nas wpuszczą do środka, bo mnie już z głodu zemgliło i ledwie siedzę na kulbace.

Rada była słuszna, toteż Otek zerwał z pleców róg,

przyłożył do ust i wnet echo odbiło od wału dźwięk ponury a rozgłośny. Otek zadął jeszcze raz drugi i trzeci, a na ten głos otwarło się w baszcie nad bramą okienko i pokazała się w nim zarośnięta twarz strażnika.

— Czego? — spytał krótko, po rusku.

— Jedziemy ze sprawą do bojaryna — zawołał Otek.

— A wy kto?

— Giermek pana starosty Abrahama z Baranowa z towarzyszami. Otwieraj!

— To wy Lachy?

— Jesteśmy Polacy.

— Co za sprawa?

— Nie będę się tu, ani przed tobą ze sprawą swoją wywodził. Otwieraj!

Głos i postawa Otka zrobiła widocznie wrażenie, bo głowa w okienku znikła, a za chwilę most ze zgrzytem i chrzęstem łańcuchów począł wolno opuszczać się ku dołowi, odsłaniając bramę niewysoką lecz szeroką, zbitą z grubych pni i sztabami żelaznymi okutą. Chłopcy wjechali na most, a nim dosięgli przeciwnego końca, poruszyły się wrzeciądze, zastukały odsuwane zasuwy i brama ze zgrzytem otwarła się przed nimi. Lisek pierwszy, przeżegnawszy się nabożnie, wjechał na dziedziniec, a za nim towarzysze. Ledwo przebyli sień, ciągnącą się pod basztą, gdy z trzaskiem zawarła się za nimi brama i most ze zgrzytem spuszczono.

Zatrzymali się, czekając na strażnika. Jakoż nadszedł po chwili. Był to chłop młody jeszcze, wysoki, ale suchy, z bladym licem, na którym czernił się krótki

zarost. Podszedł spokojnie ku jeźdźcom i zatrzymując konia Liska za uzdę — rzekł:

— Zsiądźcie z koni i poczekajcie chwilę. Pójdę zawiadomić bojaryna.

Skinął im ręką i oddalił się.

Na obszernym dziedzińcu nie było ni żywego ducha. Przed nimi za rozległym trawnikiem wznosił się budynek drewniany, z szerokim okapem, podpartym słupami, którego okna iskrzyły się różnokolorowymi szkiełkami, wprawionymi w ołowiane pręty. Jedne z nich były zamknięte, inne otwarte. Budynek był wysoki, piętrowy, ale cichy, jakby wymarły. Nie dochodził zeń żaden odgłos ludzkiego życia. Martwota i cisza wiała od wielkiego domu i od małych domków, przypartych do palisady po jednej i drugiej stronie trawnika.

Uprzedzeni przez Tatara o niesamowitości bojaryna, oczarowani ciszą gródka, chłopcy spodziewali się ujrzeć i usłyszeć coś strasznego, coś ścinającego krew w żyłach... a tymczasem...

Zanim strażnik doszedł do schodków, wiodących w drzwi wielkiego domu, nagle z jednego okna popłynął głośny a rzewny ton harfy, a zaraz potem połączył się z nim inny głos. Ktoś śpiewał czystym, chłopięcym głosem pieśń tak smutną, pełną skargi i bólu, zarazem tak piękną, że chłopcy, którzy nie zdążyli jeszcze zeskoczyć z koni, stanęli oczarowani i drżący. I chociaż po chwili śpiew i tony harfy umilkły, oni stali dalej bez ruchu i tak ich zastał powracający strażnik.

Skłoniwszy się im — poprosił:

— Ostawcie konie i pójdźcie za mną. Bojaryn czeka was i prosi na chleb i sól.

— A co będzie z końmi? — zapytał Otek.

Strażnik zamiast odpowiedzi wydobył zza pasa rożek i zatrąbił. Wnet z domku wybiegło kilku parobków, przypatrując się ze zdziwieniem przybyszom.

— Konie ochłodzić, napoić i dać jeść! — rozkazał krótko strażnik.

— To weźcie też ze sobą i Tatarzyna — rzekł, zeskakując z konia Lisek — tylko nie czyńcie mu krzywdy i dajcie mu co zjeść, bo głodny.

Ludzie, pobrawszy konie za uzdy, oddalili się ku stajniom razem z Tatarzynem, którego wprzód zesadzili na ziemię, a strażnik, skłoniwszy się raz jeszcze i ukazując ręką przed siebie — rzekł:

— Prosim was za mną!

Za czym obciągnąwszy na sobie pofałdowane suknie i poprawiwszy włosy, udali się ku domowi, poprzedzani przez strażnika. Znaleźli się wnet w sieni długiej i szerokiej, przystrojonej dywanami przecudnej roboty i zwisającymi, ciężkimi oponami. Na dywanach wisiała broń rozmaita i błyszczące w słońcu zbroje.

Strażnik podniósł jedną z opon i rzekł uroczyście:

— Oto goście!

— Prosimy! — dał się słyszeć starczy i przedziwnie miękki głos ze środka komnaty.

Przestąpiwszy oponę, stanęli chłopcy jak wryci, niepewni, czy śnią, czy to, co widzą, widzą rzeczywiście na jawie. We śnie chyba dotąd mogli oglądać ten przepych, jaki roztoczył się przed ich oczyma.

Oto stali w sali wysokiej, sklepionej w półkole, której ściany poobwieszane były przecudnej roboty dywa-

nami i materią. Słońce, wdzierające się przez kolorowe szkiełka, dodawało jeszcze barw temu obiciu. Przy ścianie dookoła stały stoły i ławy, a przy przeciwległej ścianie, na środku podłogi, zasłanej też dywanami i skórami zwierząt, znajdowało się podwyższenie, suknem czarnym pokryte. Nie tyle przepych sali, porywający oczy, ile osoby, siedzące na owym podwyższeniu, na złoconych krzesłach, oczarowały przybyszów.

Wsparty na poręczy krzesła siedział starzec, a na drugim młoda dziewczyna. Siwa broda starca spływała aż na piersi, zakrywając złote oblamowanie sukni. Twarz pogodna lecz bezmiernie smutna wyzierała spod siwych włosów, a czarne oczy miękko wpatrzyły się w postacie przybyłych, przechodząc zwolna z jednej na drugą.

Siedząca przy nim nieruchomo dziewczyna o twarzy, z jaką zwykle malują aniołów w kościele, w białej sukni ze złotym oblamowaniem, od której odbijały się czarne, długie, w kosy splecione włosy, trzymała w jednym ręku złoty łańcuch, zwisający jej z szyi, a drugą oparła na ramieniu starca. Piękną była. Chłopcy widzieli na grodzie wiele pięknych niewiast. Widzieli czarnookie, smagłe, o oliwkowej prawie cerze Ormianki, Rusinki ciemnowłose a niebieskookie, Niemki silnie rozwinięte, z jasnymi włosami i krotochwilne, o różowych twarzach Polki. Ale takiej piękności majestatycznej, królewskiej, jaka widna była na twarzy dziewczęcia, tej powagi, bynajmniej nie surowej, lecz naturalnej powagi dziewicy i wdzięku, z jakim pochylała główkę pod ciężarem kos, nie widzieli jeszcze nigdy. Przy tym na pięknej jej twarzy, tak jak i na

twarzy starca rozlewała się jakaś rzewność tkliwa, która jej najwięcej uroku dodawała.

Poniżej nich, na stopniu siedział młody chłopak, też bogato przybrany i leciutko trącał palcami struny harfy, którą przytrzymywał kolanami. Wszyscy oni patrzyli z pewną ciekawością, ale i z powagą na nowoprzybyłych.

A ci stali tuż przed oponą, zmieszani cudnym widokiem, nie śmiejąc zbliżyć się ani przemówić słowa. Widać odczuł to ich zakłopotanie starzec, bo uśmiechnął się lekko i rzekł:

— Prosimy bliżej! Nie godzi się gościom stać przed progiem. Prosimy!

Głos starca miękki i przyjazny przełamał czar, jakim dotknięci byli chłopcy. Pierwszy Otek opamiętał się i postępując ku przodowi, skłonił się głęboko i rzekł powoli, drżącym jeszcze od wzruszenia głosem:

— Niech będzie Jezus Chrystus, Pan nasz pochwalony!

— Na wieki wieków!

— I święty Jerzy!

— Służym Mu!

— Pozdrawiamy was, szlachetny panie!

— Jako i ja was!

— I was, dostojna pani!

Dziewczę skinęło główką, nie odpowiadając ani słowa.

Tymczasem chłopcy wśród ukłonów podeszli pod samo prawie podwyższenie i skłoniwszy się raz jeszcze, stali milcząc, bowiem nie godziło się im młodym, chociaż i gościom, pierwszym rozpoczynać rozmowy.

Nie myślał jej zaczynać i bojaryn, lecz wpatrywał

się bystro naprzód w Otka, potem w Wicherka, a potem oko jego spoczęło na wymęczonej twarzy Liska. Wzrok jego ślizgał się po całej postaci chłopaka, a im więcej się wpatrywał w niego, tym bardziej mieniła mu się twarz, dotychczas spokojna i cicha. Czarne oczy zaiskrzyły mu się ogniem, brwi ściągnęły się siwym łukiem nad oczyma, a po twarzy przelatywały błyskawicą, jakby niezmierne wzruszenie, ból i zdziwienie. Chwyciwszy ręką za poręcz krzesła, pochylił się cały ku przodowi i wpatrywał się, wpatrywał nieustannie, jakby oczyma chciał przebić Liska na wylot.

Zauważyli tę dziwną zmianę na twarzy starca chłopcy, zauważył ją i chłopak, siedzący u jego nóg. Więc wstał i oparłszy harfę o stopień, przypadł do kolan starca.

— Co wam to? — pytał miękkim głosem, objąwszy go z czułością za kolana.

Ale ten odsunął go łagodnie, wstał i nie odrywając wzroku od twarzy Liska, począł powoli schodzić ze stopni podwyższenia. Stanąwszy tuż przed Liskiem, położył mu rękę na głowie, a drugą wziąwszy go pod brodę, podniósł mu twarz na wysokość swojej i szepnął zduszonym głosem:

— Ktoś ty?

— Jam... Lisek... sierota — zaczął przerywanym od zdziwienia głosem chłopak. — U rycerza Włodka żyję... na łasce...

— Sierotaś ty, synaczku, sierota — szepnął, nie przestając wpatrywać się w niego starzec.

A po chwili zaczął mówić powoli, jakby nieprzytomnie, jakby duch jego był daleko, w krainie prze-

szłości i marzeń, głosem miękkim i śpiewnym, w którym drgał bezmierny ból:

— A skąd u ciebie te oczki czarne i te usteczka czerwone, łukiem zakrojone? I te brewki czarne i ten nosek zaokrąglony i ta twarzyczka drobna a blada? Czyżeś przyszedł spoza światów, aby mi serce napoić wspomnieniem? Skądeś ty przyszedł? Czy przygnała ciebie tutaj tęsknica? Kędyś błąkał się, gdy ja tu w smutku i strapieniu wyglądał twego widoku? Tyżeś to synaczku mój, tyżeś to, czy duch twój, niesiony tęsknicą i wspomnieniem do siedzib swoich zawitał?

Tu odjął ręce od twarzy chłopca, chwycił się za skronie i zamglonym wzrokiem potoczył po całej sali i po wszystkich zebranych, jakby ich wzrokiem prosił o odpowiedź. Wreszcie schylił głowę na piersi, ręce opuścił, oczy zamgliły mu się bezmiernym smutkiem i dwie łzy, jak perły, stoczyły się na brodę.

A wtem stała się rzecz nieoczekiwana. Oto Lisek, który od chwili przestąpienia sali czuł się bardzo nieswojo, a potem pod wpływem wzroku starca uczuł, że mu serce podchodzi pod gardło i bije, jakby się urwać chciało. Poruszony teraz pieściwymi słowy, doznał w sobie takiej bezmiernej litości nad tym starcem i taki ból w sercu, że się całkiem zapamiętał. Wydało mu się, że ktoś temu trzęsącemu się z rozpaczy staruszkowi jakąś niezmierną krzywdę uczynił i podświadomie wyczuł, że i on się do tej krzywdy przyczynił. Było mu tak na sercu, jak człowiekowi szczęśliwemu, gdy na swej drodze szczęścia natknie się na obdartego, ginącego z głodu żebraka. Ból, litość, coś jakby wstyd targnął nim z taką siłą, że niepomny na nic, upadł starcowi do kolan i uchwyciwszy go za ręce, począł je

okrywać pocałunkami, a łzy gorące leciały mu bez przerwy po twarzy.

Zdumieni chłopcy podtrzymali chwiejącego się starca, a dziewczyna zbiegłszy ze stopni, uklękła obok Liska i chwyciwszy dłoń ojca, załzawionym okiem wpatrzyła się w jego oczy. Wtem zaszemrały cichutko struny harfy i głos miękki, głos anielski zaczął nucić pieśń smętną a kojącą.

Starzec wstrząsnął się, podniósł głowę, popatrzył przytomnie po całej sali, a potem wziął dziewczynę za rękę i bez słowa podszedł z nią ku jednej z opon. Opona z cichym szelestem spłynęła za nimi na ziemię. Głos harfy umilkł.

ROZDZIAŁ XI

w którym Otek ślubuje damie swego serca

— Zali ja śnię? — wykrzyknął Otek, przecierając oczy. — Co to za dom? Kto jest ten starzec? Kto jest ta anielska pani? Co my tu robimy? Na Boga, mówże! — zawołał, chwyciwszy harfistę za ramię. — Czy czar padł na oczy nasze?... Kto wy jesteście? Mów, bo oszaleję!

— Pójdźcie, bracia, do ławy i usiądźcie sobie — rzekł tenże spokojnie, podnosząc Liska z ziemi i prowadząc do ławy. — Uspokójcie się. Zdrożeni musicie być długą drogą, toż i dziwnym się wam wydaje, co u nas jest widokiem codziennym. Siadajcie, proszę, bojaryn zaraz wróci. Nieraz ci on tak czyni i my przywykli do tego. Ale on się uspokoi i wróci. On biedny!

— A ona? A to dziewczę piękne? Kto ona?

— To jego dońka, Romiła. On bez niej i kroku nie zrobi. Jedna ona mu tylko ostała — dodał po chwili. — Usiądźcie, proszę! On wróci zaraz, przytomny i dobry, jako zwykle. Dobry on pan, jeno nieszczęśliwy.

— I dawno on taki... niesamowity? — spytał Lisek, siadając na ławie.

— Ja nie wiem, bom wtedy był bardzo maleńki i nie było mnie tu. Ale insi mówią, że od śmierci żony, a będzie temu już z piętnaście roków.

— I zawsze on taki?

— Ej, nie! Bywa czasami, że mu ktoś bojarynę nieboszczkę, Panie świeć nad jej duszą, albo syna przypomni, to wtedy on szaleje, jako i dziś widzieliście. Ale to rzadko. Nie często tu ktoś przychodzi, a on z kasztelu nigdy się nie rusza, tylko siedzi tu, w tej sali i duma, duma, z córką mówi i mojej pieśni słucha.

— A gdzie ty się tak pięknie grać i śpiewać nauczył?

— Bywał ja po różnych krajach i w Carogrodzie był. Tam mnie pewien monach nauczył na harfie przygrywać, a pieśni... to sobie sam składam — zakończył, spuszczając skromnie oczy.

— Toś ty strasznie mądry — rzekł Lisek. — A siła tobie roków?

— Osiemnaście.

— To tyle, co i mnie — odezwał się Wicherek.

— Takiś młody i tyleś świata zwiedził! — zdziwił się Otek.

— Ociec mój sławnym był rycerzem na dworze księcia Jura. Jeździł po świecie i mnie brał ze sobą.

— Pomer już?

— Zabiły go insze bojary.

— Zaś czemu?

— Bo był przyjacielem księcia. Rozumiecie?

— Rozumiemy! Panie świeć nad jego duszą! A jak ciebie zowią?

— Jam jest Jurek Siemiaszyc, a bojaryn to mój stryk.

— I od śmierci oćca jesteś u niego?

— Nie! Matka moja Greczynką była z Carogrodu i tam żyliśmy po śmierci oćca. Pomarła pięć lat temu i wtedy mnie tu przywiózł stary druh oćca, Zawaryn.

— Toś ty biedaku krugły sierota, jako i ja — rzekł Lisek.

— A tak! Ale powiedzcie, kto wy jesteście i jako was zowią?

Nie zdążyli jednak chłopcy odpowiedzieć na ono pytanie, bo wraz podniosła się opona i stanął w niej człowiek stary, starszy od bojaryna, też z siwą długą brodą i mocno już pochylony. Nie szedł do komnaty, tylko skinął na Jurka, a tenże zaraz podskoczył do niego i poczęli coś szeptać ze sobą, patrząc często na gości. Po chwili starzec znikł za kotarą, a Jurek powrócił do chłopców.

— Kto zacz ten staruszek? — spytał Lisek.

— To stary druh nasz, ociec Zawaryn.

— Ksiądz? — zdziwił się Lisek.

— Nie!

— Przeczże go oćcem zowiesz?

— Bo stary.

— Aha! Cóż tedy ociec Zawaryn?

— Prosił was do innej komnaty, gdzie zjecie coś i wypoczniecie, boście widać zdrożeni.

— Ale my musimy z bojarynem pomówić.

— On tam przyjdzie. Teraz pora posiłku u nas.

— Zatem chodźmy! — zgodził się Otek. — Prowadź nas! Im prędzej bojaryn dowie się, z czym przybyliśmy, tym ci lepiej dla niego.

Poprzedzani przez Jurka, przeszli kilka komnat mniejszych i większych, równie pięknie przystrojonych kobiercami i bronią i wreszcie weszli do komnaty niewielkiej, ale jasnej, do której światło buchało przez otwarte okna. Stał tam na środku długi stół, przy nim ławy, wszystko grubym suknem zasłane, a na jednym jego końcu siedział bojaryn na krześle o wysokim oparciu i gładził po głowie siedzącą przy nim córkę.

Gdy goście weszli, bojaryn wstał, wyszedł im naprzeciw i już z daleka zaczął mówić, rozłożywszy ręce:

— Darujcie synaczki, że was tak cudacznie przyjąłem. Stary jestem i umysł mam znękany. Więcej on ku przeszłości się zwraca, niż patrzy na to, co jest. Jam jest Andrzej Siemiaszyc, Ruryków prawnuk, a to moja dońka Romiła. Biedna ona, niemowa, nie wiele was zabawiać będzie, ale rozumie wszystko, co się do niej mówi.

Chłopcy skłonili się raz jeszcze starcowi, potem dziewczęciu, które z lekkim uśmiechem skinęło im główką, a Otek przemówił:

— I my prosim o przebaczenie, żeśmy wtargnęli w ten dom cichy na wasz niepokój i troskę. Ale przychodzim ze sprawą ważną a przykrą.

— Cóż przykrego może mnie jeszcze spotkać? — zapytał bojaryn, trzęsąc głową z niedowierzaniem. — Za mną trupy moich najbliższych, przede mną truchła i sieroctwo mojej niebogiej. Ale oto mów synaczku, z czym przyszedłeś ty i twoi towarzysze.

— Panie! Jestem Mieczysław, syn rycerza Ottona

z Pilczy, herbu Topór, któren starostą był na grodzie lwowskim, a ninie przy królu pozostaje. A ci — wskazał na Wicherka i Liska — to moje druhy serdeczne. Ten oto to Krzysztof, syn strażnika Włodka, a ten to jego brat przyrodni Lisek.

— Witajcie i spocznijcie! Usiądźcie przy stole i podzielcie z nami, co Bóg dał.

— Nie odmówimy posiłku — rzekł Lisek — wprzód posłuchajcie jednak, z czym przyszliśmy.

— Wolałbym, byście naprzód wypoczęli i zjedli, bo widać po waszych twarzach, żeście zdrożeni podróżą.

— Ale sprawa jest pilna — oponował Lisek. — Południe już dochodzi, a potem może być późno.

— Siadajcie tedy i mówcie, z czym przychodzicie.

Chłopcy usiedli na ławie, bojaryn na swoim miejscu i Lisek począł opowiadać. Mówił krótko, nie wspominając, dokąd jadą i po co, jak nocując w lesie napadnięci zostali przez zbójów, jak on, Lisek, zataił się i co usłyszał od zbójów, stojąc ukryty za drzewami. Bojaryn słuchał, nie przerywając ani razu, tylko spokojnie kiwał głową i patrzył w opowiadającego. Kiedy jednak Lisek napomknął, jak się Koniucha odgrażał jemu i jak go wyzywał, bojaryn zdziwił się i spytał:

— Koniucha zowie się on zbój?

— A ino!

— Nie znam go.

— Ale on was zna, panie.

— Dziwno mi to. A jak on wygląda?

— Wielki jest, na gębie całkiem czarny i brak mu jednego oka.

— Oka mu brak? — krzyknął, zrywając się z krzesła bojaryn. — Widziałeś to dobrze?

— Jako i was, panie, widzę. Wyglądał, jakby mu kto ono oko wyłupił, bo dziurę ino ma na tym miejscu.

— Hej, dla Boga! Byłże by to... — i bojaryn nie dokończył, lecz ukrył twarz w dłoniach i tak siedział chwilę zadumany.

Nagle ruchem szybkim i zdecydowanym ręce odjął od twarzy, wstał, wyprostował się i klasnął po kilkakroć w dłonie. Na to podniosła się kotara i stanął w niej starzec, nazwany przez Jurka ojcem Zawarynem. Bojaryn skinął mu ręką, żeby podszedł bliżej i wskazując na chłopców — rzekł:

— Te oto młodzieniaszki przyszli mnie ostrzec przed zbójami. Pedają, co się ich dzisiaj w nocy spodziewać mamy na gródku, a prowadzi ich Koniucha. Znaszli takiego?

— Coś tam słyszałem o Koniusze.

Głos starca był drżący i mocno seplenił przez zęby.

— Peda oto ten młodzieniaszek, że mu brak jednego oka.

— Brak mu jednego oka? To i cóż z tego? Mnogo ludzi nie ma jednego oka.

— I że mnie zna.

— Ta!

— I że mścić się chce i odgraża się szpetnie.

Zawaryn zamiast odpowiedzi kiwnął niedbale ręką.

— Słuchaj druhu! — zagadnął znowu bojaryn. — A może to...

— Kto?

— Bynka... — wydusił z siebie bojaryn.

— Bynka? — pokręcił głową z niedowierzaniem Zawaryn. — To być nie może! On — Koniucha?

— Ale oka nie ma, jako i tamten.

— Mnogo ludzi nie ma oka — powtórzył raz jeszcze starzec.

— Ale wysoki jest, czarny na gębie i mnie nienawidzi.

— Ha! Może Bóg cuda działać, wiadomo!

— Cóż tedy radzisz?

— A nic! Drużynę zebrać i czekać.

— A gdzie drużyna?

— W puszczy siemiatyckiej. Poluje.

— Tedy przywołaj mi Hrehora!

Zawaryn wyszedł, a Siemiaszyc usiadłszy na krześle, patrzył przez chwilę ponuro przed siebie, a potem zwrócił się do Liska:

— Powiadaj dalej, synaczku, jakeście się wyrwali z rąk zbójów?

Więc Lisek począł dalej opowiadać, jak Koniucha wyprawiwszy naprzód oddział na Tarnawkę, sam potem z drugim oddalił się, jak on, Lisek, pozabijał wartowników, przyjaciół oswobodził i tu przyjechali z Tatarzynem, aby go ustrzec.

— Myślą więc, że ja bezbronny — zapytał Siemiaszyc.

— A ino! — przyświadczył Lisek.

— Pomylili się. Bóg ich pokarze przez ręce mojej drużyny.

— A zaś drużyna daleko. Co zrobicie, panie?

— Ściągnę ją. Nie ma strachu. Coś gorszego jest...

— A co, panie?

— Bo jeśli to Bynka...

— To co?

— Boję się, bym do cna nie oszalał — wyszeptał Siemiaszyc i spuścił głowę.

Podczas gdy Lisek opowiadał o nocnych swoich przeżyciach, Wicherek bezmyślnym okiem wodził po całej sali i zdawał się zupełnie nie słyszeć opowiadania Liska. Inaczej Otek. Ten się także nie odzywał, ale z innego powodu. Od kiedy usiadł na ławie wodził okiem po postaci, siedzącej na wprost niego i zdawało się, jakoby jakaś siła nieznana a potężna przykuwała wzrok jego do tych czarnych włosów, splecionych w ciężkie kosy, do tych oczu, przykrytych długimi, jedwabistymi rzęsami, do tych policzków bladych, przez które, zdawało się, jakoby promień słońca przechodził i do tych ustek karminowych, z których nie usłyszał jeszcze ani słowa. W pewnej chwili dziewczę, jakby odczuło wzrok jego, zwolna podniósłszy powieki wpatrzyło się wzrokiem smutnym i jakże anielskim w jego oczy. Otek poczuł, że mu serce bije w piersiach tak prędko, jakby się urwać miało, a jednocześnie doznał wrażenia, że już gdzieś anielską twarz tę widział, tylko nie zdawał sobie sprawy, czy widział ją we śnie kiedyś czy na jawie. A dziewczę patrzało długo w oczy młodzieńca, w końcu cudne jej lica jakby się wypogodziły, na ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech, a oczy zamgliły się szczęściem i zapadły pod rzęsy. Wówczas Otek uczuł, że jeśli nie wyrwie się spod władzy tych oczu, gotów krzyczeć i płakać, chociaż sam nie wiedział czego. A ponieważ po ostatnich słowach bojaryna cisza zapanowała wśród zebranych, otrząsnął się Otek i zwrócił się do bojaryna:

— Kto to jest Bynka, panie?

Ale zaraz pożałował swego pytania. Bojaryn podniósł głowę powoli, popatrzył nań smutno mętnym, zbielałym okiem i rzekł cicho:

— Nie pytaj! Nielża rozwierać stare rany, bo krew na nich jeszcze nie przeschła.

A położywszy dłoń na głowie dziewczęcia, wpatrzył się w jej oczy i rzekł cichym, bólem nabrzmiałym głosem:

— Spójrz na mnie, doneczko moja, robaczku mój! Niech w oczach twoich znajdę ulgę na ból, co mi piersi rozsadza. I ty, chłopczyno moja — objął za szyję Jurka. — Dwoje was mam na świecie, dwoje kochanych. Niechże was Bóg błogosławi, że mi jesteście osłodą smutnej starości.

I znowu milczenie zaległo salę, gdy wtem Lisek nieśmiało powstał z ławy, zbliżył się do bojaryna i skłoniwszy się nisko, rzekł prosząco:

— Przyjmijcie i mnie, panie, za syna swego. Sierotam jest, a gdybym miał oćca, więcej bym go nie nawidził, jako was nawidzę. Mizerny jestem pachołek, wszelako oddałbym chętnie ostatnią kroplę krwi, aby was pocieszyć.

Coś jakby błysk szczęścia mignęło po twarzy Siemiaszyca. Położył obydwie ręce na ramionach Liska, a potem przygarnął go nagłym ruchem do siebie i przycisnął do piersi.

Na to Otek porwał się z ławy, ukląkł obok Liska pomiędzy bojarynem a jego córką i rzekł:

— Nie tyle po rycerskim zwyczaju, ile po myśli serca swego pytam was panie, zali pozwolicie, abym był rycerzem doneczki waszej?

A nie czekając na odpowiedź bojaryna, zwrócił się ku Romile i rzekł głośno, z przyciskiem wymawiając każde słowo:

— Ja Mieczysław, syn Ottona, ślubuję ci, pani,

służbę swą rycerską do godziny śmierci pełnić i to ci ślubuję, że starać się będę, choćby mi było trzeba krew wytoczyć dla ciebie, aby liczko twe cudne uśmiechem szczęścia zajaśniało. Tak mi dopomóż Bóg i święty Jerzy, patron nasz!

— Amen! — odpowiedzieli wszyscy głośno.

Na blade lice dziewczęcia padł różowy promień, a oczy jej rozgorzały blaskiem szczęścia. A kiedy Otek ze czcią przycisnął do ust jej rączkę, pochyliła się ku niemu i usta swoje przycisnęła lekko do jego rozpalonego czoła.

Ani bojaryna, ani nikogo nie zdziwił postępek Otka, bo już w owym czasie utarł się zwyczaj, przyjęty z Zachodu, że rycerz mógł ślubować wybranej sobie niewieście, choćby to nawet była mężatka, a śluby te nie zobowiązywały ani jednej, ani drugiej strony do niczego, tylko do wierności ślubu ze strony rycerza. Wszelako bojaryn cieszył się więcej z tego ślubowania, bo czuł, że ten młodzieniaszek nie ze zwyczaju rycerskiego, ale sercem ślubował, a ponieważ kochał córkę ponad wszystko, miło mu było, że dziewczę jego tyle przychylności znalazło w sercu obcego młodzieńca. Więc wypuściwszy Liska od siebie, uściskał gorąco Otka i rzekł:

— Służże jej, synaczku, służ, ale szczęścia jej nie przywrócisz. Od Boga ono zawisło i do Boga odeszło. Wszelako nie godzi się w tak radosnej godzinie stare rany odrywać.

Tu klasnął w dłonie i zawołał:

— Hej, służba!

Za oponą pojawił się ten, który gości wpuścił do środka.

— Miodu, wina i potraw! — rozkazał.

Nie minęło i pół pacierza, jak komnata zaroiła się od różnobarwnie przybranej służby. Wnet zastawiono stół srebrnymi misami, na których polane suto korzennym sosem leżały całe połcie pieczonego mięsiwa, a obok ustawiono srebrne dzbany, pełne wina i miodu. Przed każdym z gości obok srebrnej miseczki stały dwa kubki szczerozłote, pięknie rzezane i wysadzane drogimi kamieniami.

Bojaryn w jeden taki kubek nalał pieniącego się miodu, wstał i podniósłszy kubek do góry — rzekł:

— Starym zwyczajem ojców naszych witam was w mojej chacie! Jedzcie i pijcie, u siebie jesteście!

A zwróciwszy się do służby, która ustawiła się rzędem pod ścianami — dodał:

— Oto goście moi i druhy serdeczne. Pokłońcie się im, bo jako ja, tako i oni tu panami są!

Za czym wszyscy powstali, pokłonili się sobie wzajemnie, a potem uderzywszy się kubkami, wypili do dna pieniący się napój.

Zaraz podano wody do umycia rąk, a kiedy usiedli i poczęli rozbierać mięso rękami, jako wówczas było powszechnie przyjęte, służba nalewała w kubki napój i roznosiła po sali.

ROZDZIAŁ XII

w którym Lisek zowie zbójów ludźmi

Jedli poważnie w milczeniu, jako zwyczaj nakazywał, według którego jedzenie było pewną ceremonią, którą należało z powagą sprawować. Bojaryn miał obok

siebie córkę, a z drugiej strony Liska, i jedząc, rzucał okiem po tych dwóch twarzach, a wtedy nad czołem zbierały mu się zmarszczki i popadał w zadumę. Ale tylko na chwilę, bo wnet czoło rozpogadzał i przepijał kubkiem do któregoś z gości, zachęcając uśmiechem do picia. Obok Liska siedział Wicherek, a przy nim Jurek, który usługiwał mu z uśmiechem, dokładając co najlepszych kęsków i przepijając często do niego ze złotego kubka. Wicherek nie potrzebował zachęty; jadł i pił wiele, bo był zgłodniały, a spośród trzech przyjaciół najroślejszy, najwięcej potrzebował posiłku.

Uszczęśliwiony Otek siedział koło damy swego serca i jadł mało, służąc jej z zapałem, co ona przyjmowała, dziękując mu uśmiechem i wzrokiem. On był szczęśliwy, jak nigdy jeszcze w życiu. Zapomniał w tej chwili, gdzie jest i co się im wydarzyło, zapomniał nawet o poselstwie swoim, cały zapatrzony w czarne oczy i liczko dziewczęcia. Ona przyjmowała kąski, jakie jej podsuwał, zachęcając go wzrokiem i ręką do jedzenia, a wreszcie umoczyła usta w swoim kubeczku i podała mu go z uśmiechem na twarzy. Otek jedną ręką przyjął kubek, a drugą uchwycił rączkę, którą mu podała miód i do ust przycisnął. Wypiwszy do dna napój, szepnął:

— Za twoje zdrowie, cudna panno!

Dziewczę skłoniło główką, dziękując, a potem obróciwszy się do pachołka, który mimo przechodził, skinęła, aby się zatrzymał i wykonała kilka ruchów palcami. Ten widocznie zrozumiał o co chodzi, bo w jednej chwili znikł za kotarą, a zaraz potem wrócił, niosąc w ręku tabliczkę woskową w złotym obramowaniu

i złoty rylec. Dziewczę chwyciło tabliczkę i oparłszy o stół poczęło kreślić na niej rylcem, a następnie zwróciwszy się do ojca podało mu ją. Bojaryn przeczytał, uśmiechnął się i zwrócił się do Otka:

— Słuchaj no, Mieczyku, bo Mieczkiem się zowiesz?

— Tak, panie, a druhowie moi zowią mnie Otkiem.

— A przecźże tak?

— Bo oćcu memu jest Otto, tak i mnie wołają.

— Tedy, Mieczku, doneczka moja się pyta, zali uczono cię czytać?

— Jużci — rzekł wesoło. — I błogosławię ninie ręce oćca Grzegorza, któren mnie nieraz po włosach wytargał za liche czytanie. Nie umiem wprawdzie tak dobrze, jak Lisek, któren u oćca Grzegorza ciągiem siedzi i po łacinie już wyrozumieć może.

— Tyle tam tego umiem, co kot napłakał — rzekł zawstydzony Lisek. — Nie słuchajcie go, panie, bo on dworuje sobie ze mnie, jako zawsze zwykł czynić.

— Dworuje, a może i nie — uśmiechnął się bojaryn — zawsze tam musi być coś na rzeczy. Tedy dobrze, że umiecie czytać, bo nieboga moja tylko pismem rozmówić się potrafi. Bóg zabrał jej mowę, kiedy małą jeszcze była, a za to dał jej wielki rozum. Piszże tedy dzieweczko, co masz pisać, bo musimy naradzić się, jak przyjąć naszych gości, co się nam na noc obiecali.

Dziewczę skreśliło kilka słów na tabliczce i podało Otkowi. Jemu serce zabiło żywiej, gdy przeczytał tak krótkie, a tyle mówiące pytanie:

— Nawidzisz mnie?

— Do ostatniego tchu, do godziny śmierci! — odrzekł z żywością.

— Tedy módl się do Przeczystej Panienki — pisało

dziewczę dalej — aby mi mowę wróciła, a wtedy będę szczęśliwa i uśmiech nie będzie schodził z ust moich.

— Dawno nie mówisz?

— Piętnaście roków, a cztery miałam wtedy, gdy zaniemówiłam.

— I bez co straciłaś mowę?

— Oni mówią, że ze strachu, ale ja nie pomnę. Zabaczyłam wszystko.

Chciał jej Otek powiedzieć, że nie tylko modlitwy, ale i życie swoje dałby jej w dani, aby jej szczęście przywrócić, ale właśnie za podniesioną kotarą stanął gość nowy i wszystkich oczy skierowały się na niego.

Był to człowiek nad miarę ludzką wyrośnięty i barczysty. Wicherek, który był najroślejszy spośród swoich przyjaciół, musiałby porządnie głowę zadrzeć do góry, aby onemu człowiekowi w twarz spojrzeć. A twarz ta była ciekawa. Porośnięta jak bór zarostem ciemnorudawym, pośród którego wystawał nos potężny, jakby związany u dołu dwoma kiściami sumiastych wąsów i oczy wielkie, niebieskie, patrzące zawsze jakby zdziwione na świat boży. Długie włosy w pukle uwite zwisały mu aż na łosiowy kaftan, w który był odziany, a odciśnięte na nim znaki po rzemykach od zbroi i pas szeroki, rycerski, bogato naszywany, zdawały się świadczyć, że ten człowiek częściej w zbroi i przy mieczu przebywał, niż przy kominku domowym.

Na skinienie Siemiaszyca zbliżył się parę kroków ku nim, pokłonił się głęboko naprzód bojarynowi, potem Romile, potem wszystkim gościom, zgromadzonym przy stole i mówił niskim, basowym głosem przy każdym ukłonie:

— Pokłon wam, szlachetny panie... i wam dostojna

pani... i wam przezacni goście! Wzywaliście mnie, bojarynie?

— Wzywałem. Pójdź owo bliżej, usiądź i podziel z nami posiłek. Gości mamy, druhów serdecznych, którzy mnie ostrzec przyszli przed zbójami.

— Wiem! — odrzekł krótko.

— Skąd wiesz?

— Powiedział mi Zawaryn.

— Zawaryn? — uśmiechnął się bojaryn. — Zali on potrafi mówić coś sam od siebie?

— Ja z niego zawsze coś wycisnąć potrafię.

— Wiem, wiem. Niechaj wam będzie wiadomo — zwrócił się z uśmiechem do gości — że ten oto rycerz Hrehory, powiernik mój i wojewoda mojej drużyny, gdyby chciał u diabła tajemnicy szukać, to by ją znalazł. Taki on chytry.

— Nie dworujcie ze mnie, panie — wymawiał się olbrzym. — Mizerny ja człowiek, na łasce waszej żyjący. Służę, jak umiem.

— I wiernie służysz, wiem. Siadajże teraz, jedz i pij, a potem pogadamy o zbójach.

— Połkną oni ość przy onym napadzie i udławią się — rzekł, siadając przy Otku Hrehory. — Jużem pchnął pachołka po drużynę do siemiatyckich lasów. Niedługo tu będą.

Usiadłszy, począł spoglądać kolejno i rozpoczął oczywiście od swego sąsiada Otka. Przypatrzywszy się mu dobrze, położył ciężką swoją dłoń na jego ramię i spytał:

— Tyżeś syn pana Oty?

— Ja! Znacie to mnie?

— Jakże! Jam z ojcem twoim na dworze króla Ka-

zimierza poznał się, posłując od naszego kniazia, Panie świeć nad jego duszą. A potem, kiedy starostą był na grodzie, nie raz i nie dwa jegom i ciebie koło niego widział. Zrazum ciebie nie uznał, boś wyrósł i tęgi z ciebie pachołek się zrobił.

— A tego nie znasz? — spytał ciekawie bojaryn, wskazując na Liska.

— Nie! — odrzekł olbrzym, przypatrując się chłopcu.

Po chwili jednak dodał, kręcąc głową ze zdumieniem:

— Ale że podobny on, to podobny!

— Do kogo? — pochwycił bojaryn.

— Et, bajki! — kiwnął ręką, ale nie przestawał wpatrywać się w Liska.

Tymczasem nalano mu w kubek miodu i bojaryn, podniósłszy się, uderzył swoim kubkiem w jego:

— Za twoje zdrowie, druhu!

Ocknął się rycerz, porwał kubek, który całkiem schował się w jego olbrzymich palcach, skłonił się, podziękował i wypiwszy do dna, otarł rękawem wąsy, siadł i dalej wpatrywał się w Liska.

— Dziw, dziw! — mruknął pod nosem. — Różni ludzie po świecie chodzą, ale to podobieństwo...

— Co tam mruczysz, stary druhu? — zaśmiał się bojaryn. — Bierz oto lepiej i jedz, bo w drogę ci trzeba ruszać.

— A dokąd?

— Ano, ze zbójami potańcować.

— Bogdaj z nimi diabeł tańcował, nędza i śmierć! — zaklął. — Włóczy się to plugastwo po świecie, dobrych ludzi łupi, tak że już i po drogach przejechać trudno.

Ale że oni na dwór nasz, panie, zaważyli się napaść, to już im chyba Pan Bóg rozum odebrał.

— Jak myślisz, jak to się przed nimi obronim?

— Cale się bronić nie będziemy.

— Jakto? — wykrzyknął Otek. — Pozwolicie im zniszczyć i spalić wszystko i szyje nastawicie, aby wam łacniej urzezać mogli? Tegom się nie spodziewał, jadąc tu.

— A cóżeś ty myślał? — zagadnął z uśmiechem Hrehory.

— Ano, wpaść na nich i wytłuc do nogi!

— Łebski z ciebie chłopak i dusza w tobie rycerska, jako i w oćcu twoim. Ale com powiedział, to będzie: nie my się będziemy bronić, bo nie nas oni napadną, jeno my ich.

— Kędyż chcecie ich napaść? — zapytał Lisek.

— Myślę, ano, że pod wieczór pójdziemy w puszczę i poślem wypatrywaczy. Kiej ich wypatrzą, bo tam ino zbierać się będą, osaczymy ich całkiem cicho, wpadniem na nich i wysieczem, że i noga jedna nie ujdzie.

— Dobrze mówicie — przytaknął Wicherek, któremu oczy zaświeciły się do bitki. — Nie będą oni spodziewali się was i położą się pokotem w lesie.

Lisek jednak pokręcił niechętnie głową.

— Cóż to, synaczku — zapytał bojaryn — niedobra wydaje ci się rada rycerza Hrehora?

— A nie!

— Maszli jaką inną, to mów — rzekł olbrzym.

— A mam i widzi mi się, że lepszą. Kiedyśmy jechali do was, droga wiodła przez groblę wąską, pomiędzy bagnami. Jestli inna droga, po której można się dostać do was?

— Nie masz innych, jeno ta.

— Tedy pochowajcie się z jednej i drugiej strony grobli w oczeretach, które tam wysoko rosną, a bez wyciągania miecza będziecie ich mieli w rękach. Kiej byście rzucili się na nich w puszczy pobilibyście ich, to nie ma gadania, ale i oni broniliby się i waszych mogłoby lec sporo. A tak i z waszych nie padnie nikt, a i oni widząc, że są otoczeni, zdadzą się wolno na waszą łaskę. Dyć to chociaż i zbóje, ale zawdy ludzie i lepiej ich w łyka powiązać, niż zarzezać jak barany.

— Zowiesz ich ludźmi? — zaperzył się Hrehory. — Toć to pomiot ludzki, gadziny, które zdusić trzeba.

— A wy zowiecie się krześcijaninem — rzekł Lisek poważnie — a zabaczyliście, że ano Pan nasz Jezus Chrystus łotrowi na krzyżu przepuścił i do raju go wziął. Godzisz się to krześcijaninowi, a także i zacnemu rycerzowi nie naśladować Go?

— Dobrze prawi — rzekł bojaryn, a dziewczę przytaknęło po kilkakroć głową.

— Dy to plugastwo — bronił się rycerz — i kiejby ich starosta ujął, poszliby na stryk, jak amen w pacierzu.

— Tedy ujmijcie ich i zawiedźcie do grodu. Ma starosta prawo karania, zrobi sąd nad nimi i ukarze ich, a wy się krwią ich nie kalajcie.

— Może być tak synaczku, jak mówisz, a może i nie być — rzekł z namysłem bojaryn. — Zali pewni jesteśmy, że się zechcą nam zdać? Wiedzą oni, że tak czy tak śmierć ich czeka, będą woleli tedy bić się, bo sprawiedliwie sądzić mogą, że się niejednemu z nich przebić uda.

— Może być i tak, ale wtedy łacniej ich tam na grobli pobić, niż w lesie, gdzie się kryć mogą po drzewach. A po wtóre ociec Grzegorz, któren najmądrzejszy jest od wszystkich, siła świata zwiedził i wszystkie księgi święte zna, powiada, że bez koniecznej potrzeby nielża i muchy zabijać, bo żyje z łaski Boga i przez Niego pełni swój czyn. Zważcie, że nas Bóg przywiódł do was i myślę, że nie na to, abyście uwiadomieni, zbójów mieczem pokarali, a na to, abyście sami miłosierdziem Boga uratowani i onych nieszczęśników oszczędzili. Śmiejcie się ze mnie, ale tak przeczuwam, że wam ów napad radość w dom przyniesie i dawne szczęście powróci, którego ninie wam brak, jak widzę.

Lisek zapalił się i ostatnie słowa wymówił, jakby w uniesieniu proroczym.

Nastała cisza i każdy ważył w myślach słowa młodzianka, a bojaryn położył mu rękę na głowie i rzekł słodko:

— Obyś wymówił w dobrą godzinę! Radość już mamy, bo skroś tego napadu możemy was oglądać, a najwięcej cieszę się tobą. Ani wiesz, synaczku, jakiś mi miły. Kiej spojrzę na cię, stare wspominam lata i jakieś obrazy słodkie a dawne zalewają mi duszę.

— To i wam się coś zwiduje, bojarynie? — zapytał nagle Hrehory.

— Co?

— Ej, nic! — kiwnął ręką — tak mi się coś zwiduje, ale to głupstwo.

— Dziw, dziw! — mruknął do siebie. — Gdybym niedźwiedzia nie baczył na własne oczy, myślałbym że to on. Et, baje!

Tu strzepnął ręką, ale myśl jakaś uparcie krążyła

po jego olbrzymiej głowie, bo coraz to podnosił krzaczaste brwi i ogromnymi palcami gładził brodę.

— Jakże tedy będzie? — przerwał milczenie Lisek. — Do puszczy pójdziecie, panie, czy na groblę?

Bojaryn popatrzył nań chwilkę, a potem zwrócił się do Jurka:

— Juraszku, serce moje, przynieś no harfę i zaśpiewaj nam swoje dumki. Może nas one pouczą, jak lepiej czynić.

Jurek wybiegł i za chwilę powrócił, niosąc w ręku harfę. Usiadłszy, przycisnął ją do siebie i wprawnymi palcami przebiegł po strunach, a one rozełkały się i rozdźwięczały, napełniając całą komnatę słodką muzyką.

Nagle Romiła chwyciła tabliczkę, nakreśliła szybko parę słów i podała ojcu. Ten przeczytawszy zwrócił się do Jurka:

— Doneczka prosi, abyś jej zaśpiewał ową dumkę o pannie niewidzącej i o kształtnym rycerzu.

Jurek skinął głową. Popłynęły rzewne tony, naprzód ciche, nieśmiałe jakby, potem głośniejsze, coraz pełniejsze, a wreszcie zdało się, że to nie jedna harfa gra, ale cała kapela strun łka, zawodzi i płacze. Tony powoli ścichały, ale dołączył się teraz do nich głos inny, rozedrgany, pełny a przemiły głos młodzieńczy. Wszyscy zasłuchani oparli głowy na dłoniach, nawet Wicherek porzucił swoje bezmyślne przypatrywanie się obiciom komnaty i przechylając głowę, spozierał na zwinne palce Jureczka. A on śpiewał, oczy podniósłszy do góry, a piękna twarz jego drgała od wzruszenia i bladła, to czerwieniała na przemian.

— Hej, za siedmiu górami, ta za siedmiu rzekami,

gdzieś daleko u wrót świata, w lesie, w którym drzewa splatały się konarami, jak dziewoje ramionami, stała chatka w ziemię wpadnięta, pochylona ku starości, mchem i zielem porośnięta i wiatrem obwiana i słonkiem bożym ozłacana. Tam to dziewoja nieboga cienkie nitki z pajęczynki snuła, złote włosy czesała i z niewidomych oczu łzy lała. I cichutkie smutne piosenki śpiewała.

Oj, doloż, dolo nieszczęśliwa!

Długo ciągnęła się pieśń Jureczka. Słyszałeś w niej krzyk rozpaczy i wycie wichru i jęk burzy. Głos drgał mu wzruszeniem, a kiedy umilkł śpiew i uciszyły się struny, oni jeszcze siedzieli w milczeniu, zasłuchani w ostatnie tony, które tłukły się odbite po ścianach. Wreszcie podniósł bojaryn głowę, powtarzając ostatnie słowa pieśni.

...A nie pomogą nic i ludzkie złości przeciwko boskiej litości... Idziemy na groblę!

— Tedy i nam spieszyć trzeba! — rzekł Lisek.

— Jak to? Chcecie nas opuścić? — zdziwił się bojaryn.

— A ino! — przytwierdził Otek, wyrwany nagle ze słodkiego czaru ku rzeczywistości. — Daleka przed nami jeszcze droga; musimy was pożegnać, panie!

— Zaczekajcie do jutra, gdzie wam tak spieszno?

— Musimy, panie! Za sprawą jedziem pilną.

— Z jaką sprawą?

— Darujcie! Nie mogę powiedzieć. Nie nasza to sprawa, a cudza.

— Powiedzcie bodaj, czy daleko jedziecie?

— Daleko, panie, do Lublina.

Bojaryn spuścił głowę i zdawał się namyślać nad czymś, ale tu wmieszał się do rozmowy Hrehory:

— Słuchajcie, bracia! nielża wam dziś jechać dalej.

— A to czemu?

— Zbóje się kręcą koło nas i łacno was znowu uchwycić mogą. Pozostańcie u nas do jutra, a ja wam tak uczynię, że w trzy dni prędzej do Lublina dostaniecie się, niżbyście jechali.

— Jak to uczynicie?

— Poszlę z wami przewodnika, a on was poprowadzi do miejsc, gdzie mamy konie rozstawne. Świeżymi końmi będziecie mogli poganiać i wprędce do Lublina dojedziecie. Widziałem w stajni wasze konie. Niedaleko one pójdą bez częstego wypoczynku. Ostańcie, a nic nie stracicie, mówię wam!

— Jakoże myślisz? — zapytał Lisek Otka.

— Ostańmy! — wyrwał się Wicherek. — Pójdziemy zbójów kropić.

— Ha! jeżeliście tacy dobrzy, panie, że chcecie nam pomóc, to już ostaniemy, ale pójdziemy z wami na zbójów.

— Ejże! — zaśmiał się bojaryn. — Pójdziecie? No, ale zdrożeni jesteście! Juraszku, serdeńko, zaprowadź ich na łoża, niech spoczną, a potem o zbójach jeszcze pomówimy. No, bywajcie zdrowi!

ROZDZIAŁ XIII

w którym Hrehory dziwnie doświadcza Liska

Dobrze już było po południu, gdy Lisek porwał się z łoża, na którym zmęczony wczorajszą podróżą i nie

przespaną nocą spał smacznie. Obok niego, na łożach ustawionych przy ścianach spali jego towarzysze, a spali jeszcze tak twardo, że nie obudził ich nawet szczęk oręża, dolatujący przez okna ze dworu, krzyk i granie rogów.

— Musi drużyna wróciła z puszczy — mruknął do siebie — wyjdę zobaczyć. Usnąć już i tak nie zdolę, bo harmider czynią taki, żeby i umarłego zbudzili. Moi kamraci jeszcze śpią, widać mocno pomęczeni. Ano, niech se ta jeszcze śpią, ale ja pójdę.

Przeszedł przez kilka komnat i szczęśliwie wydostał się do sieni, a stąd na dziedziniec. Ten przedstawiał zupełnie inny widok niż rano, gdy przestąpili jego bramy niepewni, co ich tu spotkać może. Wtedy cisza tu była i pustka, gdy teraz uwijało się kilkadziesiąt postaci różnymi czynnościami zajęci, chłopi na schwał wielcy, przeważnie brodaci, wszyscy w jałowiczych skórzniach i takich kaftanach, z czerwonymi myckami na głowach. Jedni z nich czyścili konie i odprowadzali je potem do stajni, inni obdzierali i patroszyli zwierzynę, którą przywieźli ze sobą, a jeszcze inni, zbiwszy się w gromadki, rozmawiali o czymś żywo.

W jednej takiej grupie wybijała się spośród innych olbrzymia postać Hrehora, który rozprawiał coś żywo, ściśniętą pięścią wygrażając w stronę siemiatyckich lasów. Poznał go zaraz Lisek i podążył do niego, przemykając się pomiędzy ludźmi, którzy widząc go wychodzącego z dworu z uszanowaniem ustępowali mu z drogi. Przypadkiem Hrehory popatrzał w tę stronę, a zobaczywszy Liska, opuścił gromadkę i posunął się ku niemu, kiwając na powitanie swoją olbrzymią łapą.

— A ty już wstał, bratczyku? — zapytał, biorąc go

pod ramię. — Czas jeszcze, o zmierzchu dopiero ruszymy.

— Z tymi oto wszystkimi ruszycie? — pytał Lisek, wskazując na uwijających się ludzi.

— Z nimi i jeszcze z innymi. Przybędą tu jeszcze chłopi ze Siemiatycz, po których wysłałem, aby się zbierali. Będzie nas dosyć, aby ich pokarać, przeklętników.

— A kędy to nasze konie?

— Dobrze im, nie bój się! Pójdź no ze mną, mam ci coś rzec ważnego.

— Ale wprzód zawiedźcie mnie do naszych koni, bo chciałbym je zobaczyć, czy nie bardzo pomęczone.

— Chodźmy, ale i tak na nich nie pojedziecie. Dam wam inne.

— A na co?

— Na to, że te pomęczone i daleko nie ujadą, a po wtóre, że będziecie musieli wracając wstąpić po nie, czego byście pewnikiem nie uczynili, gdybyście ich tu nie ostawili.

Tu uśmiechnął się rycerz i poprowadził chłopca ku stajniom. W stajni przy pełnych żłobach stały ich konie, a nikogo więcej nie było przy nich, prócz Tatarzyna, który siedział pod ścianą na ziemi przy siodłach i jukach, zdjętych z koni. Ten ujrzawszy wchodzących powstał z wysiłkiem z ziemi i zbliżywszy się do Liska wśród ukłonów, chwycił go ręką za skórznie i rzekł półgłosem:

— Panie, Griszka tu jest!

— Jaki znów Griszka? — zdziwił się Lisek.

— Griszka, panie, który Koniusze służy, zbój.

— Jaki zbój? — zahuczał rycerz, aż Tatarzyn

cofnął się w tył ze strachu. — Powiadaj, chłopie, wyraźnie!

— Przecie mówię, Griszka tu jest. Nie poznałbym Griszki? Uwija się tam między bojarską drużyną. O, o! widzicie! Ten, co na konia teraz wskoczył i grzywę mu rozczesuje.

— Dy, prawda! To Griszka! Ale nie żaden zbój, a nasz człowiek.

— On zbój, panie! Czyżem go raz widział w chacie Hawryszki? On zbój! Zawołajcie go tu, ja się pochowam za konie, a potem wyjdę. Obaczycie, jak się zestracha.

To mówiąc potoczył się pod żłób, a Hrehory, przyłożywszy zwiniętą w trąbkę dłoń do ust, wysunął się na próg stajni i zawołał:

— Hej, Griszka! Pódzi no tu!

Parobek spojrzał w tył, skąd dobiegło go wołanie i zeskoczywszy z konia, jakby go wiatrem zwiało, w jednej chwili był na progu stajni.

Twarz miał nie starą jeszcze, krótkim, rudym zarostem porosłą i wydawałby się niczego wcale, gdyby nie wyraz jego oczu, biegających z miejsca na miejsce, chytrych i pełnych fałszu.

— Wezwaliście mnie, panie? — zapytał, kłaniając się.

— Wezwałem! Ten oto rycerzyk chciałby ciebie poznać. Widział ciebie raz w chacie leśnej, ale ci się niedobrze przyjrzał.

Naprzód zdziwienie, a potem strach mignął po twarzy Griszki. Oczy poczęły mu biegać to po postaci Liska, to Hrehora, wkoło siebie, a ślinę przełykał raz po razu, aż mu się grdyka trzęsła. Wreszcie wyjąkał:

— Ktoście wy, panie? Ja was nie znam!

— A ty kto? — zapytał Lisek groźnie.

— Ja? Azaż mnie nie znacie? — zwrócił się do rycerza. — Jam z waszej drużyny.

— A coś ty w leśnej chacie robił?

— W jakiej chacie? Nijakiej chaty nie znam!

— W chacie Hawryszka?

— Nijakiego Hawryszka nie znam!

— A mnie to nie znasz? — zapytał, wyłażąc spod żłobu Tatarzyn.

Griszka zachwiał się. Oczyma wprost nieprzytomnymi wpatrzył się w Tatara i zbielałymi wargami wyszeptał:

— Pogańska kalika! Zgiń, przepadnij, maro!

Nagle odwrócił się błyskawicznie i chciał uciekać. Ale Hrehory spodziewał się tego i w ostatniej chwili chwycił go za kark i ścisnął, a jemu twarz pozieleniała, język wylazł na brodę i upadł na ziemię, na wpół zduszony.

— Hej, druhy! Do mnie tu sam! — krzyknął Hrehory.

Przybiegło kilku z podwórza i z zadziwieniem spoglądali na leżącego bez przytomności Griszkę.

— Zlać mi to padło wodą, a jak oprzytomnieje, zawiedźcie go do lochu. Rozmówim się z nim, jak wrócim. A ty — zwrócił się do Tatara — częstoś go widział w leśnej chacie?

— Kilka razy, panie. Widać wypatrywacz to był Koniuchy na waszym dworze.

— Teraz rozumiem — zawołał Hrehory — skąd Koniucha wiedział, że drużyna w lasach poluje. No! dam ja ci wypatrywać! Lepiej byś się był na świat nie rodził!

— Chodźmy! — zwrócił się do Liska. — Czasu jeszcze moc, a ja ci chcę coś rzec.

To mówiąc, uchwycił go pod rękę i wyprowadziwszy ze stajni, pociągnął za dwór w ogród, pełen drzew i krzewów, które poczęły się teraz stroić w wiosenne liście. Ścieżek tu było mnóstwo i jedną z nich wiódł rycerz Liska, nic nie mówiąc, aż znaleźli się przed dziwnym budynkiem. Była to jakby mała kaplica z wieżyczką kopulastą, jaką za czasów cesarza greckiego Justyniana I zaczęto budować w Bizancjum. Po schodkach wchodziło się do jej wnętrza, zapartego pięknie rzezanymi w żelazie drzwiami. Rycerz odchylił drzwi, poza którymi zwisała ciężka, czarna opona i zatrzymał się. Potem spojrzał poważnie na zdumionego Liska, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Przysiąż mi na rycerską cześć, że nikogo tu nie wprowadzisz, ani nikomu nie powiesz, coś widział za tą oponą.

— Przeczże mi to pokazać chcecie, kiedy to taka ważna tajemnica? — zapytał zdziwiony Lisek.

— Tego ci teraz powiedzieć nie mogę, ale ci kiedyś powiem, jak mnie moje dumki nie zmylą. Przysiążesz tedy?

— Tak!

— Na rycerską cześć?

— Na moją rycerską cześć przysięgam!

— Pamiętajże! Nie pasowanyś jeszcze rycerz, ale czci swojej nie pohańbisz. A jakbyś złamał przysięgę i powiedział komu, siła byś nieszczęścia na siebie i na innych sprowadził. Wszystko będziesz wiedział, ale powoli. A teraz... patrz!

To mówiąc, jednym szarpnięciem nagłym odchylił oponę.

Z ust Liska wydarł się straszliwy okrzyk, zakrył twarz obiema dłońmi i upadł na kolana, powtarzając na pół przytomnie:

Mój sen! Jezus, Maria! Mój sen!

. . . .

Przebóg! Jakaż straszliwa koszmara!

W kapliczce, w której było zupełnie jasno, bo światło dostatecznie sączyło się przez kolorowe szybki, w dwóch oknach wprawione, pod ścianą, cudnie malowaną i wyzłacaną, na kamiennym podwyższeniu, jakby na ołtarzu, stał ogromny krzyż, z kamienia wyciosany, a pod nim grozą przejmująca, też z kamienia wyciosana grupa. Oto niedźwiedź z pyskiem otwartym, z głową podniesioną do góry jakby wył, obydwie przednie łapy położył na trupie niewieścim. Część włosów z jej głowy spadała kamienną kaskadą za płytę ołtarza, a druga rozesłana była w nieładzie pod głową i plecami leżącej. Słońce, przedzierając się przez kolorowe szybki rzucało na ten niesamowity obraz krwawe odblaski, a całość przedstawiała widok tak straszny, że bez odrazy patrzeć nań nie było można. Jakiś koszmarny sen szalonego, zaklęty w kamień, piękno połączone ze zgrozą, myśl wzniosła z szaleństwem.

Oto co ujrzał Lisek! Swoje sny, zaklęte w kamień.

. . . .

Po twarzy Hrehora przeleciał promień radości i rozrzewnienia. Puścił trzymaną zasłonę, przeżegnał się szerokim krzyżem trzy razy, a potem położył rękę na ramieniu klęczącego chłopca i rzekł dziwnie miękkim i serdecznym głosem:

— Wstań serdeńko i chodźmy stąd!

Lisek podniósł głowę, a zobaczywczy przed sobą zasłonę, zerwał się z kolan i chwyciwszy Hrehora za rękę, pytał drżącym głosem:

— Co to było? Na miły Bóg! Co to było?

— Nie czas jeszcze o tym mówić — rzekł poważnie rycerz. — Uspokój się, bądź cierpliwy. Przy boskiej pomocy wszystkiego się dowiesz. Teraz ano jeszcze raz ciebie proszę, dotrzymaj mi przysięgi!

— Dotrzymam wiernie. Ale czemu do mnie tak słodko mówicie?

Hrehory uśmiechnął się, a po chwili, gdy zeszli ze schodków, zatrzymał się nagle i spytał z serdecznym uśmiechem:

— Pozwolisz mi, abym ci coś uczynił?

— A co?

— Chciałbym cię ucałować — rzekł nieśmiało olbrzym.

Zdziwiony Lisek skinął głową, a wówczas rycerz pochylił się, przygarnął go tkliwie do siebie i począł go całować po czole, po głowie i policzkach. Widocznie jednak pieszczota ta nie wystarczała mu, bo nagłym ruchem poderwał mu nogi z ziemi i podniósłszy go do góry, kolebał nim, jak matka niemowlęciem, tuląc go silnie do swej piersi. Nagle oczy jego wezbrały łzami, które powoli stoczyły się po wąsach i brodzie na jakę Liska.

— Spraw Boże, aby to była prawda! — wyszeptał drżącymi usty.

Postawiony po chwili na ziemię Lisek nabrał tchu w piersi, bo mu strach tego, co widział, i zdziwienie

dech zapierało i począł mówić prędko, targając rycerza za kaftan.

— Kto wy jesteście, na Boga?... Bojaryn beze mnie płakał i wy płaczecie?... Powiadajcie, co w tym jest?

— Może i nic, a może cud boży i Jego zmiłowanie. Bądź cierpliwy!

— A co to jest owa kapliczka?

— Tyle ci tylko rzekę, że to mogiła.

— Czyja?

— Kiedyś ci na to odpowiem, ninie mógłbym skłamać. Uważ tylko, że cokolwiek będzie, nie mów nic o tym bojarynowi, ani jego doneczce, bobyś starego zabić mógł.

— Nic nie wiem!... Nic nie rozumiem!... — powtarzał gorączkowo Lisek, trzymając się dłońmi za skronie. — Wy coś wiecie, ano nic mi nie chcecie powiedzieć.

— Bo nielża jeszcze mówić.

— A kiedy?

— Bądź cierpliwy, ano nic nie mów, nawet towarzyszom swoim! Obaczymy się niedługo we Lwowie, tam ci wszystko — da Bóg — powiem.

— Czemu bojaryn płakał?

— Tak.

— I czemu wy płaczecie?

— Tak.

— I czyja to mogiła?

— Tak.

— Za czym będę cierpliwy i będę czekał. A teraz chodźmy, bo trza się przygotować do drogi.

ROZDZIAŁ XIV

w którym straszliwa topiel budzi lęk w Wicherku

O zmroku otwarto bramę, opuszczono most i gromada jeźdźców i pieszych skierowała się w stronę siemiatyckich lasów, zarysowanych czarnym pasem na widnokręgu.

Na przedzie jechało dwóch wypatrywaczy, z gotowymi do ciosu dzidami, pilnie śledząc obydwa kraje drogi. Za nimi dopiero, w pewnej odległości, jechała konna drużyna, a za nią lud pieszy. Hrehory z naszymi chłopakami wysunął się na czoło drużyny, ale tych ostatnich trudno było poznać. Mieli na sobie piękne zbroje, błękitnie szmelcowane, na głowach hełmy, w rękach długie włócznie z błyszczącymi grotami, a u kulbaki przewieszone tarcze. Konie pod nimi były rosłe, z żelaznymi naczółkami, i niecierpliwie gryzły wędzidła, powstrzymywane silnymi rękami jeźdźców. Hrehory, również w zbroi, siedział na rosłym karoszu i dzierżył w ręku obuszek z pozłacaną kulą na końcu.

Za nimi jechała szóstkami drużyna, złożona z sześćdziesięciu ludzi; wszyscy godnie przybrani i zakuci, z dzidami w ręku i z mieczami a toporami u boku. Konie mieli rosłe, przeważnie czarne, z długimi ogonami, a szli równo, nie wychodząc ze swojej linii i nie ustępując na boki. Na końcu posuwała się gromada ludzi w kożuchach i ogromnych czapach na głowie, a uzbrojeni byli w co kto miał. Jedni nieśli ciężkie, bojowe topory, inni włócznie, a jeszcze inni po prostu nabijane kamieniami ciężkie kłonice. Ci szli gromadą, nie bardzo bacząc na porządek, a było ich może ze trzydziestu, chłopów rosłych i tęgich.

Jechali w milczeniu, nie mówiąc nic do siebie, bo tak rozkazał Hrehory, a rycerz z powodu swojej nadludzkiej siły, a z drugiej strony z powodu swojej dobroci, miał u drużyny wielkie poważanie. Nazywano go czasami „heroj-dytyna"; i rzeczywiście przy swojej olbrzymiej postaci był to człowiek nad podziw dobry i łaskawy. Nikogo nigdy nie ukrzywdził, nawet mimo woli, zawsze radosny, zadowolony, spał, jadł i ciągle przebywał wśród drużyny, więcej niż w swojej komnacie w bojarskim dworze. Przy czym rycerz był mężny i doświadczony i w tym kraju, narażonym często na napady wrogów, nieraz drużynę swoją wiódł do zwycięskiego boju. Nie dalej, jak dwa lata temu, kiedy to pod jesień, po wyjeździe chorego króla Kazimierza, Lubart zniszczył i spalił Lwów, tak że tylko kilka chałup zostało całych, on ze swoją drużyną otoczył i wysiekł watahę Litwinów i Tatarów, którzy w lasach siemiatyckich szukali drogi, by napaść na dwór bojaryna. On to trzynaście lat temu, zawsze wierny księciu Jerzemu, kąsał zbuntowanych bojarów i ich pomocników Tatarów, gdzie mógł i gdzie ich dopadł. Po haniebnej śmierci księcia, któremu bojarowie podali truciznę w napoju, długo szukał po całej Czerwonej Rusi księżny, którą bojarowie uwięzili, aby ją w dwa lata potem cisnąć pod lód na Wiśle pod Zawichostem. Za rządów Detka przebywał tylko na dworze Siemiaszyca, nosa nie pokazując poza Siemiatyczami. Nienawidził owego zdrajci, który wespół z sędzią nadwornym Chodźką, bojarami Łysym, Galazarowiczem, Mołdowowiczem i Krahutą uśmiercili podstępnie Jerzego i kraj cały wydali na łup mordów, zniszczenia i tatarskiego jasyru.

Słowem, dzielny to był człowiek i teraz markotno

mu było, że ze swoją mężną drużyną wyrusza w pole nie przeciwko nieprzyjacielowi wiary, a przeciw kupie zbójów, niegodnych ręki prawego rycerza. Markotny był i z tego powodu, że męczyła go niepewność co do Liska, ku któremu ciągnęło serce, a odpychała jeszcze niewiara. Myślał, jak tylko chłopcy wrócą z Lublina, pojechać do Lwowa i szukać tam rozwiązania tajemnicy.

I Lisek jechał markotny, pełen zadumy i niepewności. Przypominając sobie wszystko, co go spotkało od chwili przybycia na dwór bojaryna, gubił się w domysłach i szukał odpowiedzi na stawiane sobie pytania.

— Co w tym jest? — myślał. — Powiadał Jurek, że mu się zwidział syn jego, któren wedle tego, co mówił Tatarzyn — został zabity przez Koniuchę. Ale zaliśmy nie we trzech stanęli w tej cudnej komnacie? Przeczże nade mną płakał a nie nad Otkiem lub Wicherkiem? Toć że Otek taki sam czarny, jak i ja? A on tylko we mnie patrzył i mnie umiłował i sam mi to powiedział. Po prawdzie to i mnie coś ciągnie do niego i ja go miłuję, kiejbym i oćca lepiej nie miłował. A wszelako to człek obcy i wczoraj o tym czasie anim o nim nie słyszał, anim go nie widział. Możeż to być, żeby człek człeka, nie znając go, tak umiłował? Ej, chyba powiem to oćcu Grzegorzowi, bo sam na to rady nijak znaleźć nie potrafię. Albo i ten Hrehory! Co ci miał za cel ciągnąć mnie do tej tam kapliczki i pokazywać te figury, co ich w sercu i w oczach od maleńkości noszę? Coś w tym jest, na Boga, ale co? Pan Bóg chyba jeden wie! I czemu Hrehory płakał i ściskał mnie i kolebał? I dogadza mi, zbroiczki wyszukał i konia najlepszego dał. Hej, mocny Boże! Nie ma co, jeno po powrocie z Lu-

blina oćcu Grzegorzowi wszystko opowiedzieć i jego przepytać.

Tak sobie myślał biedny Lisek i ani nie zważał na drogę, ani na przyjaciół, co z nimi jechali.

Oni tymczasem zaprzątnięci byli swoimi myślami, zwłaszcza Otek, którego nie opuszczał obraz cudnej niemowy. Miał lat dziewiętnaście i dotychczas żadna niewiasta nie zrobiła na nim wrażenia. Dla niego życiem były łowy, bitki i puszcza, a o nic więcej nie dbał. A teraz? Czy go chwyciła za serce uroda dziewicy, czy jej smutek, czy kalectwo, sam o tym nie wiedział. Ale nie wyobrażał sobie życia bez niej, bo wydawało mu się marne i puste i pragnął już jak najprędzej powrócić z Lublina, aby ją znowu widzieć. Pocałunek jej, który mu złożyła na czole, poruszył go i słodyczą napełnił, a równocześnie słodka duma zalewała mu duszę na myśl, że ma już kogoś, komu służyć może, a to tym bardziej, że ani ojciec na to krzywym okiem nie patrzał, ani ona. Owszem czuł, że ona rada była z tego i widział w jej oczach jakieś błyski i wzruszenia, po których poznał, że nie był jej obojętny. Jakżeż dziękował w duszy Liskowi, że go namówił do tej jazdy z ostrzeżeniem, bo i zaznał tam słodkości nieznanych dotychczas i miał nadzieję prędzej być w Lublinie, według zapewnień Hrehora. Było mu więc na duszy lekko, a najwięcej cieszyła go myśl, że przecież wyruszając przeciw kupie zbójów, idzie walczyć w jej obronie.

Tak zamyśleni nie spostrzegli, że już noc zaszła, a na niebo wypłynęła czerwona, pucołowata twarz miesiąca i oblała światłem jednostajną równinę, trawą porosłą

i krzakami, wśród której wił się biały szlak drogi. Równina ta po obu stronach drogi przechodziła zwolna w moczary, od których szły teraz po nocy białe szmaty mgły i mdły zapach przegniłej wody. Posuwali się coraz wolniej, ponieważ droga stawała się z każdym krokiem cięższa i czasami musieli obchodzić błotniste jamy, a wtedy rozdzielali się i szli jeden za drugim oboma krajami drogi, próbując gruntu przed sobą oszczepami lub dzidami. Tak, po kilku jeszcze obchodach błotnistych kałuży, dobrnęli wreszcie do grobli. Był to długi, wąski pas nasypiska, utwierdzonego krąglakami drzew, chrustem, miejscami kamieniami, po którym z biedą mogło trzech ludzi postępować przy sobie. Nasypisko było usypane wysoko nad otaczające je moczary i aby się na nie dostać, trzeba było podjechać dość stromo pod górę. Z tego to powodu ci, którzy stali przed wałem, choćby to nawet byli jeźdźcy, przez idących groblą nie byli zupełnie widziani. Było to więc doskonałe miejsce na zasadzkę i Hrehory przypatrzywszy się bliżej całemu położeniu grobli, zwrócił się do chłopców i rzekł:

— Dobrze prawił ów młodzieniaszek, którego nazywacie Liskiem. Dobrze prawił, bo tu z tego wału we dwóch jeno alibo we trzech schodzić mogą i my ich dzidami rozniesiem.

— Jak zatem czynić zamierzacie? — spytał Otek.

— Ano, wyszlę połowę ludzi na drugi koniec grobli. Tam niech się pochowają w oczeretach, a kiedy zbóje nadejdą, niech ich przepuszczą i zamkną za nimi drogę. Przedrzeć się nie przedrą, bo tędy wyłapiemy ich co do nogi. Z tamtej strony to samo, a w bagna skakać nie będą, bo się potopią. Topiel tu jest straszliwa.

— Trzeba by tam kogoś wysłać, kto by przewodził. Macie kogoś takiego? — zwrócił uwagę Lisek.

— Kogo? Mało to mamy takich, co przewodzić umieją? A ot, choćby Makar! Hej, Makar! — zwrócił się do drużyny, która zatrzymała się w pewnym oddaleniu — Makar, pódzi no tu sam!

Z gromady jeźdźców wysunął się jeden i w kilku skokach stanął przy rozmawiających.

— Słyszysz Makar! — rozkazał Hrehory. — Weźmiesz trzydziestu druhów i piętnastu chłopów i pójdziesz na drugi koniec grobli. Tam pochowacie się w oczeretach i pary z ust nie puścicie. Przed sobą macie dwóch wypatrywaczy, którzy wam znać dadzą, jak zbóje będą iść. Ty w te pędy pchnij do nas jednego z wieścią, sam nakaż ciszę, ażeby zbóje niczego nie dostrzegli, przepuść ich, a potem zamknij im drogę.

— Słucham, panie. Potem pójdziemy za nimi na groblę i tam ich przyprzemy.

— Nie! Ostaniecie przed groblą, a gdyby zbóje nawrócili się, uczynicie wielki krzyk i nie puścicie ich.

— A gdyby przejść chcieli siłą?

— Tedy bijcie ich, a my ich z tyłu napadniem.

— Słucham, panie!

— Tedy idź i spraw się dobrze, a mohorycz bude! — zakończył Hrehory.

Makar poskoczył do swoich i za małą chwilę gromada jeźdźców i pieszych wspięła się na wał i zniknęła w ciemnościach nocy.

Hrehory podjechał do pozostałej drużyny i rozkazał:

— Zsiądźcie z koni, dziatki, obwiązać koniom pyski, aby nie rżały i miejcie się w pogotowiu. Na

pierwszy mój okrzyk, hajda na koń i zbliżcie się do mnie. Czuj duch! Rozumiecie?

Głuchy pomruk był mu odpowiedzią.

Za czym Hrehory powrócił do trzech towarzyszy, którzy tymczasem zsiedli z koni i wszyscy poszli na wał.

Cisza była dokoła, tylko z bagien dochodziło żałośliwe kumkanie żab i lekki szum wiatru w oczeretach, który teraz zerwał się i hulał po pustym polu, świszcząc w trzcinach i zawodząc. Białe mgły, szarpane wiatrem całymi płatami ciągnęły po mokradłach, a wśród nich od czasu do czasu wystrzelał złudny ognik bagienny i gasł natychmiast, jak przyziemna błyskawica. Gdzieś ze środka mokradeł rozległ się krzykliwy kwik zbudzonej ze snu cyranki, przerwał na chwilę ciszę i znowu senny, zawodzący wiatr poruszał fale oczeretów.

— Niesamowita to noc! — zauważył Wicherek lękliwie, który na wszelkie nadziemskie sprawy był bardzo czuły.

— W taką oto noc — odezwał się Hrehory, bawiąc się obuszkiem — jam sobie niewiastę swoją poszukał.

— To wyście żonaci? — —zdziwił się Otek.

— Byłem, ale już nie jestem.

— Pomarła wam żona?

— Pomarła dwa roki temu. A pięć będzie, jakem ją z obieży ratował, właśnie w taką cudowną noc, jak ninie.

— Opowiedzcie nam o tym — prosił Lisek, siadając na skraju nasypiska. — Czekać nam przyjdzie jeszcze długo, bo tak myślę, że przed północą tutaj nie będą, to i czas nie będzie się nam dłużył. W taką noc, kiedy

trzciny rozhowory prowadzą, a miesiąc mgły prześwietla, najprzyjemniej stare wspominać czasy. Ale usiądźcie tak, jako i ja. Wygodnie tu całkiem nie jest, ano zawdy lepsze to, niż stanie.

A kiedy wszyscy usiedli, Hrehory popuściwszy zapiętki od hełmu, aby mu zbytnio w mówieniu nie przeszkadzała i gładząc się po brodzie, począł opowiadać swoją przygodę:

— Było to niespełna osiem roków temu, z wiosny, tak coś jako i dziś. Siedzieliśmy ano z drużyną w Siemiatyczach, po puszczy błądzili, na żubry polując i bobrowych żeremii szukając. Czas był spokojny, wiosna piękna, to się człowiek i nadychał onym powietrzem leśnym i nahasał na łowach do syta. Ale spokój ten nie był długi; z nagła poczęły dochodzić wieści, że się Tatary ruszyły i w nasze strony podchodzą. Szlak to jest ich, którędy zapuszczają się nieraz aż pod Przemyśl, paląc, rabując i ciężki jasyr uprowadzając ze sobą. My tu nie bojaliśmy się ich bardzo; puszcza nas otacza i bagna, a i gródek nasz silny oprzeć się może wielkiej nawet nawale. Ale nie minął i tydzień od tych wieści, jak po nocach niebo poczęło gorzeć łunami, coraz to bliższymi nam i coraz krwawszymi. Nie było co siedzieć doma, trza było przepatrywać pobliskie okolice i czuwać, aby licha nie było. Tedy postanowiliśmy z bojarynem, abym wziąwszy kilkadziesiąt chłopa, ruszył w lasy, bo chociaż oni, niby Tatary, gródków dobywać nie lubią skroś tego, że im czasu szkoda i wolą na nieprzygotowanych uderzać, ale zawdy — jak to mówią — strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Za czym wziąwszy ze sobą pół setki ludzi ruszyliśmy w lasy siemiatyckie, a potem i dalej. Chryste mi-

łosierny! Kielaśmy to trupów widzieli, kiela nędzy i zniszczenia, to się i wypowiedzieć nie da. Jeszcze jak która osada w lasach siedziała, to się i ostała, jeno ludzie do puszczy uciekli. Ale inne, na otwartym miejscu położone wsie, a miasteczka, a małe gródki zniszczone były, spalone, jeno gruzami swymi dawały smutne świadectwo onych przeklętych czasów. I tych ludzi, którzy uciekli do puszczy, widzieliśmy także nieraz. Włóczyli się ano gromadkami, bardziej do mar trupich podobni, wygłodniali, obdarci, bez dachu nad głową, z rozpaczą w sercu i bez nadziei lepszego żywota. Tak wam powiadam — serce ściskało się na widok onego nieszczęścia, a cóż dopiero wtedy, gdy człek pomyślał, siła to zacnych ludzi, oderwanych nagle od swego ogniska i szczęśliwego bytowania w ojcowskiej chacie pędzono w jasyr na poniewierkę, na wraże batogi i powolną śmierć w męczarniach. Siłaż to mężów z rozpaczy darło włosy za niewiastami swymi, popadniętymi w jasyr, siła ojców opłakiwało swe dzieci. To wam mówię, że patrząc na owe zniszczenie, na owe trupy i łzy ludzkie, serca w nas kipiały srogą zemstą i nieraz pytaliśmy siebie, zali nie lepiej pójść precz, na kraj świata, aby daleko od tych wrażych rubieży.

Ale w człowieku ano natura już taka wiecie, że tam kędy się rodził, że ów próg chaty, o który przewalał się, próbując nóg swych w maleńkości, że tego wszystkiego nie opuściłby; chociażby go jak psa za próg wygnali, on wróciłby, aby na nim głowę swoją położyć.

Jużeśmy kawał kraju zjeździli dookoła, nigdzie ani na ślad Tatarów nie natrafiwszy i myśleliśmy już do dom wracać i poszukiwań poniechać, bo tak miarko-

waliśmy, że złupiwszy co się dało, oni już na swoje stepy umknęli. Aliści raz pod wieczór, gdzieś podle rokitniańskiej puszczy rozłożyliśmy się na noc na polance, pomiędzy dwoma lasami. Noc była jako i dziś cicha i piękna, jeno wiatr po puszczy zawodził i sumne dumki wyśpiewywał. Siedzieliśmy tak przy ogniu pod drzewami i chociaż zmęczeni byliśmy srodze, przecież oczy, które od kilku dni na tyle nieszczęść patrzały, nie mogły się nam do snu zawrzeć. Siedzieliśmy więc, rozmawiając z cicha, wystawiwszy w przód na wszystkie strony czujnych spostrzegaczy.

A był ci pomiędzy nami chłopak jeden, może mu wtedy osiemnaście roków było, którego wszyscy zwali Puszczakiem, skroś tego że był z puszczą jak rzadko kto obyty i nigdy się w niej nie zmylił, a każdy głos w puszczy to tak ci wyrozumiał, jakby to miał w księdze zapisane. Pohybnął on już nieboraczek dwa roki temu, jakeśmy Litwinów w naszych lasach prali. Kiedyśmy tedy tak siedzieli i rozhowor wiedli, on ci nagle rzucił się na ziemię, ucho do niej przyłożył, a potem zerwał się i gada:

— Kupa idzie!

— Gdzie? — spytałem, bom go znał i wiedział, że nadaremno on tego nie mówi.

— Od polany idą. Kupa ich idzie na koniach i pieszo.

Za chwilę spostrzegacze przybyli, to samo mówiąc.

Pogasiliśmy w mig ognie i chwyciwszy konie za uzdy, zawiązaliśmy im pyski, by nie prychały i dalej w las. Pokładliśmy się za pierwszymi drzewami, każdy konia za uzdę dzierżąc jedną ręką, a w drugiej topór lub miecz i czekamy. Miesiąc tak ci oświecał ową po-

lankę, jako i dziś te bagna, tak żeśmy całą polankę widzieli jak we dnie. Czekaliśmy mało nie wiele, aż tu z lasu zaczną wysypywać się zbrojne kupy jeźdźców, w szpiczastych czapkach na głowie i krzywych szablach u boku. Krew nam do lic nabiegła, bośmy zaraz poznali, że to pogańskie syny Tatary. Tedy poniektóry z nas zębami zazgrzytał, a inni aż zrywać się chcieli i na karki im spaść, alem nie dozwolił, czekając, ile ich będzie i jak będą sobie poczynać. A to za jezdnymi, których było może ze czterdziestu, wyganiają tatarscy czabanowie bydło, głośno hukając i trzaskając batogami. Było tego, jak potem policzyliśmy, pięć setek, wszystko porabowane po okolicznych osadach. Za bydłem, gorzej się obchodząc niż z onymi zwierzęty, gonili znowu jezdni Tatarzy jasyr. Szli chłopcy dorodni, młodzi, teraz zbiedzeni i zataczający się na nogach, szły dziewki, mdlejące z głodu i umartwienia i matki z dzieckami u piersi, albo je za rączki dzierżąc. Straszny to był widok i dokąd żyć będę nie zabaczę tego. Bat świstał nad nimi raz po raz, smagając kogoś po odkrytych plecach, bo odzież na nich zgniła była i podarta, tak że gołe ciało posiniaczone spod niej wyglądało.

Jakoż przechodzili tuż koło nas, o kilka zaledwie kroków od drzew, za którymi obraliśmy sobie siedlisko, kiej jedna z onych matek potknęła się i upadła na ziemię. Chłopaczek, któren z nią szedł, rzucił się ku niej i począł głośno płakać, szarpiąc ją za spódnicę, to za rękę. Ale ona leżała bezwładna, żadnego znaku życia nie dając. Zatrzymała się cała ta wataha pohańców, a jeden z nich zsiadłszy z konia, przystąpił do branki i potrącił ją nogą w plecy, aż się potoczyła. Nie drgnęła

nawet, widno słodka śmierć wybawiła ją od dalszej męczarni. Tedy ów przeklętnik oderwał dziecię od umarłej matki i pociągnął je za sobą do onej gromady jasyru, co się był już krzynę oddalił od tego miejsca. Ono niebogie opierało się jak mogło i bite, jeszcze odwracało głowę, krzycząc — mamo, mamo, puście mnie do mamy!

Nie strzymaliśmy już dłużej. Jak stado wygłodniałych wilków, dyszący zemstą, zgoła wściekli, nie wiadomo kiedy, znaleźliśmy się na koniach i z toporami a mieczami wpadliśmy na karki pohańców. Nie spodziewających się napadu kładliśmy pokotem, jak kosiarz trawę. Wreszcie rozlecieli się po całej polance, piszcząc i wrzaskiem napełniając puszczę. Z pół setki ubiliśmy na miejscu, a kilkadziesiąt związanych ledwo wydarłem z rąk dyszących zemstą moich druhów. Kilku ich tam zemknęło, to pewna, ale tych było niewielu. Potem rozwiązaliśmy jeńców, a oni położyli się u nóg naszych, całowali nas po rękach, po skórzniach i płakali ze szczęścia. Ubiliśmy kilka sztuk bydła, naniecili kilka ogni, przy których zaraz upiekli sobie rozebrane mięso, zajadając tak łakomie, żeśmy się bali, aby się kośćmi nie podławili.

Pomiędzy nimi była jedna czarnobrewa, tęga niewiasta, która zjadłszy naprędce swoje mięso, poczęła chodzić pomiędzy dzieci, głaszcząc je, kolebiąc i karmiąc. Wielce mi się owa niewiasta spodobała, a po dniu uwidziała mi się tak piękna, że prowadząc odbity jasyr do Siemiatycz, wziąłem ją sobie na konia i takem z nią razem jechał. Insi moi druhowie to samo zrobili z innymi brankami i dziećmi, a starsi chłopcy jechali na tatarskich zdobycznych koniach.

Co tam dużo gadać! Wszyscy oni pozostali w Siemiatyczach, bo i dokąd mieli wracać? Rodziny ich wymordowano, a osady spalono. Ja zaś polubiłem ową niebogę czarnobrewą, zaślubiłem ją i dobrze się nam żyło. Ano jedno miałem z nią zmartwienie. Niewiasta była dobra jak rzadko spotkać. Cicha, przytulna i trudliwa, tyle że w jednym nie mogłem jej uprosić. Kiej tylko miała chwilę wolną, zaraz ano kobiałkę brała na plecy i szła do lasu, a na pola. Tam ziółka jakoweś zbierała, suszyła to, warzyła maści przeróżne i aby ino kto zachorował, ona już tam była i radziła. Nieraz zgniewałem się o to, bo mi jej żal było, kiedy w pogodę czy w niepogodę, dniem czy nocą, jak no tylko ktoś ją powołał, szła na nic nie zważając. Ale ona zawsze mi mówiła: — Pan Bóg mi dał oną znajomość leków, toż muszę tak czynić, jak On chce. Ty się nie gniewaj, przecież ci to nie wadzi, że dobrze czynię. — Ale dwa roki temu przeszła przez Siemiatycze straszna zaraza. Myślałem że wszyscy skapiejemy, ano Bóg nie dał. Ale mojej niebodze zmarło się. Inszych ratowała, po całych dniach w domu jej nie było, aż raz przyszła, legła na łożu i już więcej nie wstała. Wola Boża! Święta to była niewiasta i pewno już tam szczęśliwości boskiej zaznaje.

— Tak ci była mądra wasza niewiasta — wyrwał się Otek — a czemużcie jej do Romiły nie przywiedli? Może by jaką radę naszła na jej niedolę.

Na to Hrehory spuścił głowę i westchnął:

— Gdzieśmy to z nią nie byli? I w Carogrodzie byli, i w Kijowie, i nawet do Niemców ją wodzili, a przepytywali uczonych monachów. Żaden rady nie znalazł. Jeden Grek, stary monach z Carogrodu, powiedział

nam, że jako ze strachu straciła mowę, tak i strachem powrócona jej być może. Aleśmy tego nie pojęli, a on nam lepiej pojaśnić nie chciał. Taka to już dola jej, mocny Boże, taka już jej dola!

Zamilkli wszyscy i siedzieli chwilę, przysłuchując się tęsknym poświstom wiatru i kumkaniu żab. Nagle w tę ciszę wpadł jakiś odgłos, daleki jeszcze, przytłumiony, ale coraz to wyraźniejszy tupot kopyt końskich. Zerwali się z nasypiska i pilnie poczęli patrzyć w stronę drugiego końca grobli. Jakoż po chwili wysunął się ze mgły jeździec, który szybko zbliżał się ku stojącym. Podjechawszy całkiem ku nim, zeskoczył w biegu jeszcze z konia i rzekł krótko:

— Idą!

— Kędyż są? — spytał Hrehory.

— Wyszli z lasu i idą ku grobli.

— Konni są?

— Nie! Konie pozostawili w lesie, pięciu tam zbójów ich pilnuje.

— No to się tam z nimi Makar już rozprawi. A siła ich wszystkich?

— Naliczyliśmy coś wedle setki.

— No! chwała Bogu! — westchnął Hrehory. — Kiej ich więcej nie ma, to już oni nasi. Pójdźmy.

ROZDZIAŁ XV

w którym straszliwa topiel chłonie napastników

W mig postawili drużynę na nogi, a Hrehory rozkazywał:

— Wy ano chłopcy kryjcie się w oczerety po tym

boku, a wy z końmi podejdźcie bliżej grobli i też zapadnijcie w oczerety, aby was oko ludzkie nie widziało. Tak sobie myślę, że Koniucha wyszle naprzód siebie wypatrywaczy, tedy trzeba ich ująć, ale tak, iżby ani pary z ust nie puścili. Marko, Pieter, Łuk i Bereza są tu, czy poszli z Makarem? Kiej są, niech przyjdą do mnie!

Cztery postacie rosłe i barczyste stanęły przed swoim wojewodą.

— Ruszajcie pod samą groblę i tam przykucnijcie! Będzieli ich szło dwóch albo i trzech, skoczyć, ścisnąć za grdykę i trawy napchać w gębę. Aby mi się obyło bez krzyku, rozumiecie!

— Rozumiemy.

— Łyka przysposobione macie?

— Są.

— To idźcież! Oni co tylko nadejść mogą. A wy, dziatki, tak jak rzekłem! W oczerety zapaść i czuj duch! Nie wyłazić aż zawołam, a jakby kto harmideru narobił, to popamięta mój kułak do końca życia.

Za chwilę na drodze pozostali tylko sami. Reszta pochowała się tak sprytnie w oczeretach, że aniby przez myśl nikomu nie przeszło, że tu przy drodze pół setki ludzi leży, zamienionych w słuch i wzrok.

— No, teraz i na nas czas — rzekł Hrehory. — Chodźmy i my w oczerety. Jak już wypatrywacze będą w naszych rękach, tedy wyjdziemy na drogę, by czekać Koniuchy.

Skryli się w oczeretach przy tych, którzy mieli ująć wypatrywaczy i leżeli społem na mokrej, bagnistej trawie na skraju drogi, trzymając za uzdy konie.

Czekali dosyć długo i już im się dłużyć zaczynało,

a najbardziej Otkowi, który z natury niecierpliwy, a żądny bitki, kręcił się i przewracał z boku na bok i nawet nie bardzo zważał z początku na to, co mu leżący przy nim Wicherek szeptał. A jemu właśnie zebrało się teraz na gadanie.

— Słyszysz Otek, co ci rzekę? — mówił półgłosem. — Kiej tego Koniuchę, psiego syna uźrę, zakatrupię go swoim toporem na amen.

— Nie czyń tego — rzekł Otek. — Nie słyszałeś, jak bojaryn mówił, że go chce żywcem ująć?

— Co mi tam bojaryn — upierał się Wicherek. — Ja muszę pomstę wziąć u tego łotra za nasze pohańbienie.

— Bardziej byś się hańbą okrył, kiejbyś na opak czynił bojarynowi, któren nas tak serdecznie przyjął i ugościł.

— Tak pedasz?

— A tak. I to sobie wybij z głowy, żebyś sam na Koniuchę uderzał. Czyń to, co i drudzy czynić będą. Zaliś to nie słyszał, o co prosił Lisek, aby ich żywcem połapać? Byłem mu nieraz przeciwny, bom go miał za tchórza, ale ninie widzę, że to człek mądry i rady jego nijak nie odrzucę.

— Ano jak tak pedasz, to będę siedział cicho i czynił to, co inni. Ale Boga mi! Jakby te przeklętniki zechcieli się bić, to ich będę kropił, co się wlezie.

— To ci wolno. Ale i ja miarkuję, że do tego nie dojdzie i dałby Bóg, aby nie doszło.

— A zaś czemu?

— Temu, że i Romiła tak chciała, a dla mnie teraz jest to dobre, co jej się takim wydaje.

— Tak ją nawidzisz?

— Tak.

— Toście obaj szczęśliwi, bo ano Lisek powróci w sławie, ty ze swoją niebogą w sercu, a ja — z niczym.

Chciał go Otek pocieszyć jakoś, gdy wtem zupełnie znienacka pokazały się na skraju grobli dwie postacie ludzkie, a popatrzywszy w dół na drogę, poczęły schodzić poważnie, a cicho.

— Gotowiście? — szepnął Hrehory.

Ale zapytani nie odpowiedzieli już, bo właśnie tamci przechodzili tuż koło nich. Skok, dwa zduszone, charkotliwe jęki i za chwilę obaj wypatrywacze leżeli w oczeretach, ze związanymi rękoma i zatkanymi ustami. Wydawali się całkiem jak nieżywi, bo położeni na ziemię, ani drgnęli. Hrehory odwiązał im usta, aby się nie podusili i rzekł półgłosem:

— Ty Zabój, wyjmij no twój topór, weź w rękę i spoglądaj na tych zabijaków. Kiejby z nich który krzyknąć chciał i gębę otworzył, zdziel go toporem bez głowę, aby nie zipnął nawet. My na koń i na drogę.

— Poczekajcie no rycerzu! — zatrzymał go Otek. — Ja sam stanę na drodze i oczekiwać ich będę.

— Czemu zaś tak chcesz? — zdziwił się rycerz.

— Miarkuję, że Koniucha mnie pozna, a nie wiedząc skąd się tu wziąłem, to się przestraszy i łacniej będzie potem z nimi dojść do ładu. Za czym czekajcie tu!

— Będzie, jako chcesz, ale my się tu przygotujem, aby ci w razie czego dać pomoc.

Otek wskoczył na konia i za chwilę wysrebrzona jego zbroja zabłysła na drodze w blaskach księżyca, a siwek bił kopytem o ziemię i prychał z cicha.

Tymczasem daleko jeszcze na grobli dał się słyszeć

jakiś ruch. Szły jakieś odgłosy mętne z początku i nieuchwytne, a potem słychać było coraz głośniejszy, coraz wyraźniejszy tupot nóg ludzkich i szczęk broni. Zbóje nawet nie starali się iść cicho, tak pewni byli, że nikogo na tej ustronnej drodze nie spotkają. Do dworu Siemiaszyca było daleko i głos tam żaden dojść nie mógł. Już można było odróżnić pojedyncze głosy i gruby śmiech Koniuchy, który najwidoczniej szedł na przedzie. Koń Otka strzygł uszyma i głowę podniósł do góry, jakby wietrzył niebezpieczeństwo, a leżący, ścisnąwszy koniom chrapy, aby nie rżały, podwinęli nogi i w każdej chwili gotowi byli wyskoczyć na koń.

Dzikie odgłosy stały się już zupełnie wyraźne i za chwilę na grobli pokazała się wysoka, nocą jeszcze wyolbrzymiona postać, w której chłopcy odrazu poznali Koniuchę, po wielkiej czapie na głowie i po chrypliwym rechocie. Tuż za nim szli całą gromadą zbóje, rozgadani i roześmiani. Już mieli schodzić w dół, gdy nagle Koniucha zatoczył się w tył i rękę na głowni miecza położył.

— Hej! — krzyknął — a to kto? Ki czort na drodze stoi?

— Na was tu czekam, łotry! — wyrzekł głośno, ale spokojnie Otek.

— Na nas czekasz? A ktoś ty taki?

— Nie poznajesz mnie, Koniucho?

— Ni!

— Jam twój braniec, ten któregoś wczoraj w lesie ujął, Mieczysław, Ottonów syn!

— Zgiń, przepadnij, czorcie piekielny! — za-

krzynął zbój. — Chyba czort, kum twój przeklęty, wydarł cię z moich rąk i drogę tu pokazał!

— Ze mną jest Bóg, a ciebie diabli wezmą i to za chwilę!

— Pobaczymyż, kogo prędzej! Hej, dziatki! On tu sam, a nas tylu! Na pohybel mu!

— Na pohybel! — wrzasnęli zbóje.

Ale nie przebrzmiał jeszcze ten dziki okrzyk, gdy nagle z oczeretów wypadł Hrehory na swoim wałachu i w kilku skokach dosięgnął zbója, a porwawszy go za kark, skamieniałego ze zdziwienia i strachu, jak worek, przerzucił go przed siebie na konia i obróciwszy się, pędem zbiegł w oczerety.

— Dalej chłopcy! — zawołał. — Ściągnąć go z konia i związać.

Rzucono go na ziemię i związano w mig. Hrehory podjechał ku Otkowi, krzycząc głośno: „Hajda! hajda!“

Po nagłej napaści rycerza zbóje stali przez chwilę, jak wrośnięci w ziemię bez ruchu, a potem nieludzki krzyk wydarł się im z gardła na widok wysypujących się na drogę konnych i pieszych ludzi. Pierwsze ich szeregi z obłąkanym wyciem zawróciły wstecz i bijąc na oślep, pchając się, rozpierając pozostałych z tyłu, poczęły uciekać na drugi koniec grobli. Wycie i krzyki ich ginęły w oddali, ale za chwilę wiatr przyniósł stamtąd inny, potężniejszy krzyk.

— Makar ich tam przywitał — cieszył się Hrehory. — Teraz ano i my pójdziemy za nimi i weźmiemy ich z dwóch stron.

Już kolnął konia ostrogami i wysunął się naprzód, kiedy go Lisek złapał za rękę:

— Ej, widzi mi się, że lepiej będzie tam nie iść.

Tam grobla wąska i nie będziem mogli uderzyć na nich, gdyby się przebić chcieli.

— Cóż więc uczynimy?

— Czekajmy! Oni wrócą.

— A jak oni przez tamtych przebić się zechcą?

— Miarkuję sobie, że tak nie uczynią, bo ze strachu całkiem potracili głowy. Ale aby i temu zaradzić, ja pojadę za nimi i obaczę, co czynić będą.

— Ja z tobą! rzekł Wicherek.

— I ja! — przyłączył się Otek.

— Jedźcie tedy — przyzwolił Hrehory — ino nie podjeżdżajcie ku nim za blisko, aby was z łuku nie ustrzelili.

— Bądźcie spokojni, my wiemy jak czynić.

Poderwawszy konie wyjechali na groblę i stanęli na jej skraju, starając się okiem przebić ciemności. Ale nic widzieć nie mogli; słyszeli tylko krzyk, gwizdy i wycie Makarowej drużyny. Puścili się więc lekkim truchtem naprzód, ciekawi, jak też się zbóje zachowują.

Po chwili ujrzeli ich. Stali całą masą na środku grobli i najwidoczniej potracili głowy. Nie krzyczeli już; może naradzali się, co czynić, bo ze środka gromady wylatywały od czasu do czasu pojedyncze okrzyki.

Chłopcy podjechali jeszcze bliżej, a kiedy widać już było całkiem wyraźnie ciemną masę stłoczonych zbójów — zatrzymali się. I tamci musieli ich już zobaczyć, bo poczęli rękami pokazywać ich sobie i coś wołać.

Nagle rozsypali się na obydwie strony i kilkunastu z nich opuściło się na bagna z nasypu, próbując przed sobą włóczniami, pchając się i rozpierając. Widocznie

bagno przy grobli nie było głębokie, bo zbóje posuwali się naprzód, brnąc nieledwie po kolana. To zachęciło pozostałych na górze. Bez namysłu opuścili się wszyscy z jednego i drugiego brzegu grobli i za chwilę dwie rozsypane gromady oddalały się od siebie w przeciwne strony, zapadając się i znowu podnosząc.

Głupcy! Myśleli że się uratują!

Nie minęło i pół pacierza, jak brnący na przedzie poczęli zapadać się w bagno po szyję. Krzyk straszliwy targnął powietrzem, krzyk wściekłości, rozpaczy i bolu. Dalsze szeregi zatrzymały się, widząc tonących towarzyszów na przedzie, ale i oni stojąc dłużej na jednym miejscu, zapadali się rychło.

Był to straszny widok. Stojącym na grobli bez ruchu chłopcom krew ścięła się w żyłach, gdy patrzyli na straszne ostatnie podrygi nieszczęśników. Coraz to czyjaś głowa z nieludzkim rykiem kryła się wśród oczeretów lub kępek traw i tylko ręce w ostatnim odruchu wyciągnięte ku górze świadczyły jeszcze przez chwilę, że w tym miejscu znalazł grób ten, który przed chwilą jeszcze łaknął grobu dla innych.

Ci, którzy brnęli w ostatnich szeregach, starali się zawrócić i niektórym rzeczywiście udało się wydostać na groblę. Padali tam jak nieżywi z wyczerpania i nieprzytomni ze strachu, na widok strasznej śmierci swoich kamratów. A reszta ginęła bezpowrotnie; topiel nie puszcza łatwo raz uchwyconej ofiary.

Gdy Hrehory, nie mogąc doczekać się chłopców, podjechał z drużyną ku nim, ostatnie głowy znikały pod straszną powłoką mokradeł, ostatnie ręce, wzniesione ku górze zdawały się prosić o miłosierdzie boskie. A za chwilę cicho było na bagnach, jeno po-

budzone ptactwo podlatywało nad kępkami oczeretów, wydając lękliwe, niesamowite głosy.

— O Jezu! — wyszeptał Lisek, przecierając czoło, jakby zbudzony ze snu straszliwego.

— Bóg sam wziął pomstę nad nimi; niechże im miłosiernym będzie na tamtym świecie! — westchnął poważnie rycerz, kreśląc krzyż na piersiach.

— Amen! — Amen! — Amen! — odpowiedziała drużyna, żegnając się nabożnie.

Leżący na grobli, na pół nieprzytomni zbóje, dali się bez oporu powiązać i Hrehory, pchnąwszy jednego człowieka do Makara, aby się z nim połączył, zawrócił w milczeniu, ręką tylko przyzywając za sobą drużynę. Wsadzono jeńców na połapane zbójeckie konie, na resztę usiedli chłopi ze Siemiatycz i cała gromada, milcząc, wyruszyła z powrotem, mając w oczach tonące w bagnisku głowy, a w uszach przedśmiertny krzyk nieszczęśników.

Rozwidniło się już na dobre, gdy zaparła się za nimi brama Siemiaszycowego dworca i ruch się uczynił na dziedzińcu. Bojaryn kazał wołać zaraz Hrehora i młodzieńców do siebie, ciekawy będąc wyniku wyprawy. Nie spał noc całą i siedział teraz w komnacie sam, słuchając z głową opuszczoną relacji Hrehora. Kiedy ten malował mu straszny widok topiących się opryszków, podniósł głowę, przeżegnał się i rzekł:

— Bóg ich pokarał, nieszczęśników. Widocznie nie chciał, aby nasze ręce pokalały się ich krwią.

Chwilę siedzieli w milczeniu, wreszcie odezwał się Hrehory:

— Co rozkażecie, panie, uczynić z jeńcami?

— Trzymajcie ich we wieży, a do mnie przywiedźcie Koniuchę. Chcę mu się przyjrzeć.

Hrehory wyszedł i za chwilę wrócił, ale dziwnie zmieszany. Na dworze nie zdołał z powodu ciemności oglądnąć dobrze jeńca. Teraz, przypatrzywszy mu się dobrze, poznał go i zaraz pożałował, że go nie skrył gdzieś w mysiej norze sprzed oczu bojaryna. Ale już było za późno. Za nim trzech pachołków prowadziło związanego zbója.

Wyglądał strasznie. Włosy i brodę miał pomierzwione, a z wyłupionego oka płynęła biała posoka i zastygała na brodzie. Drugim, zaczerwienionym dziko toczył po zebranych. Gdy ujrzał Siemiaszyca, zaśmiał się charkotliwym śmiechem, a twarz zapłonęła mu nietajoną złością.

Na śmiech ten podniósł bojaryn głowę i wpatrzył się w twarz zbója. Nagle pobladł, zerwał się z krzesła i podniósłszy ściśnięte pięści do góry, krzyknął strasznym głosem:

— Bynka!... Bynka!... Zabójco!... Biada ci!

A wtem zachwiał się i upadł na krzesło zemdlony.

ROZDZIAŁ XVI

w którym jest mowa o osiłku Wasilku i o Lubarcie

Chłopcy przespali się nieco i tego samego jeszcze dnia wyruszyli w dalszą drogę do Lublina, udarowani świeżymi końmi i przewodnikiem. Żegnał ich tylko Hrehory, bo bojaryn po owym straszliwym okrzyku, jaki wydał na widok Koniuchy, słowa jeszcze nie przemówił. Zemdlonego zaniesiono na łoże,

a kiedy po jakimś czasie oprzytomniał, nie dźwignął się, nie przemówił nic, tylko leżał bez ruchu, wpatrzony w jeden punkt na powale. Takim go zastali chłopcy, kiedy przyszli z Hrehorym pożegnać się, pokłonić i podziękować za serdeczne przyjęcie. Wpatrywał się w pochyloną nad nim twarz zapłakanej Romiły, a na żegnających się chłopców ani nie spojrzał, jakby już na nic nie był czuły, ani niczego i nikogo nie pragnął, prócz tej słodkiej twarzy, pochylonej nad nim. Tylko gdy Lisek białą jego rękę podniósł do ust, odwrócił powoli oczy, spojrzał nań i zdawało się chłopcu, że po twarzy przeszła mu jakby mgła rzewliwości. Ale trwało to krótko i znowu apatycznie zwrócił oczy na Romiłę.

Ta jednak wstała, podeszła do stołu, na którym leżały jej przybory do pisania i nakreśliwszy coś szybko na tabliczce, podała ją Otkowi.

— Pamiętaj, coś ślubował! — czytał. — Módl się za mną do Przeczystej Panienki i nie zabacz o mnie!

— Ja miałbym ciebie zabaczyć? — wykrzyknął Otek. — Na skrzydłach tu przylecę, aby ci służyć, słodka pani! Niech ci Bóg da zdrowie i oćcu polepszenie! Niech ci to Bóg da!

Dziewczę podało mu obie ręce na pożegnanie, które z szacunkiem poniósł do ust, a potem pożegnała się serdecznie z Liskiem i Wicherkiem i wróciła na dawne miejsce.

Rycerz Hrehory długo stał na wale i patrzał za znikającymi na drodze czterema jeźdźcami. A oni jechali na świeżych koniach szybko, poprzedzani przez przewodnika. Początkowo można było z wału każdego z nich rozeznać, potem widać było tylko pojedyncze

konie i jeźdźców, jak zrośnięte razem słupki, potem zlali się w ciemną plamkę, która malała... malała..., na koniec znikła całkiem. Rycerz postał jeszcze chwilę, przeżegnał ręką stronę, gdzie zniknęli jeźdźcy i szepnął:

— Niech was Bóg ustrzeże od złego, dobre chłopaki! Gdyby nie wy, kto wie, czy nie byłoby tu teraz kupy gruzów, a z nas wszystkich gnijące trupy. Niechże was Bóg wynagrodzi, zawiedzie szybko do celu i do nas powróci, byśmy się wami radowali.

Tu wspomniał sobie rycerz Liska, którego najbardziej umiłował, jego czarne oczy, pięknie zakrojone brwi i karminowe usta. Aż wzdrygnął się, bo mu znowu przyszło na myśl owo podobieństwo i ten krzyk chłopca przy kapliczce.

— Niech się co chce dzieje — szepnął — a ja spenetrować muszę, co w tym jest. Jak tylko bojaryn pozdrowieje, pojadę do grodu, do owego rycerza Włodka i dowiem się, skąd on Liska wziął. A może by i oćca Grzegorza przepytać, o którym Lisek mówił, że taki mądry? Ha, zobaczymy! Ej, cieszyłby się mój panisko cieszył! Ale teraz wara mu co okazać, boby go to zabiło. Poczekamy sposobniejszej pory, kiedy krzynę pozdrowieje. A potem? Potem, kieby to była prawda! Może już tak nie będzie siedział w komnacie, alibo przy tej mogile, nie będzie dumał i gryzł się, ale tak jak dawniej na konia siędzie, zapoluje, starą krew rozgrzeje i nasze serca pociechą rozraduje. O, daj to, Panie Jezu, daj Panno Przeczysta, bo się nabiedowało, nażarło mocno biedne moje panisko!

Tak dumał zacny rycerz i wolnym krokiem powracał do domu.

— — — — — — — — — — —

Od opisanych wypadków minęło osiem dni.

Stary Siemiaszyc otrząsał się zwolna po owym strasznym wstrząsie, jakiego doznał na widok Koniuchy. Już nie patrzał tak apatycznie przed siebie, odzywał się częściej i wstawać począł powoli, tylko o ostatnich wypadkach ani myśleć, ani mówić nie chciał. Zamknął się w sobie, ścisnął boleść w sercu, stał się jak głaz, w którego wnętrzu krył się robak bolu. Romiła i Jurek nie odstępowali go ani na chwilę. Ona koiła mu duszę przedziwnym swoim uśmiechem, on piosnką i cudnymi dźwięki harfy.

Ósmego dnia po wyjeździe chłopców siedzieli wszyscy troje na ganku dworu, wygrzewając się do słonka, co cały dziedziniec i ganek zalewało potokami światła. Bojaryn dumał, oparty o słup podpierający okap dachu, Jurek potrącał struny swojej harfy, Romiła snuła cienkie nitki, przędąc na prząśniczce. Furkot wrzeciona mieszał się ze świergotem wróbli, które podskakując na dziedzińcu, szukały uronionych ziaren.

Był to początek maja. Z ogrodu, świeżą zielonością okrytego, szedł niemilknący szczebiot ptasząt i pukanie dzięcioła. Z pobliskiej wsi dolatywały odgłosy życia; to zadźwięczał młot na kowadle w kuźni siemiatyckiej, to echo poniosło nawoływanie się dzieciaków, igrających w prochu na drodze wiejskiej, to cienkie zawodzenie sumnej dumki przynosił lekki wiaterek z pola. Na dziedzińcu było cicho i pusto; widocznie drużyna wyjechała na przerwane napadem łowy. Czasem przeszła tylko po murawie postać pachołka lub dziewki służebnej, udającej się do stajni lub do dworu.

Nagle z baszty strażniczej zabrzmiał trzykrotny, krótki, urywany głos rogu.

— Jacyś swoi jadą do nas — zauważył Jurek — bo strażnik krótko gra.

— Może Hrehory powraca — ożywił się bojaryn.— Idźno Juraszku i spojrzyj.

Zanim jednak Juraszek harfę odłożył i dosięgnął połowy dziedzińca, już zaszczękały łańcuchy zwodzonego mostu, ze zgrzytem otwarła się brama i na dziedziniec wjechało może dwudziestu jeźdźców z drużyny bojarskiej, a na przedzie olbrzymi Hrehory. Dziedziniec napełnił się gwarem głosów, tupotem kopyt, radosnym prychaniem i rżeniem koni, ucieszonych z przybycia do swoich żłobów.

Hrehory zsiadł z konia, odpasał miecz i oddał go do rąk giermkowi, a sam zdjąwszy czapkę przygładził włosy i ruszył ku gankowi. Bojaryn wyszedł mu naprzeciw i już od progu pytał:

— Jakież wieści przynosisz, serdeńko?

— Sława Bohu, panie! Zdrowiście już?

— Zdrów, zdrów! Ale powiadaj, jakie masz wieści?

— Ano! objechaliśmy wszystkie włości i byliśmy w Czurczynie, Pasiecznikach, Kubajcach i we wszystkich waszych osiedlach. Wszędzie ludzie parają się rolą, bydło pięknie przezimowało, dobrze jest... ano...

— Cóż tam?

— Nie chciałbym was martwić...

— Powiadaj! Co mnie tam zmartwić może po tym, co się już namartwiłem.

— Pozwólcie, że usiądę. Namachaliśmy drogi kawał, a dziś upał i kurz, tom się nieco i zmęczył.

— Siadaj i mów, bom ciekawy.

Hrehory podszedł na ganek, skłonił się Romile, uściskał Jurka i usiadłszy na ławie, gładził przez chwilę wąsy, jakby się namyślał, od czego zacząć relację.

— Pomnicie, panie, owego chłopaczka Wasilka, cośmy go roków temu parę odbili Tatarom pod Rokitną?

— Jakże nie! Pomnę go dobrze! Matka mu u nas zmarła, bo ją Tatarzy umęczyli. Udał mi się chłopak; ładny był i nad wiek silny. Musi teraz już mieć ze dwadzieścia i parę roków. O nim to chcesz mi mówić?

— O nim i jeszcze o innych sprawach. Wyście owego Wasilka wysłali do Pasiecznik, do starego Zachara, aby się nim zajął i koło pszczół chodzić nauczył. Gdzie jemu tam do pszczół! Jak no trochę podrósł, wyprosił się od niego do drużyny waszej tamecznej, bo powiada mścić się chce na Tatarach za swoją mać. Stary go puścił, bo inaczej nie mógł. Ten Wasilko to ninie chłop setny, jako i ja, a taki dobrym nabytkiem jest dla drużyny. Osiłek on taki, że pięciu silnych chłopów nie da mu rady, a przy mnie uchwycił rozeźlonego byka za rogi i do żłobu doprowadził, chociaż ten wydzierał mu się, aż mu piana z pyska ciekła.

— Taki ci silny! Cóż tedy ten osiłek?

— Ano, łońskiego roku, kiedy to na wiosnę oblegał król Kazimierz z królem Ludwikiem Bełz, poszedł ów Wasilko do króla i powiada, że on palisadę podpali, jak go król rycerzem pasować będzie. Król się zgodził, a on wziąwszy pełną miskę maźnicy, wepchał ją do małej wieży i począł sam, bez niczyjej pomocy ową wieżę pchać pod ostrokół. Napocił się, namę-

czył — dyć to ciężar straszny — ale dopchał. Leli na niego Litwini smołę, rzucali kamieniami, ale on ukryty za wieżą nic sobie z tego nie robił. Dopchał wieżę, maźnicę zapalił i cisnął pod palisadę. Ta się zajęła, a Polacy i Węgrzy, rumor uczyniwszy, dalej się piąć na wały. Byliby może i miasto wzięli, ale cóż... Król Ludwik padł raniony kamieniem, a Litwini pożar ugasili, więc spełzło na niczym.

— A onegoż Wasilka król pasował?

— A jakże! Zaraz pod Bełzem dał mu pas i ostrogi i majętność jakąś wyznaczył. Ale nie na tym koniec. W odwrocie już, kiedy Wasilko odbił się od chorągwi, napadli go Litwini. Zaźgał tam kilku, ale go wreszcie ujęli i do Włodzimierza na Wołyń odesłali. Siedział tam gdzieś w lochu bez kilka miesięcy i już myślał, że mu zmarnieć przyjdzie, ale dał Bóg, że go za jakiegoś znacznego Litwina puścili. Przed paroma dniami powrócił i cuda o Litwinach opowiadał, bo wracając nazad kołował, aby się czegoś dowiedzieć. I owo złe wieści przyniósł.

— Chroń nas Boże! Chyba nie nowy najazd Lubarta?

—A właśnie! Pono Lubart związał się z Kiejstutem i nowe najście gotuje. Ale to jeszcze bajka, bo gdyby o tym starosta pierwej wiedział, toby posłał do króla o posiłki, a tu Lubart ponoś już wyruszył i za tydzień, za dwa będzie już pod grodem.

— Chryste Panie! — porwał się bojaryn. — Trzeba starostę uprzedzić, niech ludzi zbiera i opór daje.

— Już go tam Wasilko uprzedził i starosta wysłał o posiłki do króla. Ale mnie wiadomo, że król w Krakowie przebywa chory, a zanim tam poseł dojedzie,

siła czasu zejść może, a tu Lubart prawie że na karku siedzi.

— To niech tutaj starosta wojsko zbiera.

— A kto pójdzie? Zali myślicie, że mu z pomocą przyjdą bojarowie? Mało jest takich, co tak jak wy myślą, a i ci niepewni, jak będzie, nic mu pomóc nie zechcą. Samych lwowczyków za mało, a i tam zbieranina różna, prędzej w puszcze zapadnie, niż opór da. Z jedną chorągwią, zostawioną przez króla staroście, nielża takiej przemocy się opierać. Powtórzy się ano to, co było dwa roki temu w jesieni. Zajaśnieją łuny na niebie, popłynie krew i łzy.

— Ej, może to jeno tak sobie ludzie gadają. Wiesz przecie, że co roku prawie nowy napad wróżą i nieszczęścia się spodziewają.

— Taki już los tej nieszczęsnej ziemi, że ludzie jeno o nieszczęściach myślą. Ale prawda to może być, bo Lubart swego nie daruje i pomsty pragnie za zeszłoroczną porażkę. Ja zaś obmyśliłem jedno, jeśli pozwolicie, bojarynie...

— Powiadaj !

— Siądę jutro do dnia i pojadę do grodu. Tam się o wszystkim dowiem, bo tam już kupcy siła wiedzieć będą. Makarowi przykażę, aby dniem i nocą czuwał i na baszcie ognie palił, a drużynę w kupie trzymał. Mięsa i spyży mamy dość i nie trzeba nigdzie się rozchodzić. Za dwa dni, miarkuję, że wrócę, a może i staroście się przysłużę, bo to dobry i ludzki człowiek.

— Ha, to już jedź, kiedy miarkujesz, że to będzie dobrze.

— Ano jeszcze jedno mi zróbcie, panie! Gdyby tu chłopcy, owi nasi dobrodzieje, wracając z Lublina,

zajechali, co miarkuję, uczynić muszą, bo mają tu swoje konie, tedy powiedzcie im, aby się o mnie pytali w gospodzie u Hansa, kole Panny Marii, bo mam z nimi coś ważnego omówić.

— A o czymże ty z nimi będziesz mówił?

— Wiecie — zakłopotał się rycerz — chciałbym się przepytać, kto on jest ów chłopak, co go Liskiem zowią i skąd się wywodzi.

— A na co tobie ta wiadomość?

— Tak sobie. Chłopak jest świarny, polubiłem go i chcę wiedzieć, kto on zacz.

Tu Hrehory spuścił głowę, aby ukryć zakłopotanie, ale bojaryn wyczuł nieszczerość w jego odpowiedzi.

— Ej! Ty coś ukrywasz, Hrehory? Nie godzi się starego oszukiwać!

— Zaśbym was tam oszukiwał? — szepnął naprawdę już skłopotany rycerz, czyniąc sobie w duszy wyrzuty, że już za wiele powiedział. — Udał mi się chłopak i tyle.

Bojaryn zapatrzył się gdzieś bez celu, a potem rzekł zwolna:

— Ja bo o nim ciągiem myślę, coś mnie do niego ciągnie, a owe czarne jego oczy mam zawsze przed oczyma. Zaliś zauważył jaki on podobny...?

— Do kogo?

— Do mojej Iry — wyszeptał z wysiłkiem bojaryn.

— Ćmi się wam panie! Tyle lat już minęło, a wy zabaczyć nie możecie.

— Hej, mocny Boże! Zabaczyć? Zali nie wiesz czym ona była dla mnie? Życiem mi była, jako że mi żyć bez niej. Nie życie też to, ej, nie życie, jeno męka, jeno ból i wieczna tęsknica. A on, mój synaczek drogi!

Pomnisz, jakeś go na rękach nosił, a on ci wąsy szarpał i w palec się gryźć kazał? Taki ci był bystry, a ciekawy, wszędzie go było pełno. Jam dla nich jeno żył i ja bym miał o nich zabaczyć?

— Wola Boża! — pocieszał go Hrehory. — Nie gryźcie się daremnie, bo to już nic nie pomoże. Raz Bóg radość zsyła, raz cierpienie. Raz kogoś na świat wyda, raz go zabiera. Niech będzie święta Jego wola pochwalona!

— Amen! — rzekł z poddaniem się bojaryn.

Po czym powstał zwolna i przeszedł z opuszczoną głową za dwór do ogrodu.

— Poszedł znów na mogiłę — biadał rycerz. — Idź no za nim Juraszku i z daleka pozieraj, co czyni. Niechybnie do wieczora tam przesiedzi, a wszystko bez moją głupotę.

To mówiąc wstał, podszedł do Romiły i usiadłszy przy niej na ławce, zatrzymał furkoczące wrzeciono i rzekł:

— Słyszysz mnie, słodka ptaszyno?

A kiedy dziewczę zwróciło nań oczy, mówił dalej:

— Trzeba, żeby ociec jak najmniej o matce twojej myślał, bo idą takie wypadki, że sił mu wiele trzeba, aby to przeżył, co go czeka. Miarkuję jeno, że nie smutne to będą sprawy. Wszelako tego, który w żałości żyje, łacniej radość niż smutek zabić może, bo żałość jest mu chlebem codziennym, a radość może być gromem. Przeto trzeba, aby był silny. Rozumiesz ty mnie, kwiatuszku?

Romiła potrząsnęła głową kilka razy, na znak że nie rozumie, a potem rozłożyła bezradnie ręce, jakby

chciała powiedzieć, że nie znajduje rady, aby ojca od jego myśli oderwać. A on mówił dalej:

— Jadę jutro do grodu. Maszli jakie życzenie, to ci spełnię?

Dziewczę zaprzeczyło głową, a potem wskazało ręką na niebo i położyło palec na swoich ustach, poruszając nimi, jakby coś chciało powiedzieć.

— Rozumiem cię — rzekł rozrzewniony rycerz. — Ale cudu ja nie wyproszę u Boga, bom grzesznik mizerny. Wszelako pomodlę się w cerkwi i w kościele i na mszę św. dam za ciebie. Miarkuję, że i ktoś inny także będzie się modlił, bo ciągiem ino o tobie gadał — zakończył z serdecznym uśmiechem.

Dziewczyna spuściła zarumienioną twarzyczkę, po czym przysunęła się bliżej do Hrehora, a złożywszy główkę na jego szerokiej piersi, podniosła nań błyszczące oczy i pogroziła paluszkiem. A on gładził ją po głowie i mówił:

— Ej, radbym ja ciebie pocieszył, Bóg widzi, jagódeczko moja, ale nie na moje to siły, nie na moje. Jeno Bóg mocen ci powrócić, coć wziął. Ufaj Mu. A teraz ano pójdę się zdrzemnąć krzynę, bom strudzony, a jutro do dnia wyjadę. No, bywaj zdrowa, kwiatuszku słodki, a nie trap się. Kiejby zasię chłopcy wrócili, każ mnie obudzić i poślij po oćca.

Ale chłopcy wrócili dopiero po dwóch dniach, kiedy Hrehorego już nie było. Wrócili zmęczeni, a jeszcze bardziej smutni, bo króla w Lublinie nie zastali i z niczym musieli wracać, a na dobitek Lisek rozchorował się w drodze na dobre. Rany, co mu niedźwiedź zadał, zaogniły mu się. Długa podróż, a bardziej może przeżycia na dworze Siemiaszyca, rozpaliły

w nim gorączkę taką, że ostatnie godziny podróży jechał prawie że nieprzytomny, podtrzymywany na koniu przez towarzyszy i bredził coś od rzeczy. Położony na łożu w komnacie Siemiaszyca, krzyczał i nieprzytomne, szkliste oczy obracał dookoła, nikogo nie poznając. Sprowadzony ze Siemiatycz znachor obkadzał go ziołami i owijał w namoczone płachty, ale to niewiele pomagało, chyba tyle, że przestał się rzucać. Przytomności jednak nie odzyskał i takim go zostawili odjeżdżający z płaczem chłopcy. Przerażony bojaryn gubił się w domysłach, słuchając oderwanych słów Liska, które wymawiał w gorączce i nie odstępował od jego łoża, osowiałym wzrokiem wpatrując się w poczerniałą od gorączki twarz chłopca. A na drugi dzień po wyjeździe Otka i Wicherka pchnął kilku posłańców do grodu po Hrehora, aby jak najszybciej przywiózł ze sobą medyka, których kilku było na grodzie, zwłaszcza wśród Niemców.

Tymczasem chłopcy dojechali do grodu, ale tu zastali całkiem odmienny stan rzeczy, niż wtedy, gdy go przed dziesięciu dniami opuszczali. Ludzie roili się po uliczkach, rozprawiając o czymś żywo, a na dworze starosty Otek z wielkim smutkiem dowiedział się, że starosta zebrawszy dwa dni temu całą chorągiew, wyruszył na wschód, przeciwko Lubartowi. Przyłączyła się do niego większość Polaków, zamieszkująca na grodzie i co młodsi Rusini i Niemcy, tak że w domach pozostały tylko kobiety, dzieci i starcy. Wydawało się Otkowi, że powinnością jego jest ruszyć za starostą i połączyć się z nim, ale matka stanowczo oparła się temu, przekładając mu, że przecież nie wie, którędy starosta postępuje i biadając, że ją, słabą niewiastę chce samą zo-

stawić na pastwę najeźdźcy. Męczył się więc Otek, nie mogąc połączyć dwóch obowiązków — giermka i syna. Do tego trapiła go niezmiernie myśl o chorym Lisku, pozostawionym w Siemiatyczach i niepewność, co z nim będzie. W tym strapieniu, nie wiedząc co począć, ruszył do Wicherka, aby się z nim naradzić.

Ale u Wicherka też nie lepiej się działo. Stary Włodko ruszył ze starostą, zostawiając Marychnę samą. Biedaczka ucieszyła się z przybycia brata, ale radość ta rychło zamieniła się w rozpacz, gdy ją Wicherek powidomił o chorobie Liska. Ona go przecież kochała jak brata, więcej jeszcze; ceniła w nim wielki rozum i w tej ciężkiej chwili najwięcej liczyła na jego radę i pomoc. Z przybyciem więc Otka poczęli się naradzać we troje, co czynić na wypadek, gdyby Lubart napadł na gród. Postanowili zatem wyszukać jakieś ustronne miejsce w puszczy, aby tam się skryć i przeczekać burzę. Bo już było wszystkim wiadomo, że gród spalony dwa lata temu, bez wałów, bez ludzi, bronić się nie będzie i może dlatego wolał starosta zamknąć się na innym grodzie, lub napaść Litwinów w polu, niż bronić tej kupy gruzów i zwalisk.

Tak umyślili chłopcy z Marychną, lecz losy zrządziły inaczej.

ROZDZIAŁ XVII

w którym wieść o Lubarcie różne budzi zamiary

W gospodzie u Hansa, koło Panny Marii, zebrało się wieczorem sporo ludzi. Izba cała była natłoczona, przy stołach wszystkie ławy zajęte, a jeszcze przez otwarte

okna zaglądały głowy stojących na dworze. Ktoś obcy, kto zaszedłby do zajazdu w ów wieczór, mógłby sądzić, że tam Bóg wie jaka wre zabawa, taki szedł rumor stamtąd i rozhowor ludzkich głosów. A mógłby tak sądzić i dlatego, że u Hansa właśnie na zabawach takich nigdy nie zbywało. Tam poprawiano zawsze wesela lub chrzciny, tam nieraz Niemcy więcej miodu i wina wytoczyli w jedną noc, niż ich za rok wypiło w innych zajazdach. I nie tylko Niemcy byli stałymi gośćmi w zajeździe, gościł Hans często i ludzi starościńskich i Ormian i kupców przejezdnych i wszelkiego rodzaju nacje, a gościł tak suto, że nieraz do białego rana paliły się szczapy, wetknięte w drewniane ściany i słychać było wesołe pokrzykiwania lub śpiewy bawiących się.

Dziś wszakże ani w głowie nikomu nie była zabawa. Rzadko który siedzący na ławie kubek miał pełny przed sobą, wszyscy przeważnie chodzili rozgorączkowani po izbie lub przepychali się na dwór, a z dworu znów do izby, miejsca znaleźć sobie nie mogąc. Jeden gadał przez drugiego, albo po kilku zbiwszy się w gromadki po kątach izby, radzili nad czymś, głośno rozprawiając, przeważnie po niemiecku. Hans, gruby i wysoki Niemiec z uśmiechniętą twarzą, chodził pomiędzy ławami z pełnym dzbanem miodu, zapraszając do picia, ale nikt go nie słuchał. Wszyscy przejęci byli wieścią o bliskim napadzie Lubarta i zastanawiali się nad tym, jakby nieszczęścia uniknąć. Ale zdania były podzielone. Jedni radzili, aby zebrawszy z domu co najcenniejszego ruszyć w puszczę i tam się zaszyć, inni z determinacją wołali, że lepiej zamknąć się na grodzisku, jako tako przez starostę obwarowanym i tam bronić się do upadłego. Jeszcze inni tych i tamtych nazywali

głupcami, twierdząc, że cała wieść o Lubarcie to bajka z palca wyssana. Ważyły się zdania, wzmagały się poszczególne głosy, czasami złośliwe już i zacietrzewione i widocznym było, że w tym zbiorowisku różnych zdań i pomysłów do zgody prędko nie przyjdzie.

Nagle z kąta izby dobiegło gromkie wołanie:

— Still Kameraden! Do stu diabłów, uciszcie się!

Stał tam za stołem chłop wielki, w ciemnej sukni, błyszczącym pasem przepasany, którego twarzy trudno było rozeznać w nikłym świetle płonących szczap. Wszystkie głowy zwróciły się nań, bo potężnie przemówił, a zresztą wszyscy winni mu byli posłuszeństwo. Był to bowiem wnuk Bertolda Stechera, owego pierwszego wójta osadników niemieckich, który przybył do grodu lwowskiego z końcem XIII w. i prawo od księcia otrzymał. Ten też po ojcu dzierżył wójtostwo i miał mir wielki u swoich.

Gdy się nieco uciszyło, mówił dalej grubym, basowym głosem, bijąc pięścią o stół.

— Uciszcie się, na Boga! Sprawa jest zbyt ważna, aby się swarzyć i pięściami sobie wygrażać. Kumoter Schefelar śmieje się i peda, że to wszystko z palca wyssane. A czy kumoter Schefelar nie widział, jak pan starosta wyjeżdżali z hufcem z miasta? Czy kumoter Schefelar nie stracił dwa roki temu całego dobytku, który mu zniszczyli Litwini? Kiedy kumoter Schefelar nie wierzy temu, co ludzie gadają, niech siedzi w domu i czeka, aż go Litwin włócznią w serce kolnie. My czekać nie będziemy!

— Słusznie prawią kumoter Vogt — zagrzmiało dookoła.

— Tylko na rany Boga! Radźcie pojedynczo, bo

inaczej nie dojdziemy do niczego, a czas powziąć dobry zamiar, bo licho nie śpi! Kto chce mówić, niech rękę do góry podniesie. No, który?... Kumoter Langmaul chce mówić? Niech mówi, byle tylko nie za długo, bo czasu szkoda.

Kumoter Langmaul odchrząknął i począł mówić głosem cienkim, swarliwym, szybko wymawiając wyrazy, jakby je z kołowrotka a nie z gęby wyciskał.

— Kiedy dwa roki temu spodziewaliśmy się najścia Lubarta, radziłem i prosiłem wszystkich kumotrów, aby zamknąć się na grodzie i bronić. Usłuchano to mnie? Ot i co było? Zniszczył nas ten zbój, a za kilka dni król przyszedł. Bylibyśmy tych kilka dni wytrzymali i król by go odpędził, a tak co?... I ninie mówię — brońmy się!

— Co tam mówić po próżnicy — odezwał się wójt. — Dwa roki temu było inaczej. Król był w kraju, można było spodziewać się pomocy od niego. A i tak choćbyśmy się zamknęli na grodzie, toby Lubart podgrodzie spalił, jako uczynił zresztą. A nasze majątki nie na grodzie, a na podgrodziu są. Maszli czym bronić podgrodzia?

— Dobrze prawią kumoter Vogt! — zawołali zebrani.

— Cóż tedy radzicie innego? — zapytał Langmaul.

— Ja poradzę! — rzekł jakiś mały, kręcący się jak fryga człowieczek.

— Kumoter Kleinmann niech mówi! — zawołali wszyscy.

Widocznie wiedzieli, jakie są jego zamiary i w większości zgadzali się z nim.

— Radzę uczynić to, co ja już uczyniłem, a to spa-

kować co najcenniejsze rzeczy na wozy i czekać w pogotowiu. Niech wójt wyszlą kilku pachołków na zwiady, a kiedy wiadomym będzie, że Lubart blisko, uskoczym w puszczę i po strachu. Spali nam ów zbój chałupy, to się raz jeszcze pobudujem. Drzewa jest dosyć, ale życie dał Pan Bóg jeno jedno.

— Dobrze prawi kumoter Kleinmann! Dobrze prawi! — zabrzmiało dookoła.

— Kumoter Schefelar chce coś powiedzieć? — zawołał wójt. — Niech mówi!

— Kumotrowie mili! — zaczął tenże. — Kiedy się wybieracie w puszczę, to i ja z wami. Tylko czyńcie to spokojnie, bez pośpiechu. Łuby można spakować, wozy mieć w pogotowiu, ale iść w puszczę zaraz — nie ma po co. Nie będzie ów zbój — jeśli prawdą jest, że idzie — nie będzie milczkiem pod sam gród podchodził. Będzie palił po drodze, a gdy zobaczymy łuny na niebie, czas będzie uciekać. A tak siedźcie w domu, bo kto wie, ile jest w tym wszystkim prawdy. Przecież już od stycznia różne puszczki zwiastują nieszczęście, to Tatarów wywołują, to Litwę, to Węgrów. A tymczasem spokój jest wszędzie i po mojemu powiadam będzie dalej.

— Słusznie prawi kumoter Schefelar! — zawołało kilka głosów.

— Niesłusznie! — zakrzyczeli ich inni, a jeden głośno zawołał:

— Kumoter Schefelar niewiastę ma jędzę i chce ją dać Litwinowi na pożarcie, dlatego radzi czekać.

Śmiech gruby zagrzmiał po izbie, a Schefelar ciskał się gdzieś w kącie, ale jego krzyk ginął w kaskadzie śmiechu i rozgwaru.

Zbierało się znowu na ogólny hałas, bo wyśmiany kumoter brał się już do pięści, ale wnet zahuczał znowu głos wójta:

— Still! Kumoter Schefelar nie tak źle powiedział, jakby się zdawało. Pewnych wiadomości nie mamy, gdzie Lubart jest i dokąd dąży, to i śpieszyć się zbytnio nie ma czego. Ale spakować łuby i czekać w pogotowiu — dobrze jest. Tymczasem wyślemy pachołków na zwiady, a może i starosta przyszlą kogoś z wieściami, tedy będziemy wiedzieli, czego się trzymać. Idźcie więc do domu i czyńcie, com powiedział. Obejścia pilnować, bo licho nie śpi. Wojska w grodzie nie ma, to i skorzystać może z tego nie tylko Litwin, ale i swój. Łońskiego roku, podczas takiej ruchawki Koniucha na Woznesenie napadł i bezkarnie zrabował. Czuj duch i oczy mieć otwarte!

— Nie masz już Koniuchy! — odezwał się ktoś z kąta. — Poszedł w łyka, a kamraci jego potopili się w bagnach.

Zrobiło się nagle cicho i wszystkie oczy skierowały się na mówiącego. A potem zabrzmiał gwar pytań:

— Kto mówi?

— Niemasz Koniuchy?

— Bajka! — Taki frant dałby się brać w łyka?

— Prawdę mówię! — powtarzał głos pierwszy i do wójta podszedł gruby, pucołowaty młodzieniec. — Prawdę mówię!

— To ty Herman? Gdzieś słyszał o tym, co prawisz? — zapytał wójt.

— Opowiadał mi Otek, Ottona z Pilczy syn. Powrócił dzisiaj z wyprawy na nich i opowiadał, że drużyna bojaryna Siemiaszyca ujęła Koniuchę w łyka,

a kamratów jego na grobli siemiatyckiej w bagnie potopiła.

— Nie ćmisz ty? — zapytał któryś z zebranych.

— Cobym miał ćmić! Mówię to, co mi Otek prawił. Jego pytajcie!

— Nie trzeba pytać! — odezwał się inny głos łamaną niemczyzną. — Jam jest, który ich w bagnach potopił.

— Wy? — zdziwił się wójt, podchodząc do stołu, przy którym siedział mówiący. — Wy? Ktoście i skąd jesteście?

— Jam Hrehory, wojewoda bojarskiej drużyny ze Siemiatycz.

— I prawda to, co mówił Herman?

— A prawda! Potopili się zbóje w bagnach, jeno ośmiu i Koniuchę wzięliśmy w łyka. Więcej i noga nie uszła. Widziałem to na własne oczy, jak się topili, bom ich z drużyną przez groblę gonił.

— I ów Otek tam był?

— A był! I on i jego towarzysze; Wicherek, syn Włodka strażnika i jego brat Lisek. Ho, ho, śwarne to chłopaki i gdyby nie oni, miałby Koniucha nas, a nie my jego.

— Dziwy, dziwy powiadacie! Usiądźcie no przy nas i opowiedzcie od początku, jak to było. Toć to dla nas pociecha niebywała, że wreszcie przyszła kreska na tego łotra. Ile to on nam dobytku nakradł, tego by nikt nie zliczył. Tatarów więcej nie baliśmy się niż jego. A tu patrzcie — w łyka go wzięli!

— Hej Hans! — zwrócił się do gospodarza. — Nalej no nam miodu! Wypijemy na uciechę. A wy panie rycerzu opowiadajcie, kiedyście tacy łaskawi.

— Opowiem chętnie, opowiem, jeno się z mojej mizernej niemczyzny nie śmiejcie, bo Rusinowi waszą mową mówić, to tak, jakby orzechy gryźć.

— Nie strachajcie się. Jak się zacukacie, to wam pomożemy, a i tak widzimy, że po naszemu dobrze mówicie. W wasze ręce! — dodał, uderzając kubkiem o kubek Hrehora. — Daj wam Bóg zdrowie za oną nowinę.

— Hoch! hoch! hoch! — zakrzyknęli wszyscy, podnosząc kubki do rycerza i cisnąc się do niego.

Hrehory śmiał się, ochoczo trącał kubkiem o kubki Niemców, a potem siadł i począł opowiadać przygodę z Koniuchą, często odwilżając gardło wybornym miodem. Oni słuchali z otwartymi ustami, zbiwszy się w gromadkę dookoła opowiadającego i krótkimi wykrzyknikami okazywali swój podziw. Tymczasem izba napełniła się jeszcze, bo i ci, co na dworze stali, weszli do wnętrza, aby lepiej słyszeć. Hrehory sam zapalił się, kreśląc straszne chwile śmiertelnej topieli, a wielu ze słuchaczy żegnało się nabożnie, trzęsąc głowami ze zdziwienia. Wreszcie wójt wykrzyknął:

— Pokarał ich Bóg za nasze mienie! A cóż bojaryn uczynił z Koniuchą?

— Trzyma go we wieży.

— I nie odda go do grodu?

— Nie! — odparł twardo rycerz. — My mamy z nim dawne porachunki.

— A nie uciecze on?

— Nie bójcie się! Stamtąd gdzie on siedzi, nie masz wyjścia, chyba do piekła.

— A owi chłopcy kędyż są?

— Powiadał ów Herman, że przybyli do grodu. Oni i tu przyjdą, bom się z nimi do Hansa umówił; co tylko ich nie widać.

— Już ich widać, bo już są! — zakrzyknął Otek, który niepostrzeżenie wszedł do izby z Wicherkiem, podczas opowiadania Hrehora.

Hrehory porwał się z ławy i z wyciągniętymi rękami począł przepychać się do drzwi. Nagle ręce opadły mu, stanął i zawołał:

— A kędyż to Lisek?

— Nie masz go z nami, w Siemiatyczach ostał — rzekł Wicherek.

— W Siemiatyczach? — zdziwił się rycerz. — Zali go bojaryn uznał?

— Za kogo miał go uznać? Bóg go doświadczył, bo nam w drodze zachorzał.

— Lisek... chory? — krzyknął, nie panując nad sobą Hrehory. — Czemużeście mi prędzej nie donieśli?

— Owośmy niedawno przyjechali i zaraz wam znać dajemy. Pójdźcie gdzie na stronę, bo musimy naradzić się, co czynić.

— Chodźmy! — rzekł krótko rycerz.

Porwał czapkę z stołu i krzyknąwszy — Bywajcie zdrowi! A to za miód — rzucił pieniądz na stół i wybiegł z izby.

Za nim podążyli chłopcy.

— Dokąd pójdziemy? — zapytał Hrehory chłopców, zatrzymawszy się wśród ciemnej uliczki.

— Miarkuję, że najlepiej do mnie — doradzał Wicherek. — Noc ciemna, co tam będziemy kręcić się po polach. Do mnie blisko, a Marychna sama w domu, to się ucieszy z naszego przybycia.

— Tedy prowadź — rzekł rycerz i ruszył za Wicherkiem, a z nim Otek.

Minąwszy uliczkę, wyszli w pole, przez które dziesięć dni temu o tej porze dążył Otek do Wicherka, aby mu zwiastować podróż. Przez te dziesięć dni tyle przeszli, tylu nowych ludzi poznali i tak się wszystko zmieniło, że Otkowi zdało się teraz, idąc po tej samej drodze, że nie dziesięć dni od tego czasu upłynęło, ale kilka miesięcy. Przyszły mu na pamięć wszystkie przeżycia ostatnie i migały mu obrazami w oczach, a jeden z tych obrazów ponad wszystkie był wyrazistszy i najdłużej pozostał. To obraz słodkiej, dziewiczej postaci Romiły. Otek nikomu nie zdradzał, jak bardzo przypadła mu do serca dama, której ślubowanie złożył i dla której gotów był potykać się choćby z diabłem samym. Nawet matce o tym nie wspominał, choć przed nią nigdy tajemnicy nie miał. Po prostu zdawało mu się, że umiłowanie to jest sprawą tylko jego serca, że gdyby o nim komuś mówił, nie zostałoby już takie słodkie, takie naprawdę jego, jenoby się podzieliło pomiędzy inne serca, spowszedniało, a może i znikło. Myślał tylko o niej ustawicznie i szukał pozoru, który by mu nastręczył jazdę do niej. Z tych myśli wyrwał go głos Hrehora.

— A co mu się stało, że zachorzał?

— O Liska pytacie? — wyrwało się Otkowi, choć przecież wiedział, że o nim mowa, ale tak się zapamiętał w marzeniu, że mu świat cały znikł sprzed oczu. — Ano, rany go rozpaliły.

— Jakie rany? — zdziwił się rycerz.

— A one, co mu niedźwiedź zadał. Nic wam o tym nie mówił?

— Zgoła o niczym nie wiem! Kiedyż to było?

— Jakeśmy do Lublina jechali, w tym dniu, kiedy nas Koniucha chwycił.

— Sam poszedł na niedźwiedzia?

— A sam.

— I wyście mu nie pomogli? — spytał z wyrzutem. — Toż go niedźwiedź mógł trupem położyć.

— A jak mu było pomagać, kiej całkiem oszalał. Potem nam mówił, że zawsze tak się z nim dzieje, gdy ujrzy niedźwiedzia.

— A skroś czego tak?

— Skroś tego, że — powiada — jak był mały to go na leśnej drodze niedźwiedź gonił i nawet takie sny go trapią, że go ów goni, a on uciec nie może.

— Miły Boże! — krzyknął, zatrzymawszy się Hrehory. — Dlatego mi on o swym śnie krzyknął przy mogile!

— Co wam to? — spytał Wicherek. — O jakiej mogile mówicie?

— Nic, nic — uspokoił się nagle rycerz. — Prowadź no dalej, serdeńko. I bardzo on chory?

— Nie wiemy, jak jest teraz, ale gdyśmy przyjechali do Siemiatycz, nie poznawał nikogo, ino wyrywał się, rzucał i precz o niedźwiedziu gadał.

— O dla Boga! — biadał rycerz. — A cóż bojaryn?

— Znachora przywołał. Może mu już lepiej, bo gdzieżby tam Bóg dał, żeby taki dobry towarzysz pomerł tak młodo. Jakimiś likami poił go znachor i ziołami obkadzał. Może mu się polepszyło. Kiejby dojechał do domu, toby mu ociec Grzegorz umrzeć nie dali, bo on różne cudowne liki ma. A tak...

— A onże ociec Grzegorz nie pojechałby do Siemiatycz ratować Liska?

— Może by i pojechał, czy ja wiem. Miłuje on go bardzo, ale czy zechce pojechać...

— Pójdę ja jutro rankiem do niego, a gdyby zechciał pojechać, zaraz pojedziem.

— I wy także?

— A ino! Zaraz jutro jadę.

— Skroś Liska?

— A tak!

— Tak go miłujecie?

Na to odrzekł Hrehory jakimś dziwnym, wzruszonym głosem:

— Miłowałbym ja go bardziej niż siebie samego, gdybym wiedział... Ale tak miarkuję, że Bóg cud uczynił.

Tu spuścił głowę i umilkł.

Szli jeszcze przez chwilę pomiędzy łanami młodej trawki i wkrótce znaleźli się pod bramą Wicherkowego obejścia. W chacie przyjęła ich Marychna z rozradowaną twarzą i po przywitaniu zaprowadziła gości do świetlicy, otarła fartuchem ławy i stół, prosząc by usiedli, a sama wyszła do izby, przygotować coś do zjedzenia.

Usiedli na ławach i milczeli. Hrehory przyglądał się ubogo urządzonej, ale czystej i schludnej izbie. Myślami jednak był przy Lisku, a mając serce pełne miłości dla niego, wyobrażał sobie chorobę jego większą, niż w rzeczywistości była. I rozpacz go brała, że teraz, kiedy po tylu dowodach przekonywał się coraz bardziej, kim jest Lisek, że teraz właśnie musiał zachorować i pomrzeć może bez niego. Brała go chęć bodaj

raz jeszcze zobaczyć chłopaka, nacieszyć się nim i postanowił jutro na pewno wyruszyć, choćby nawet ojciec Grzegorz nie mógł jechać. Te myśli przerwała mu Marychna, wnosząc na stół dzbanek miodu i kubki. Nalawszy sobie, wypili, a dziewczę tymczasem zastawiło wieczerzę, złożoną z jajecznicy z kiełbasą i bochna chleba.

— Jedzcie! — prosiła, siadając przy Wicherku na ławie. — Nie tak to u nas wybrednie jako tam na bojarskim stole, jak mi Wicherek powiadał, ale czym mogę, tym bym was ugościć chciała.

— Bóg zapłać! — dziękował rycerz. — Głodnemu każdy kęs chleba, choćby suchego za marcepan stanie. A trzeba wam wiedzieć, żem dziś mało co w ustach miał, a jeść lubię dużo.

— Zajechaliście przecie do Hansa — zdziwił się Wicherek — a u niego jedzenia w bród. Bez cóż tedy głodowaliście?

— Do Hansam co ino przed wami przybył. Rumor tam taki czynili ludzie, że gdzie tam myśleć o jedzeniu, a cały dzień byłem na koniu i okolicznych bojarów odwiedzał. Napatrzyłem się trochę, nasłuchałem, ludzi napytałem; mam z czym wracać do Siemiatycz. Oj, źle będzie z tym grodem nieszczęsnym, gdy go Lubart dosięże. Znikąd pomocy spodziewać się nie można.

— Wiemy i my i wszyscy to wiedzą — przemówił ponuro Otek — że się gród przed onym zbójem nie ostoi, bo go nie ma czym i kim bronić. Cała nadzieja w tym, że go gdzieś starosta w zasadzkę chwyci i przepędzi. Ale marnaż to nadzieja.

Hrehory tylko kiwnął niechętnie głową, mając usta pełne jedzenia.

— Ale oto najwięcej martwi nas to, co my mamy czynić.

— Albo co? — zapytał rycerz.

— Ano matkę mam na opiece, a Wicherek Marychnę, i nie wiemy, kaj się podziejemy przed burzą.

Hrehorowi oczy zabłysły i przełknąwszy chleb — zawołał:

— Jedźcie wszyscy ze mną do Siemiatycz!

Otek zarumienił się z radości i Marychnie twarz pociemniała, bo ją serce rwało do Liska. Ale po chwili szepnęła:

— Godzi się to hurmą spaść komuś na głowę? Zgodzi się na to bojaryn?

— Nawet nie pytajcie o to. Bojaryn miłuje was i chętnie będzie was u siebie gościł; a miejsca jest tam dosyć. Przy tym gródek bezpieczny, skryty wśród bagien i sam w sobie mocny, będzie ochroną dobrą dla was. Jedźcie! Cóż innego uczynić macie?

— A ociec? — wyrwało się Marychnie.

— Ociec ze starostą nieprędko wróci.

— Ale się strapi, gdy nas nie zastanie.

— Po mojemu miarkuję, że nikogo on tu nie zastanie i będzie przypuszczał, żeście się gdzieś w puszczy skryli. Powiadam wam, naładujcie na wozy co macie najcenniejszego i jutro rankiem ruszymy. Ja przedtem jeszcze zajdę do oćca Grzegorza, bo widzi mi się, że on jeden tylko zdoła pomóc Liskowi. Żeby go tylko Pan Bóg do tego czasu utrzymał przy życiu.

Na to pospuszczali chłopcy głowy, a Marychna poczęła końcem fartuszka oczy wycierać, chlipiąc z cicha.

Nagle na podwórzu zatupotały kopyta końskie i dał się słyszeć radosny skowyt psów.

Wicherek wybiegł z izby, wszyscy porwali się z ław, niepewni, kto by o tej porze przed dom zajechał, gdy wtem głos jakiś donośny doleciał przez otwarte okno i Marychna, klasnąwszy w dłonie — zawołała:

— Tatulo przyjechali!

ROZDZIAŁ XVIII

w którym Hrehory nabiera pewności

Jeżeli Włodko zdziwił się mocno, ujrzawszy Hrehora za stołem (znał go jeszcze z czasów książęcych), to z drugiej strony ucieszył się powrotem syna. Był to człowiek niestary jeszcze, suchy, wysoki, z płowymi wąsami i z twarzą pooraną zmarszczkami, które mu więcej starości przydawały. Przy tym był łysy, tylko nad uszami i z tyłu głowy wiły mu się kosmyki rudawych włosów. W ruchach był prędki w przeciwieństwie do powolnego Wicherka, a mówiąc, rozkładał ręce i szybkimi gestami okraszał mowę.

Wszedłszy, położył rękę na sercu, skłonił się Hrehorowi, uściskał Marychnę i Otka, po czym siadł na ławie, ocierając rękawem kaftana spocone czoło, z którego jeszcze nie znikła pręga po zdjętym w sieniach hełmie.

— Parno jest i zgrzałem się nieco — rzekł — daj no mi Marychna czegoś napić się i zrób więcej jajecznicy, bom głodny.

A kiedy dziewczę wyszło z izby, zagadnął Hrehora:

— Dawnom was nie widział i już zabaczyłem, jak wyglądacie. Coście to na wyprawę jaką chodzili?

— Doma siedzę — odparł Hrehory. —. Nie ma po-

trzeby do grodu jeździć, to i nie widzimy się. Przyjechaliście już z wojny?

— Zaśby tam! Posłali mnie starosta z poleceniem do Stechera; jutro wracać muszę. Ale jak wy poznajomili się z naszymi chłopcami?

— Długo by o tym gadać — rzekł z uśmiechem Hrehory. — Przekąście nieco a potem pogadamy o tym i o innych jeszcze sprawach.

— A Lisek pewnie jeszcze u oćca Grzegorza? — spytał, oglądając się po izbie Włodko.

Otek i Hrehory spuścili głowy, nic nie mówiąc, a strażnik począł bystro a niespokojnie patrzeć na jednego i drugiego i zapytał:

— Nic nie mówicie? Zali mu się — broń Boże — coś złego wydarzyło?

— Chory jest! — mruknął Otek.

— Chory? Co mu jest?

— Nie wiadomo! Od rzeczy gada i w gorączce leży.

— Gdzie on?

— U nas w Siemiatyczach pozostał — rzekł Hrehory. — Właśnie chcieliśmy o tym z wami pomówić i dobrze, żeście przyjechali.

— Bójcie się Boga! — biadał Włodko. — Toćże zdrów wyjechał, jak ryba. Bez cóż tak ciężko zachorował?

— Ano różne mieliśmy przejścia — mówił Otek. — Naprzód niedźwiedź go nieco poranił, kiej się na niego w pojedynkę rzucił...

— Lisek na niedźwiedzia?... Bajesz chłopie i sam może masz gorączkę!

— Prawdę mówię! Siła on jeszcze innych czynów dokonał, aniśmy się spodziewali, że on taki mężny...

— A zawszeście go tchórzem nazywali! — rzekła z wyrzutem Marychna, niosąc dzban miodu i kubki cynowe — a gdyby nie on, skapielibyście w pętach u zbójów.

— Juści, cobyśmy skapieli — przyznał Otek.

— I nas zratował — wtrącił Hrehory — i jego w tym największa zasługa, bo gdyby był zbójów nie podsłuchał i gdybyście do nas nie przyjechali, gorzej by nam było.

— Słusznie prawicie. I do tego przyznać się muszę, że nie bardzo chciałem do Siemiatycz, bo mi szkoda było czasu, ale Lisek uparł się i nawet chciał nas porzucić, aby was uratować.

— Bóg mu zapłać!

Włodko słuchał, a minę miał taką, jakby nic nie rozumiał z tego, co mówiono. W głowie nie chciały mu się pomieścić owe wieści, jakie o Lisku słyszał. Miał go wprawdzie zawsze za mądrego chłopaka, ale i za takiego, co to mówią, że podbity jest skórką zajęczą. A tu, z tych słów rzucanych, niewyraźnych jeszcze, ale pełnych pochwały dla sieroty, dowiadywał się o czymś zupełnie przeciwnym. Zdumienie jego wzrosło jeszcze, gdy jedząc, wysłuchał dokładnej już opowieści Otka, o ich przygodach w podróży, tym więcej, że Lisek chory, wzbudzający żal w przyjacielu, wyrósł w jego ustach wprost na bohatera. Słuchał więc Włodko opowieści, zapominając nieraz o włożeniu do ust przygotowanego kęska, słuchał i zdumiewał się coraz bardziej.

Dopiero kiedy Otek zdał mu sprawę z przebiegu całej podróży, wychwalając czyny Liska, jego chytrość

i dobre serce, odezwał się rycerz, z niedowierzaniem trzęsąc głową:

— Zaprawdę, wierzyć się nie chce temu, co słyszę. Toć on zawsze uchodził u wszystkich za tchórza i bynajmniej nie negował temu. Ilem to się namęczył, zanim nauczyłem go jako tako na koniu się utrzymać; zawdy bał się że spadnie. Nie patrzył on na rycerza, oj nie i dlategom rad widział go u oćca Grzegorza, bom se myślał, że miałby być niezdarny do miecza, to niechby księdzem ostał. A on widzicie nie tchórzem się okazał, jeno przezornym, jako dojrzały rycerz człowiekiem. No, no, dziwy to, bo dziwy niezwykłe... Jeno mi go żal, że choruje, a tu i pomóc mu nielża, bo czasy niepewne, a służba nie czeka. Radbym ja do niego pospieszył, ale służba pierwsza.

— A ino! — przyświadczył Hrehory. — Wy nie możecie, ale my możem i uczynim to jak najprędzej. Właśnie przed waszym przyjazdem namawiałem Otka i Wicherka, aby swoich zabrawszy i co cenniejszego, do nas, do Siemiatycz jechali. Zawsze tam przezpieczniej, niż tu.

Włodko z niedowierzaniem spojrzał na mówiącego i rzekł zwolna:

— Dobre by to było, pewnie, że dobre. Gródek wasz silny i w zapadłym kącie pobudowany, puszczą i bagnami od świata się odgrodził. Jeno żeście tam nie gospodarzem to...

— To co?

— Ano obcych ludzi brać w opiekę, zgodzi się na to bojaryn?

— O to się nie strachajcie. Nie neguje bojaryn nigdy temu, co ja czynię. A zaś nie wiecie, co to za dobry pan

i tego nie wiecie, jaką ja radość —da Bóg — jemu zawiozę. Jeśli wam tylko o to chodzi, niczym to jest, wierzajcie mi.

— Ha, kiedyście tacy dobrzy, to ich weźcie. Ciężar mi z serca spadnie, bom siła myślał nad tym, jaką radę da sobie beze mnie dziewucha... A kiedy zamierzacie wyruszyć ?

— Jutro rankiem. Jeno mi teraz przyjdzie skoczyć do oćca Grzegorza i do Siemiatycz go namówić. Może on Liskowi pomoże. Tak i pójdę.

Ale Otek przytrzymał wstającego z ławy Hrehora i rzekł:

— Nie wy, ale my z Wicherkiem pójdziemy do oćca Grzegorza. Wy go nie znacie, a dla nas był on zawsze łaskawy i tak myślę, że nie odmówi nam.

— Pewnikiem nie odmówi — zapewniał Włodko. — Bardzo on sobie Liska upodobał, a przy tym człowiek jest dobry jak anioł. Dla wroga, jeśliby takowego miał, uczyniłby to, zaśby tego nie uczynił dla Liska, którego miłuje! Pojedzie, pewnikiem pojedzie!

— To i czas na nas! Pójdźmy Wicherku! Noc krótka i spakować się jeszcze trzeba. Rankiem zajadę do was z matulą i z wozami. Ostańcie z Bogiem!

— Idź z Bogiem! — pożegnali go obaj rycerze, a Włodko dorzucił. — Jeno ty, Krzyśku, wracaj migiem, bo do rana niedaleko, a Marychna sama rady nie da sobie ze skrzyniami.

Chłopcy skłonili się i odeszli, a Marychna zwróciwszy się do rycerzy — spytała:

— Ja pójdę skrzynie ładować, a wy legniecie, czy będziecie jeszcze gwarzyć.

— Przynieś nam dzbanek miodu, pogwarzym

krzynę, a potem legniem. Cale mi się spać nie chce, chociem się trochę umęczył. A wy? — zwrócił się do Hrehora.

— Gdzie mi tam do spania! Siła mam z wami do pomówienia, jeno mi was żal, boście pewnikiem z daleka jechali i zdrożeni jesteście.

— Ii... tak znowu nie bardzo! Powiem wam, bo wiem, żeście nam przychylni, że starosta niedaleko, w gliniańskiej puszczy się skrył i tu Lubartowi chce wstręt dawać. A tymczasem siły zbiera i do króla śle o posiłki. Cale więc niedaleko jechałem, bom co ino o zmroku wyjechał, owóż i zdrożony wielce nie jestem. Możem sobie pogwarzyć do woli.

— Nie bardzo ja tam wierzę, aby starosta Lubartowi radę dał. Mnogo on wojska ze sobą wiedzie, a starosta ponoć jedną chorągwią jeno włada.

— Prawda jest, że mu w otwartym polu rady nie da, ale mu będzie boki szarpał, posiłków się doczeka i wyżenie z kraju precz najeźdźcę. To rycerz znamienity!

— Dałby to Bóg, by w tej biednej ziemi, po tylu latach gwałtu i pożogi cnotliwy pokój nastał. Bo to widzicie, tyle lat już tu żyję, a takich czasów, jakie od śmierci kniazia nastały, zgoła tu nie było. Trafił się i przedtem tatarski najazd, trzeba się było mieczem od pohańców bronić, ale tyle łez, tyle krwi nie popłynęło tu chyba nigdy, co w tych bezpańskich czasach. Czego Tatar nie zniszczy, to Litwin spali, albo kupy swawolne dograbią. Albo tę ziemię Pan Bóg karze za jakieś dawne winy, albo ją do krwawszych jeszcze chce zaprawić bojów, bo inaczej myśleć nielża.

Zadumali się obaj i nastała cisza. Tymczasem po-

wróciła Marychna, niosąc dzban miodu i dwa kubki. Postawiła je na stole, objaśniła kaganek, podciągając knot do góry i wyszła cicho z izby.

Włodko ocknął się z zadumy, nalał w kubki miodu, trącił się z gościem i rzekł:

— Co tam po próżnicy sumować. Będzie, co Bóg da! Niech no starosta porośnie w siłę; da on radę Lubartowi, którego wojownicy nijakiej sztuki rycerskiej nie znają, jeno kupą chodzą, końskich ogonów się dzierżąc. To gorsze, że ano teraz starosta nie przygotowany, nie będzie miał tyle sił, aby napaść odeprzeć i łatwo gród nasz może paść ofiarą. Dlategom też bardzo rad, że dzieciska moje znajdą u was pomieszczenie w te czasy niepewne.

— I my radzi będziem mieć ich koło siebie, bo prawdę rzekłszy, bardzośmy się polubili. Kiej do Lublina pojechali, wspominaliśmy ich często, a już najbardziej Liska. Trzeba wam wiedzieć, że on najwięcej bojarynowi do serca przypadł... Śwarny to chłopak i serce ma złote, na ludzką niedolę dziwnie miłosierne.

— Taki był zawsze — przytakiwał Włodko. — Aby u kogo łzę zobaczył, już i z nim razem płakać był gotów i ostatni łach ze siebie onemu oddać. Ale nijak nie mogę uwierzyć, żeby on w pojedynkę na niedźwiedzia poszedł. Mówię wam, że mu niedźwiedź musiał kiedyś krzywdę uczynić, bo go nienawidzi tak, jak święty diabła.

— Słyszałem i ja coś o tym, bo mi Otek opowiadał, ale co by to takiego było z tym niedźwiedziem? — spytał chytrze Hrehory, czując że rozmowa bierze dobry dla niego obrót. — Po czym poznaliście tę nienawiść?

— Dzieckiem jeszcze był, widzicie, a często po nocach skamlał, że się boi, że go niedźwiedź goni. Cięgiem mu się ów niedźwiedź śnił, a wtedy jeno nieboszczka moja uspokoić go mogła.

— I wy nie wiecie, co w tym jest? Dyć to wasze dziecko!

— Moje i nie moje. Moje, bom go wychował jak swego, a nie moje, bom go na drodze znalazł i do dom przywiózł. Miłuję go jak swego, to prawda, ale Bóg jeden wie, komu on na pociechę jawił się na świecie.

— Krom Boga mógłby i ktoś inny wiedzieć — wyrzekł powoli Hrehory.

— A kto?

— Ja!

— Wy? — zdziwił się Włodko. — Toć go ledwie parę dni znacie?

— Prawda! Lecz czasem w jednej godzinie więcej się stać może ważnego, niż w innym czasie w miesiącu. Powiem wam — tu przysunął się bliżej ku Włodkowi — że ino od was zależy, abym wam wyrzekł imię jego oćca.

— Ćmicie! — obruszył się rycerz. — Piętnaście lat szukam za nim, a wybyście go znaleźć chcieli w jednej godzinie?

— Ja już znalazłem. Jeno mi potrza pewności, a tę macie wy.

Włodko niepewnym okiem wpatrzył się w twarz gościa.

— Nie ćmicie wy? — spytał.

— Bóg mi świadkiem, że prawdę gadam — rzekł poważnie Hrehory.

Włodkowi twarz pobladła, ściągnęła się wzruszeniem, a po chwili spytał:

— Co chcecie wiedzieć?

— Wiem już wiele, wiele się też domyślam, a będę wiedział wszystko, jak mi powiecie, gdzieście go znaleźli i kiedy.

— To wam mogę powiedzieć. Nie jednemu już o tym mówiłem.

— To mówcie!

— Napijmy się w przód, bo mnie coś za grdykę chwyta i mówić zgoła nie mogę. Nalejcie, ja wyjdę spojrzeć, co Marychna robi, czy jej aby nie za ciężko.

Włodko wyszedł na chwilę do drugiej izby, tymczasem Hrehory nalał w kubki miodu, rozlewając sporo na stół, bo był wzruszony i ręce mu się mocno trzęsły.

Za chwilę wrócił Włodko, usiadł, nadpił z kubka miodu i zaczął opowiadać:

Było to jak raz piętnaście roków temu, tak jakoś z wiesny, jakoby dziś, jeno zimniej było i ludziska w kożuchach jeszcze chodzili. Ja na ten czas nie byłem jeszcze strażnikiem grodowym i cale źle mi się wiodło. Ród mój, wiecie, pochodzi aż spod Krakowa i stamtąd ja tu przyszedł. Za czasów wojen z Krzyżakami za króla Łokta zmarnowała się nam niewielka wprawdzie, ale zawsze swoja ojcowizna i ociec z łaski królewskiej jeno żył, przebywając na jego dworze. Dla mnie tam miejsca brakło i musiałem we świat iść i tam chleba szukać. Byłem już pasowany, bom stawał w potrzebie krzyżackiej i pod Płowcami pasam się dosłużył. Ociec trochę uciułanych groszy dał, to mi i świat otworem stał i jużem się w myślach na własnym kasztelu widział. Bóg tego nie dał, ale i za to co jest, trzeba Mu

dziękować, a od gorszego się wypraszać. Po niejakiej tedy tułaczce po różnych miastach przybyłem tu do Lwowa, aby u księcia służby szukać. Ale jego rządy już się kończyły i choć mnie przyjął i służbę dać chciał, widziałem owo, że niedługo mu panować, bo za wiele miał wrogów. Pobudowałem sobie jednak tu chałupę, ożeniłem się z jedną dwórką księżnej, książę dał parę łanów ziemi i jakoś żyliśmy. Aby się bardziej wspomóc, umówiłem się z kilkoma kupcami ormiańskimi, którzy w dalekie czasem kraje jeździli, że ich ochraniać będę w ich podróżach i rzeczywiście, dobrawszy kilkunastu podobnych sobie biedaków, czyniliśmy z nimi wyprawy czasem do Krakowa, czasem do Kijowa, a nawet i do Carogrodu.

Raz wracając z takiej wyprawy (nie pomnę już, gdzie wówczas jeździliśmy) przywiozłem ze sobą Liska. A było to tak: Jechaliśmy traktem gliniańskim środkiem puszczy, z całą kupą kupców, wozów, pachołków i rycerzy. Mieliśmy się na baczności, bo po kraju hulali Tatarzy, zimą jeszcze Krym opuściwszy. Nieraz musieliśmy się wymykać większym czambułom, mniejszych kilka starliśmy i tak unikając miejsc otwartych, puszczą jeno przekradając się, dobiliśmy wreszcie owego wieczora do drogi, która łączy trakt gliniański z traktem chełmskim. Do grodu już było niedaleko, więc choć już późny był wieczór, nie zsiedliśmy z koni, by zanocować, jeno stanęliśmy krzynę odpocząć przy onej drodze, a potem mieliśmy jechać dalej, aby w on czas jeszcze dobić do domu. Marzył się już człowiekowi wypoczynek po długich trudach, bośmy przecież po kilka miesięcy prawie blach ze siebie nie zdejmowali. Marzyła mi się nieboszczka moja i synek maluśki wów-

czas, słowem szczęśliwy byłem, że się to już wszystko skończy i zażyję trochę wywczasów. Spoczywaliśmy tak przez kilka pacierzy i już wyforowałem się naprzód, aby dalej prowadzić, gdy wtem na trakcie gliniańskim, od strony grodu zaczerniła się kupa jeźdźców. Było ich może ze dwudziestu, a jechali krok za krokiem, jakby za truchłą, ze spuszczonymi głowami, cicho, bez zwyczajnego w takiej kupie gwaru, jakby nie ludźmi byli, a duchami. Myśmy im miejsce uczynili, bośmy myśleli, że nas wyminąć chcą i dalej traktem jechać, ale oni skręcili na ową drogę leśną, wiodącą do traktu chełmskiego. Gdy nas mijali, zauważyłem na przedzie dwóch ludzi, dziwnie wyglądających. Bez czapek byli i broni przy nich nie widziałem, za to jeden z nich trzymał w ramionach niewiastę, której głowa zwisała na boki, jakoby spała, a drugi na ręku dzierżył małą, w kożuszek otuloną dziecinę. Przejechali przed nami, jak mary i zniknęli na drodze, zakryci lasem. Przeżegnałem się, bom sam nie wiedział, co o tym myśleć i ruszyliśmy dalej.

Ujechaliśmy spory kawał drogi i już się puszcza niezadługo kończyć miała, gdy nagle psy, których kilka zawsze włóczy się przy wozach, pobiegły w krzaki i tam jęły poszczekiwać. Zlazłem z konia i poszedłem obaczyć, co tam takiego w krzakach kryło się. Wiecie, ażem się z podziwu za głowę złapał. Oto pod krzakiem leżało dziecko, opatulone w kożuszek, ale bez czapki na głowie i spało, a psy obwąchiwały je, chodząc dookoła i warcząc. Musiało być bardzo zmęczone, kiedy je warkot psów nie obudził. Odpędziłem psy, wziąłem dziecię na rękę i wsiadłem na konia. Przez całą drogę spało mi na rękach, ale cale niespokojnie, bo czasem

krzyknęło coś przez sen, ba rzucało się tak, iż musiałem je mocno w rękach dzierżyć, żeby mi nie upadło. Przywiozłem je do domu, rozebraliśmy z nieboszczką, położyli na łożu i patrzaliśmy na nie, jak urzeczeni. Chłopczyk to był piękny, czarnowłosy, ale w tej chwili rozpalony gorączką i najwidoczniej chory. Rzucał się, krzyczał w obcym języku, bom tego zgoła wyrozumieć nie mógł. Tom jeno miarkował, że on i w lesie nie spał, ale był zgoła nieprzytomny. I ten stan nie opuścił go przez kilka dni pobytu w naszym domu. Dopiero ociec Grzegorz poradził mu swoimi likami, tak że powoli zaczął przychodzić do siebie. Rozumiał, cośmy do niego mówili, ale nie odpowiadał nam po naszemu, a w tym cudacznym języku, który ociec Grzegorz nazwał greckim.

— Słusznie! — szepnął Hrehory, a głośniej zapytał:

— Nie pomnicie nic z jego mowy? Może jakieś słowo, libo imię przypominacie sobie?

— Pomnę tylko, że siebie nazywał Jakiw, a czasem Buś, a inszych imion nie wymawiał, bo jak potem zmiarkowałem, kiedy po naszemu nauczył się, to wszystko, co było przed ową chwilą w lesie, wszystko całkiem zabaczył.

— Nie dziwi mnie to, oj, nie dziwi — westchnął Hrehory. — Ale powiadajcie no dalej!

— Nie ma co i wiele do powiadania. Szukałem długo, kto by on był, przepytywałem ludzi, ale niczego nie dopytałem się. Miarkowaliśmy obaj z oćcem Grzegorzem, że to dziecko jakowegoś Greka, może kupca, którego Tatarzy porwali i na drodze gdzieś porzucili. A tak i wychował się u nas.

— Źleście myśleli obaj, oj źle — rzekł rycerz,

a wargi trzęsły mu się ze wzruszenia. — Ano powiedzcie mi jeszcze jedno: Jakeście go rozebrali, miałli on na nogach z czerwonej skórki skórznie i sandałki na nich, złotymi paski przypięte?

— Jużci, tak! Ale skąd wy o tym wiecie?

— A na sobie — pytał dalej Hrehory — miałli sukienkę z czerwonej materii, pod szyją i na rękawach złotym paskiem lamowaną?

— Akuratnie taką samą.

— Na szyi zaś, na złotym łańcuszku misternej roboty krzyżyk złoty, do którego przybity był maleńki Jezusek, z czarnego drzewa wyrzezany?

— Tak i było... Ale...

— Macie jeszcze ów krzyżyk?

— Mam. Zaraz wam pokażę.

I Włodko poskoczył do skrzyni, rozwarł ją i za chwilę powrócił do stołu, podając Hrehorowi złoty łańcuszek z krzyżykiem.

Ten wstał z ławy, chwilę patrzał na ów krzyżyk błędnymi oczyma, oddychając szybko, że mu potężna pierś grała, jak miechy kowalskie. Nagle z niesamowitym jękiem porwał łańcuszek, począł go całować, przykładać do piersi, do serca, a wreszcie opadł na ławę, ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał głośno i tak mocno, że potężne jego bary trzęsły się, jak w febrze.

Włodko patrzał na płaczącego olbrzyma, jak urzeczony. Ruchliwa jego twarz zdradzała to niezmierne zdziwienie, to znowu rozrzewnienie i strach. Przeczuwał, że losy Liska rozstrzygnęły się i choć pragnął tego od lat tylu, uczuł teraz coś jakby żal w sercu, że tego chłopaka, którego polubił od maleńkości mogą mu teraz zabrać. Uczucie to mignęło jednak tylko w sercu

poczciwego rycerza, a potem wypełniła je radość, że biedny sierota znajdzie przecież na świecie przytulisko, może lepsze, niż je miał u niego. Przy tych myślach dziwnym mu się wydawał płacz olbrzyma, który miasto cieszyć się z odzyskania syna, tak obficie łzy wylewał. Bo rycerz Włodko był przekonany, że Hrehory w Lisku rozpoznał swego syna, który mu kiedyś w jakiejś przygodzie zaginął. Tak myśląc, wodził oczyma to po trzęsących się barkach gościa, to po krzyżyku, który z rąk mu wypadłszy, złocił się na białym tle obrusa. Wreszcie dotknął lekko włosów Hrehora i rzekł:

— Poniechajcie płaczu! Jeżeli dobrze myślę, łacniej wam radować się niż płakać przystało.

Hrehory podniósł powoli głowę, spojrzał na krzyżyk raz jeszcze, a potem wziął go ze czcią, ucałował i powiesił na szyi. Podczas tych czynności łzy jak groch sypały mu się na sumiaste wąsy i brodę, a na ustach miał jakiś dziwny, rozrzewniający uśmiech. Widać było, że się mocuje ze sobą, że się zmaga, bo sczepiwszy ręce na stole, ściskał je, aż palce w stawach trzeszczały. Trwało jednak dobrą chwilę, zanim się uspokoił i kiedy łzy przestały mu płynąć po twarzy, wstał, położył rękę na ramieniu Włodka i przemówił tkliwie:

— Nigdy wam tej chwili nie zapomnę i błogosławić będę was i dzieci wasze i każdy kąt waszego domu, gdzie on się wychował. Nigdym nie myślał, że on żyje, bom pewien był, że albo mu Bynka gdzieś główkę roztrzaskał, jak jego matce, albo go niedźwiedź rozdarł. I dziś, chociaż wiem pewnikiem, że to on, a przecież dziwno mi, jak on się nieboraczek z tych rąk niecnotliwych czy z pazurów wyrwał.

— A skąd wiecie, że mu niedźwiedź zagrażał i kto to jest Bynka?

— Siła by o tym mówić i lepiej, jak wam to kto inny powie.

— A kto?

— Jego ociec.

— Więc to nie wy nim jesteście?

— Ja? — zawołał, wytrzeszczywszy oczy ze zdziwienia Hrehory. — Ja? Jego ociec? Sami nie wiecie, co mówicie! Jam mu jeno godzien strzemię przy wsiadaniu potrzymać. On po oćcu z kniaziowego rodu Ruryków wywodzi się, a po matce cesarska krew w nim płynie.

— Kto więc on zacz? — wyjąkał w najwyższym zdziwieniu Włodko.

Hrehory wyprostował się dumnie, podniósł rękę do góry i rzekł zwolna a dobitnie:

— Owo dziecię, coście mu oćcem byli, to syn bojaryna Andrzeja Siemiaszyca, to pan i dziedzic na Siemiatyczach i mnogo innych wsiach, grodach i gródkach to, mówię — bojaryn Jakub Siemiaszyc. Jam jest, com go na rękach nosił i przez piętnaście roków za nim płakał.

— Dziw! — krzyknął Włodko. — Kniaziam na rękach swoich wyhołubił!

— I niech wam za to Bóg zapłaci! — zakończył Hrehory i roztkliwił się na nowo.

ROZDZIAŁ XIX

w którym księdza Grzegorza dziwi godło na tarczy Hrehora

Rankiem dnia następnego pięć wysoko naładowanych wozów i kilku jeźdźców posuwało się zwolna po piaszczystym gościńcu gliniańskim.

Ranek był przepiękny. Przed świtem, jak to często w maju bywa, spadł obfity ale krótki deszcz i pozostawił na liściach drzew i krzewów kropelki, które teraz mieniły się w promieniach słonecznych jak kuleczki, tryskające barwami tęczy. Niekiedy lekki wiatr strząsał je na ziemię, a wówczas leciały w dół, na kształt różnobarwnego deszczu i wsiąkały natychmiast w ziemię. Cały las rozbrzmiewał świegotem ptasząt, nawoływaniem się zazul i pukaniem dzięciołów, a w ten rozgwar nieustanny wpadał czasami rozgłośny, lecz krótki bek jeleni lub ryk żubra. Niekiedy z gąszczy leśnych na kilkanaście kroków przed jeźdźcami wyskakiwał zając, stawał słupka i strzygł przez chwilę uszyma, ale zoczywszy niebezpieczeństwo, zmykał czym prędzej do lasu. Mniej tchórzliwe były wrony, które gromadami całymi podlatywały nad drogą lub majestatycznie kroczyły po piasku, prowadząc bezładny rozhowor we wrzaskliwym, wronim języku, a ulatywały dopiero wtedy, gdy ich kopyta końskie nieledwie dotknąć miały.

Na przedzie, na kilkanaście kroków przed wozami, jechały na koniach dwie postacie. Jedna przybrana w świecącą zbroję, z hełmem na głowie i z mieczem u pasa, druga w rozwianym, brązowym płaszczu, spod którego wyglądał biały habit, przepasany w pasie ró-

żańcem o wielkich czarnych kulkach, zakończony krzyżem. Na głowie, prócz brązowej mycki, nie miał żadnego nakrycia i siwe kosmyki włosów, targane lekkim wiatrem, igrały dookoła głowy, muskając go po twarzy szczupłej, pooranej zmarszczkami, drobnej, na której tylko dwoje oczu pod wysokim czołem znamionowały wielką mądrość, wielką dobroć i niespożytą siłę ducha. Do kulbaki miał uwiązany niewielki tłumoczek, w pasiastą chustkę owinięty, z którego wystawał róg księgi o metalowym narożniku. Obydwaj rozmawiali o czymś ze sobą, przy czym więcej mówił rycerz, a zakonnik słuchał, wpatrzony w zadumie przed siebie.

Rycerzem był Hrehory, zakonnikiem ojciec Grzegorz.

Chłopcy nie potrzebowali go wcale namawiać do tej podróży. Gdy tylko usłyszał o chorobie Liska, nie oponował, nie wymawiał się przed męczącą podróżą ani starością, ani niepewnymi czasy. Zgodził się natychmiast jechać. Wszak przez całe swoje życie niczego nie pragnął prócz — ochotnego służenia ludziom i zaprawdę był dla nich pokornym sługą, serdecznym pocieszycielem, a zarazem niepodzielnym władcą dusz tych wszystkich, na których oko jego bodaj raz spoczęło. Gdzie troska obsiadła dom jakiś, gdzie choroba wdarła się chyłkiem, wnosząc ból, męczarnię i śmierć, gdzie człowiek złamany życiem czy cierpieniem na drodze do piekieł się znalazł, tam wkraczał rozum jego lub serce, lub słowo ważkie jak ołów, a mocne jak stal. Całe swoje życie koił ból, pocieszał w strapieniu, wyszarpywał rozpacz z serca i gromił zło. Z opowiadań Otka i Wicherka dowiedział się wiele

o domu, do którego miał wstąpić i zrozumiał, że jedzie tam nie tylko jako mądry lekarz ciała, ale i jako serdeczny pocieszyciel. Zrozumiał, że w dom ten uderzył kiedyś piorun i rozniecił płomień, tlejący do dziś, a on ma być ninie zwiastunem lepszej doli, ma wnieść słońce w ciemność, radość w smutek, w rozpacz wlać otuchę. Zabrawszy więc do tłumoczka, co mu było potrzebne, zdał kościółek towarzyszowi swemu ojcu Janowi, polecił go opiece boskiej i rankiem pierwszy stawił się u wrót Włodkowego obejścia. Mimo próśb chłopców i Hrehora, żeby siadł z niewiastami na wóz, miękko sianem wymoszczony, wymówił się stanowczo, podając że wszystkie swoje podróże odbywał pieszo lub na koniu i wcale go ta jazda nie męczy.

Jechał więc teraz obok Hrehora, słuchając opowiadań jego o ostatnich wydarzeniach i o chorobie Liska.

Za nimi zwolna posuwały się wozy. Na pierwszym, oprócz woźnicy, siedziały dwie kobiety. Cztery inne naładowane były wysoko skrzyniami i tłumokami i bardzo powoli toczyły się po piaszczystej drodze, skrzypiąc niemiłosiernie.

Na pierwszym wozie — jak łatwo się domyślić — siedziała matka Otka i Marychna. Pani Ottonowa była to kobieta nie pierwszej już młodości, szczupła, blada, z wielkimi niebieskimi oczyma, a spod czepka i narzuconej na nim chustki wymykały się kosmyki siwych włosów. Musiała być kiedyś piękną, ale czas, ciągły niepokój o męża, który światami przebywał, posłując na różnych dworach, zrobiły swoje. Jednak ani czas, ani troski nie skosiły z jej twarzy dobrotli-

wego uśmiechu, ani nie przygasiły wesołego wyrazu wielkich oczu. Kto by się twarzy jej przyglądał, gdy oczy miała spuszczone, sądziłby, że ma przed sobą wątłą, cierpieniami zniszczoną i zgorzkniałą niewiastę. Gdy jednak oczy podniosła i wpatrzyła się w kogoś wzrokiem roześmianym, czystym i pełnym dobroci, tamtemu mimo woli słońce do duszy wchodziło. Dziwna miła radość przenikała ją na wskroś, a ludzie kochali ją i za jej dobre serce i za wielki rozum, ale najwięcej za to, że potrafiła rozweselić każdego słowem, uśmiechem i oczyma.

I teraz opowiadała coś Marychnie, a ona, mimo nieoschniętych jeszcze łez na rzęsach, które wylała, żegnając kąty rodzinne i ojca, śmiała się, dłońmi zasłaniając twarz.

Na samym końcu jechali na koniach Otek i Wicherek w tym samym stroju, w którym odbywali drogę do Lublina. Niewiele mówili ze sobą. Wicherek rozmyślał o Lisku, którego kochał naprawdę jak brata, a zresztą naturę miał taką, że trudno było prowadzić z nim rozmowę, nie wyciągając mu z ust po prostu siłą każdy wyraz. Małomowny był zawsze, a w tej chwili tym bardziej, że miał o kim i o czym myśleć. Żal mu było także dopiero co opuszczonej chaty, do której nie wiedział czy wróci, a jeśli wróci czy zastanie ją jeszcze całą, czy tylko kupę gruzów. Miał jeszcze i tę zgryzotę, że będąc chciwy bitki, musiał jechać w spokojne miejsce, gdy na karku wróg siedział. Molestował wczoraj ojca, aby go wziął ze sobą do starosty, ale ten oparł się temu stanowczo, że nie będąc pasowanym, nie ma obowiązku ruszać w pole,

ale ma obowiązek święty wobec siostry, której strzec jak oka w głowie surowo mu przykazał.

Inne zupełnie były myśli Otka. Gdyby nie to, że trapił się myślą o chorym przyjacielu, zgoła radośnie jechałby do Siemiaszycowego gródka. A i tak na duszy było mu przyjemnie. Pozbył się rozterki, co ma czynić ze sobą, bo uspokoił go zupełnie Włodko, mówiąc to samo co i Wicherkowi, że pierwszym jego obowiązkiem jest strzec matki. Zabrał także Włodko ze sobą ów list starosty, który stał się przyczyną tylu złych, ale i tylu dobrych następstw, a przez to wielki ciężar spadł mu z serca. Powróciwszy z owej wyprawy do Lwowa, domyślił się, że ich jazda do króla miała na celu ściągnięcie posiłków staroście i do przyjazdu Włodka nie miał chwili spokojnej, biadając że starosta nie wiedząc o wyjeździe króla z Lublina, nie mając o nim żadnej wiadomości, daremnie będzie czekał posiłków. Prosił bardzo Włodka, aby opowiedział wszystko staroście, co przeżyli podczas tej wyprawy i że on na wyraźne życzenie matki musi ją ochraniać, a poniechać swej służby.

Więc teraz jechał z radością do gródka Siemiaszyca, do którego ciągnęła go troska o przyjaciela i czarne oczy Romiły. Pokochał ją całą swoją gwałtowną, niepohamowaną duszą i ta myśl o tym, że jeszcze słońce nie całkiem skryje się za siemiatycką puszczę, a on już będzie mógł patrzeć na nią i może rączkę jej uścisnąć, napawała go upojeniem. A kiedy pomyślał, że bytność ich w gródku może przeciągnąć się na kilka tygodni, że codziennie widzieć ją będzie i służyć jej, kto wie jak długo, serce zalewała mu radość bez granic. Pragnął tylko, aby ta służba dla niej

była ciężka i niebezpieczna, aby po czynach mogła poznać jego gorącą miłość. I to właśnie było jego jedyną troską, bo wydawało mu się, że na tym cichym gródku, wśród pokoju, z dala od wojny i niebezpieczeństw, czynów tych mu zabraknie. Może, gdyby przeczuł, że jedzie do miejsca, nad którym niezadługo łuny pożarów zajaśnieją i rozpęta się piekło wojny, może by się bardziej jeszcze cieszył, że usłuży podług swej myśli tej, której szczęście ślubował.

Nie spodziewał się tego i Hrehory, bo byłby tak ochotnie nie zapraszał gości do siebie na strach i cierpienie. On sam teraz o nic nie dbał, o niczym myśleć nie chciał, jeno o Lisku. Po wczorajszej rozmowie z Włodkiem noc całą przedumał, nie zmrużywszy oka. Nie wiedział, co ma począć z tą tajemnicą, którą tak szczęśliwie rozwiązał. Chciałby się z kimś nią podzielić, a najgoręcej pragnął odkryć ją bojarynowi, ale znając jego wątłe zdrowie, bał się, ażeby go nagła radość nie zabiła.

I teraz jadąc z księdzem Grzegorzem często się zamyślał. Ułożył sobie już w nocy plan, aby po drodze opowiedzieć księdzu o wszystkim i jego rady zasięgnąć, ale teraz wydało mu się to jeszcze za wcześnie. A nuż Lisek umrze — myślał — po cóż wywlekać na światło dzienne tajemnicę, skoro i tak nikomu korzyści przynieść by nie mogła, chyba jeszcze większe zmartwienie. Niech ksiądz uzdrowi naprzód Liska, niech się rozpatrzy we dworze, a potem on się jego poradzi. Bo Hrehory wierzył niezachwianie w wielki rozum księdza, a wierzył nie tylko pod wpływem opowiadań o nim, ale sama postać jego uczyniła na nim wielkie wrażenie.

Z tych rozmyślań wyrwało go nagle zapytanie:

— Ród wasz musi z daleka się wywodzić, bom nigdzie tutaj nie widział takowego godła na tarczy, jak u was.

— Słusznie prawicie! Jam tutaj pierwszy z mego rodu zawędrował, a wywodzę się ze sławnego rodu Kożemiaków, aż spod Kijowa.

— A cóż to za rysunki macie na tarczy? Tak mi się ochłapia, jakby to była głowa Meduzy, a pod spodem szpony szatana?

— Nijaka to głowa Meduzy, o której nawet nie wiem, co zacz była, ale to głowa wraża, którą jeden z rodu mego we walce ściął. A zaś na dole jest ręka z rozpostartymi palcami, którą to ręką ten ci mój przodek wroga zdławił. Alboż to nie znacie, ojcze wielebny opowieści o Cyrylu Kożemiace?

— Ani ją znam, anim nawet nie wiedział, że taki żył. Wasz ci to był praociec?

— A ino! Po nim to godło mamy. Jeszcze za kniazia Włodzimierza żył wpodle Kijowa ów Cyryl. Gołowąsem jeszcze był, gdy raz Pieczyngi wpadli na Ruś. On tedy sam jeden przełomił olbrzyma Pieczynga i strachu innym napędził takiego, że uciekli, jeno się po nich zakurzyło.

— A jak go książę nagrodził?

— Ano, dał mu ziemi mnogo, rycerzem go uczynił i owo godło, które na mojej tarczy widzicie — nadał. A zwał się ów praociec mój Cyryl Kożemiaka, że to się kożą parał za młodych swych lat.

— Myślicie, że dziś takich osiłków nie ma?

— Zaśby tam nie było! Ja sam znam jednego, com go Tatarom odbił lat temu kilkanaście. Zowie

się Wasilko i dziś rycerzem jest. Sam król go pasował.

— Znam go! To ten, których podpalił ostrokół pod Bełzem. Widziałem go niedawno na grodzie starosty. Przyniósł mu wieść o Lubarcie.

— Wiem, wiem... Jakoże myślicie, oćcze wielebny, da sobie starosta radę z Lubartem?

— Na nieprzygotowanego napadł. Wszelako myślę, że choćby i pół kraju wyniszczył, a panem jego nie będzie. Za słaby on, aby zdzierżyć królowi. Przeto tylko wtedy może być górą, gdy król będzie daleko. Inaczej nie poradzi i przyjdzie czas, że go król wyżenie precz w litewskie puszcze i natenczas będzie tu spokój.

— Daj Boże!... Widzicie, ja to tak nieraz myślę sobie, że ano... Ale spojrzyjcie!... Ktoś ku nam jedzie... jakowiś ludzie...

Dojeżdżali właśnie do bocznej drogi, która miała połączenie z gościńcem chełmskim, gdy z zakrętu wyjechało im naprzeciw kilku jezdnych i co koń wyskoczy gnało ku nim.

— Przed kim oni tak uciekają, na Boga! — pytał niespokojnie rycerz, a przypatrzywszy się lepiej jeźdźcom, pobladł silnie na twarzy i krzyknął:

— Toż to z mojej drużyny ludzie! Cóż się tam stało na gródku?

Tymczasem jeźdźcy — było ich pięciu — doskoczyli do Hrehora i przystanęli.

— Jedziemy po was, panie! — odezwał się jeden z nich.

— Bez cóż tak pędziliście?

— Pędzilibyśmy tak aż do grodu, bo taki przykaz dostaliśmy od bojaryna.

— Co się stało?

— Nic się nie stało, jeno ten rycerzyk, co to go chorego ostawili na gródku...

— Umarł — wykrzyknął, łamiąc ręce Hrehory.

— Jeszcze nie umarł, ale gorzej mu i bojaryn wysłał nas po was, byście się śpieszyli i medyka ze sobą przywiedli.

— Śpieszyć się? Jakoże tu spieszyć się z wozami? Ale już dopędzili ich Otek i Wicherek i na wiadomość o pogorszeniu się choroby u Liska, zaniepokoili się strasznie. Wreszcie Otek przemówił:

— Niechaj ci ludzie doprowadzą wozy i niewiasty nasze do Siemiatycz, a my popuśćmy koniom cugle i popędźmy chyżo. Rzecz w tym tylko, czy wielebny ociec zdoła nadążyć z nami.

— O mnie się nie strachajcie! Najgorzej mi wyleźć na konia, a kiej już na nim siedzę, mogę jechać długo i prędko, jak kto chce. Kości mam jeszcze krzepkie i nie rozsypią się.

— Dobrze — rzekł krótko rycerz.

A zwróciwszy się do ludzi, zapytał:

— Droga przezpieczna, Makar?

— Spokojna! — odparł tenże.

— Ruszajcie zatem do wozów i pilnujcie ich, jak oka w głowie, a my pojedziem prędzej. Trzeba jeno powiedzieć o tym starościnie.

To mówiąc podpędził konia ku wozom i rzekł do niewiast:

— Musimy pognać konie. Tych oto moich druhów posłał po mnie bojaryn, abym czym prędzej wracał, bo Liskowi gorzej się zrobiło.

— Jezus! Maria! — krzyknęła Marychna.

— Zostawiam wam tedy moich druhów, którzy was przezpiecznie do gródka dowiodą. Zresztą to już niedaleko i po południu będziecie na miejscu. Bogu was zostawiam!

— Jedźcie z Bogiem! — rzekła starościna.

Hrehory jeszcze raz przykazał ludziom, aby pilnowali niewiast i wozów i ruszył z towarzyszami naprzód. Wicherek i Otek wyforowali się i gnali jak wicher. Ksiądz i Hrehory, chociaż pozostawali w tyle nieco, ale i oni podpędzali konie i jechali milcząc, zaniepokojeni srodze.

Za zakrętem las ciągnął się już niedługo, a potem jechali drogą wśród łąk lub grobelkami wśród bagienek, których w tych stronach było mnóstwo. W uszach dźwięczały im złowieszcze słowa Makara i wydawało im się, że ten przyjaciel ich umiłowany na nich tylko czeka, aby się z nimi pożegnać i wyruszyć w podróż wieczną, z której powrotu już nie ma.

ROZDZIAŁ XX

w którym Lisek sądzi, że jest w raju

A tymczasem Lisek miał się naprawdę źle. Nie rzucał się już wprawdzie po całym łożu, nie wydzierał się, nie szarpał, ale gorączka rzadko go tylko opuszczała. Za to przyszło nań takie osłabienie, że trudno mu było ręką poruszyć, a mówić prawie że nie mógł, szeptem tylko wypowiadając to, czym go napełniała gorączka i bezład w głowie. Noc całą nie spał, jeno oczyma świecącymi wodził po całej komnacie

i po twarzach otaczających go, jakby szukał czegoś, co mając w duszy, chciałby mieć przed oczyma.

A nad nim pochylały się raz wraz głowy tych, którzy z niewiadomego powodu miłowali go czym raz więcej. Stary bojaryn, Romiła i Jureczek nie odstępowali od jego łoża ni na chwilę, to kładąc mu na głowie płatki zmoczone w wodzie, to pojąc go odwarami ziół, które zalecił znachor. Szczególnie Romiła była niestrudzoną w podawaniu mu leków i ochładzaniu go. Bojaryn przeważnie siedział nad nim pełen zadumy i tylko od czasu do czasu brał jego rozpaloną rękę i przyciskał do piersi. Gniótł w sobie myśl jakąś tak nęcącą, a tak niemożliwą, tak pełną szczęścia i tak równocześnie żałosną, że nie pozostało w jego umyśle nic, krom tego wiecznie błąkającego się pytania: — Zali to on? A zaraz potem trzeźwa myśl, jak ostrze żelaza przenikała go: — To nie on, nie on! Być nie może! Jakżeby uchował się od tych przeklętych łap niedźwiedzia? To nie on! — I znowu spozierał na jego lica, które choroba nic nie zmieniła i znowu ta sama myśl przeszywała go nagle: — A może to on? — Te same usta, oczy, nos, te same brewki i te dołki na policzkach. — Wówczas chwytał się za głowę biedny, do szału owymi myślami doprowadzony ojciec, a rozpacz straszna i ból i nadzieja wyciskała mu gorące łzy z oczu. Były chwile, w których chłopca gorączka opuszczała, wówczas ręce jego i całe ciało wilgotniało, oczy zamykały się i zasypiał, aby się znowu po godzinie nieprzytomnym obudzić.

Dzisiaj jednakże, przed świtem otworzył oczy mniej płomieniem gorączki rozognione i nie tak rozszerzone, jakby przytomniejsze i toczył nimi po komnacie.

W pewnej chwili natrafiły one na siwą głowę starca, bo tylko on jeden w tej chwili przy nim czuwał. Patrzał na niego długo, bez przerwy, a potem dźwignąwszy z wysiłkiem rękę, położył ją na jego kolanie i szepnął :

— Tatulo !

Świat zakręcił się przed oczyma bojaryna. Oto usłyszał wyraz, który od dawna nie odbił się o jego uszy, ani z ust biednej niemowy, ani umarłego syna. Całym wysiłkiem jednak pohamował się, tylko położył mu dłoń na czole i spytał :

— Co powiadasz, synaczku ?

Widać jednak chłopak wymówił to w gorączce, bo potem począł szeptać coś o Marychnie, urywanymi słowy prosząc ją, aby przyjęła od niego skarb, który w loszku Koniucha mu wskazał i by się na niego nie gniewała. To znowu żalił się przed księdzem Grzegorzem, że trzech zbójów zabił i że ich ciągle widzi; chodzą za nim i śmieją się z niego.

Tak przechodziły godziny i zbliżało się już południe drugiego dnia jego pobytu w Siemiatyczach, a mimo ciągłych leków i ochładzań gorączka nie ustawała. Owszem, w tej południowej porze zdawała się wzrastać, bo oczy bardziej mu się szkliły, a policzki wprost paliły przy dotknięciu obce ręce. Pierś podnosiła się szybkim oddechem, a ręce, spoczywające na skórze, którą był przykryty, kurczyły się to prostowały, szarpiąc włosień skóry. Przerażone oczy trojga ludzi patrzyły na te ruchy, co wyglądały jak drgawki konającego i już bojaryn chciał znowu słać po znachora, gdy nagle podniosła się zasłona i stanął za nią Hrehory z zaproszonymi przez siebie gośćmi.

Bojaryn zerwał się z łoża i z wyciągniętymi rękami postąpił ku niemu. Widok księdza powstrzymał go jednak na miejscu.

— Pokłon wam, panie! — przemówił Hrehory i dodał swoim zwyczajem — Zdrowiście?

— Jam zdrów, ale oto ten nieboraczek ginie — rzekł smutno bojaryn. — Nie masz medyka przy tobie?

— Jest ktoś lepszy niż medyk. Oto ociec Grzegorz przybył go ratować. O innych jeszcze, którzy przybędą wkrótce, powiem wam potem.

I nie mówiąc więcej, podszedł do łoża, a za nim Otek z Wicherkiem. Ksiądz skłonił głowę przed bojarynem, znakiem krzyża przeżegnał obecnych i podszedł do Liska. Spojrzawszy bystro na chorego, który patrzał nań nieprzytomnie, nie poznając go, skinął ręką na obecnych, aby się odsunęli.

Szybkim ruchem ręki odrzucił skórę, otworzył na piersi koszulę, w którą Lisek był odziany, przeżegnał go i szepnął:

— Dzięki Ci, Boże! To nie czarna śmierć, a tegom się bojał najwięcej.

Potem schylił się do swego tłumoczka, który postawił sobie u nóg i wyjął zeń kawałek białego płótna i gliniany, szmatką owiązany dzbanuszek. W dzbanuszku tym umaczał płótno i począł wolno pocierać czoło, policzki, usta, a potem pierś chorego. Po komnacie rozszedł się przyjemny, chociaż ostry zapach leku. Dobrą chwilę nacierał ksiądz Liska, szepcąc modlitwę. Palce księdza poczęły teraz szybko przebiegać po piersiach chorego, a potem przywołał chłopców, kazał go obrócić na plecy i począł je nacierać także owym płatkiem, który często zanurzał w gar-

nuszku. Kiedy wreszcie odstawił płatek, kazał go znowu odwrócić i nakryć, a zwracając się do obecnych, stojących milcząco na boku, rzekł:

— Dzięki Panu Jezusowi! Choroba ta nie jest na śmierć. Bojałem się, zali nie na czarną śmierć zapadł, ale Bóg go uchronił od tego. Wszelako chorzeć będzie trochę i potrza mi będzie zaraz kilku rzeczy. Ale się nie strachajcie, nie zamrze on.

— Chwała Przeczystej Panience! — zawołał Hrehory. — Jam Ją o zmiłowanie prosił i wysłuchała mnie.

Bojaryn i wszyscy obecni przeżegnali się i podeszli do łoża.

— Co rozkażecie? — spytał bojaryn.

— Każcie mi, panie, podać dzbanek zimnej wody i kilka płacht. Każcie także nagrzać garnuszek wody tak, aby kipiała i przynieście tu więcej skór. Jego trzeba owinąć zmoczoną płachtą, dać mu się napić leku i nakryć dobrze skórami. Jak się spoci dobrze, gorączka go opuści, a potem będziemy go leczyć z ran, bo te są gorsze. Nie rozdziewając się przez dni kilka, zabrudził je, zaropił i one wzmagają gorączkę, która go trawi. Ale i te się pogoją i wszystko będzie dobrze, jeno poleży jeszcze kilka dni.

— Byleby zdrów ostał! — westchnął bojaryn. — Miejsca u mnie dość i starunek koło siebie będzie miał. Idź, Jureczku, nakaż co trzeba, a was, drodzy synaczkowie, proszę — spocznijcie.

Dopiero teraz opowiedział Hrehory o innych gościach, których zostawił za sobą, spiesząc do Liska i prosił dla nich o gościnę. Bojaryn ucieszył się bar-

dzo, a na przepraszanie Otka za najazd na jego dom, zawołał żywo:

— Nie wy mnie, ale ja wam podziękę winien, że moją samotność rozprószycie i radość przyniesiecie. Rozgośćcie się, jak u siebie w domu, a jeśli moją biedną niebogę rozweselicie trochę, będę wam wdzięczny po stokroć.

Kazał zaraz wnieść ławy i stół, ustawić je z drugiej strony komnaty i zapraszał:

— Usiądźcie bodaj tu tymczasem, zanim ksiądz będzie z chorym się parał; a służba wyprząta wam komnaty. Miejsca u mnie dość i jest czym przyjąć gości, jeno pociechy mało — dokończył smutno.

— Jest jej wiele u Boga — rzekł ksiądz — i daje ją szczodrze każdemu. Przeto i was nie ominie.

Na to bojaryn chciał coś rzec, ale właśnie służebne wniosły dzban wody i płachty, więc ksiądz zajął się chorym. Wprzód jednak wyjął ze swego tłumoczka skórzany mieszek, rozwinął go i przystąpił do Romiły.

— Wyciągnij rękę, dziecino, i nastaw dłoń.

A kiedy ona to uczyniła, nasypał jej w dłoń trochę ziół, które wyjął z mieszka i mówił dalej.

— Rzuć te zioła na gotującą się wodę, nakryj garnuszek i przynieś go tu. Ale uważaj dobrze, aby ta woda już z ziołami nie kipiała. Rozumiesz mnie, dziecino?

Niemowa skinęła główką i odeszła.

Teraz ksiądz przy pomocy Otka i Wicherka rozebrał Liska z koszuli, owinął go całego zmoczonymi płachtami i przykrył kilkoma futrami aż po szyję, tak że spod skór wyglądała tylko głowa. Przez cały ten czas Lisek miał oczy zamknięte i tylko jęczał od

czasu do czasu, gdy go obracano, chociaż chłopcy czynili to bardzo ostrożnie, aby mu nie sprawiać bolu. Spowinięty i nakryty zdawał się zasypiać, ale ksiądz jeszcze nie zaprzestał swych zabiegów. W kubek nalał trochę odwaru, który mu tymczasem Romiła przyniosła, a wychłodziwszy go nieco, przyłożył kubek do ust chorego i poił go długo a cierpliwie. On czasem otwierał oczy, wpatrywał się w dobrotliwą twarz starca, ale widocznie go nie poznawał, bo najlżejszy szept nie wyszedł z jego ust.

Ostatnie krople odwaru Lisek przełykał śpiąc prawie, więc ksiądz i chłopcy odstąpili od niego, przypatrzywszy się jeszcze raz, czy dobrze nakryty i zbliżyli się do stołu, gdzie Hrehory szeptem opowiadał coś bojarynowi.

— Teraz ano trzeba nam stąd wyjść, aby mu snu nie przerywać — mówił ksiądz, zawiązując swój tłumoczek. — Sen ten dla niego to pokrzepienie. Gdy się obudzi, oprzytomnieje całkiem.

— Bóg wam zapłać! — dziękował bojaryn.

— Za co? Azaliż go więcej miłujecie ode mnie? Uczyniłem, com był powinien, a jemum więcej powinien, niż innym, bo mi był szczerze oddany. Pozostawmy go teraz w spokoju. Niech śpi!

Na to bojaryn podszedł do opony, podniósł ją i skinął ręką, a wraz weszła do komnaty stara służebna, pokłoniła się i czekała, co jej rozkażą.

— Siadaj sobie tu, Jewusiu, i będziesz pilnie zważać na chorego. Kiejby się obudził — dasz nam znać.

A zwróciwszy się do gości, dodał:

— A was, mili, proszę za sobą!

Ale właśnie dano znać o przybyciu niewiast. Spie-

sznie udali się wszyscy naprzeciw nich do sieni, gdzie bojaryn serdecznie je przywitał i prosił do komnaty, w której zwykł był jadać.

Potoczyła się rozmowa, zrazu nieśmiała i cicha, ale gdy ksiądz jeszcze raz zapewnił, że o Liska bać się nie trzeba, rozweselili się wszyscy i ciche zazwyczaj ściany Siemiaszycowej komnaty napełniły się gwarem gości.

Bojaryn sam wskazywał ręką, gdzie każdy ma usiąść i wbrew zwyczajowi nie osadził córki obok siebie, lecz podprowadził ją między Marychnę a Otka, mówiąc z uśmiechem do młodzieńca:

— Służże jej, synaczku, jakoś jej po raz pierwszy służył. Wielce ona z tego rada.

Otek zaczerwienił się i ukradkiem spojrzał na matkę, ale ta zajęta była żywą rozmową z Hrehorym. Za to Romiła przyjęła wdzięcznie postępek ojca, a usiadłszy, rozpromienionym wzrokiem wpatrzyła się w swego rycerza.

Wreszcie gospodarz sam usiadł, mając po jednej stronie starościnę, a z drugiej księdza i klasnął w dłonie. Wnet służba poczęła wnosić misy i napitek, a kiedy ksiądz przeżegnał stół, wszyscy sięgnęli do mis i kubków.

Bojaryn jadł mało, a jeszcze mniej mówił, wpatrując się w przeciwległą oponę, za którą pozostał śpiący Lisek, i tylko zaczepiony przez starościnę odpowiadał jej uprzejmie, a serdecznie.

Ksiądz zaś prawie że nie tknął jedzenia, zadowalając się tylko kawałeczkiem chleba i kubkiem miodu. Z uśmiechem na ustach patrzał na Romiłę, uszczęśliwioną służbą Otka i uśmiechającą się do niego. Ujęła

go blada twarzyczka dziewczęcia, lecz zdziwiło jej milczenie. Więc kiedy służba po posiłku uprzątnęła stół, ksiądz, przeżegnawszy się wstał i podszedł wolnym krokiem ku bojarównie. Popatrzył na nią dobrotliwie, pogładził ją po włosach i rzekł:

— A ty jagódko nic nam nie powiesz?

— Ona niemowa — pochwycił skwapliwie Otek.

— Miły Boże! — zdziwił się ksiądz. — Twarzyczkę masz nikiej lilijka, oczęta patrzą na świat boży, kiejby anielskie, a mówić nie zdolisz. Zaliś się taka urodziła?

Dziewczyna potrząsnęła głową, a bojaryn dodał:

— Pięć roków miała, gdy zaniemówiła.

— Chora musiała być?

— Nie, zdrowa była. W jednej chwili zaniemówiła, ze strachu.

— Ze strachu? — powtórzył ksiądz. — Wzywaliście kogo do niej?

— Hej! Gdziem to nie jeździł, com nie czynił? Wszystko daremne... Jeno jeden monach w Carogrodzie powiadał mi, że mogłaby jeszcze mówić, ale trzeba strachem z nią próbować. Jam nie wiedział, co to znaczy, a kiedym go pytał, mówił, że jeszcze za wcześnie.

— Słusznie prawił. Ja sam widziałem taką rzecz w Mediolanie. Pójdźno dziecino ze mną do światła, niech ci się lepiej przypatrzę!

Dziewczę porwało się z ławy, a w oczach zaświecił jej błysk nadziei. Widziała, jak ksiądz umiejętnie radził sobie z Liskiem i nabrała do niego wielkiej ufności. A on podprowadził ją do okna, odchylił jej czarne kosy i długo przesuwał palcami po jej uszach i za uszyma.

Potem zaglądnął jej do gardła, a wraz przyciągnął do siebie, przyłożył ucho do jej piersi, słuchając bicia serca. Widocznie oględziny wypadły dobrze, bo pogładził ją po twarzy, pocałował w czoło i rzekł:

— Serdeńko masz zdrowe, wytrzyma ono wiele, gardziołko też w porządku. Nie trap się jagódko, ino módl się do Najświętszej Panienki, aby ci łaskę Swą okazała. Powiadam ci — będziesz mówić! Ja cię uleczę, jak Bóg da!

Na to porwali się wszyscy, podchodząc do księdza, a bojaryn wybuchnął:

— Uleczycie ją?... Naprawdę?... Niechże wam Bóg wynagrodzi już za samą chęć!... Miły Boże! Kieby to była prawda! Jabym wam wszystko dał, co mam... jabym wam... ot... słów w gębie nie staje...

— Nie cieszcie się naprzód, panie! — przemówił łagodnie ksiądz. — Na dwoje los wywróżyć może; może się udać, może nie. Miłosierdzia tu większego od Boga trzeba, niż mądrości ludzkiej. Jeśli On nam pomoże, to miarkuję — będzie mówić dzieweczka wasza. Ino musi mi być jedna sprawa dokładnie znana.

— O czym chcecie wiedzieć?

— Musi mi ktoś opowiedzieć dokładnie ową chwilę, w której ona nieboga straciła mowę.

Na to spuścił bojaryn głowę na pierś i stało się cicho. Jedni milczeli, zdziwieni, coby to za strach był taki, co odbiera mowę, a inni, którzy znali życie bojaryna, zamilkli, bo im owa groza stanęła przed oczyma. Wtem Hrehory, który stał za plecyma bojaryna, na wprost księdza, począł mu dawać jakieś znaki rękoma, a wreszcie odezwał się:

— Zali musicie o tym zaraz wiedzieć, wielebny ojcze?

—I, i, i, nie — odpowiedział prędko ksiądz. — Przecież jej dziś leczyć nie będę; muszę wprzód poszukać sposobu. Kiedyś sam się przepytam... Ale wy się nie trapcie — zwrócił się do bojaryna. — Widziałem nieraz, jako okazywał Bóg miłosierdzie grzesznikom, nie zasługującym cale na Jego łaskę. Miałby jej odmówić waszej dzieweczce, która jest czysta jak śnieg i jak lilie polne? Ufajcie!

Tu położył mu rękę na głowie i poruszał wargami, jakby się modlił. Bojaryn podniósł głowę, wpatrzył się w twarz zakonnika, a potem zdjął jego rękę z ramienia, ucałował ją i przemówił pokornie, jak dziecko:

— Tacyście dobrzy, jako anioł. Błogosławiona chwila, w której weszliście w progi mego domu i błogosławieni wszyscy, którzy was do mnie wprowadzili. Zaufałem ja Bogu i tylko w Nim widzę moją radość i gdyby nie to, nie żyłbym już dawno, boby mnie rozpacz zżarła.

— Bądźcie tedy cierpliwi i nadal. Niewiadomymi drogami prowadzi Bóg ludzi do szczęścia. Ja wam w cierpieniu ulżę, ile zdolę, a tak mi się widzi, że będę mógł wiele uczynić. Widziałem ano w Mediolanie takową rzecz, gdzie jeden syn kupca, małym będąc, stracił mowę ze strachu. Kiedy miał lat dwadzieścia odzyskał głos i można go było nauczyć mowy. Sam widziałem to, co ludzie za cud boży uważali, a co w rzeczy samej było łaską bożą, ale też na ludzkiej mądrości oparte. Bo znaną jest uczonym ludziom choroba, którą z grecka „paralysis“, a po niemiecku „szlag“ nazywają. Nagłość wydarzenia może w czło-

wieku takową chorobę wzniecić i pozbawić go mowy, słuchu, libo wzroku, libo całkiem o śmierć go przyprawić. Od śmierci już nikt człowieka nie zbawi, jeno sam Bóg, ale dał ci On sposoby ludziom różne, którymi mogą, chociaż nie zawsze, ale czasem, od kalectwa ich ratować. Owóż taki sposób ja znam i może mi się za łaską Pana Jezusową uda owej niebodze mowę przywrócić. Jeno muszę ją w przód poić lekami, aby jej serdeńko wzmocnić, które, gdy przyjdzie ta chwila, aby mogło wiele wytrzymać.

— Czymże ją leczyć będziecie, przecież od ziół mowy nie odzyska — zdziwił się Otek.

— Tego wam powiedzieć ninie nie mogę, boby się cała rzecz nie udała. To wam jeno powiem, byście byli cierpliwi i pracę moją modlitwą wspomagali tak co do onej niebogiej, jak i co do Liska, w którym też ninie wiele zdrowia nie ma. Zresztą obaczym, jak się obudzi, co, myślę, niedługo nastąpi.

Ale Lisek spał do wieczora. Oni wszyscy, rozlokowawszy się po przeznaczonych sobie komnatach, zeszli się w przyległej sali na rozhoworki, a przy Lisku, w komnacie oświetlonej płonącymi kagankami, siedzieli jeno Hrehory i Marychna i patrzyli w bladą teraz i zlaną potem twarz chłopaka. Nie szeptali nawet do siebie, by go przedwcześnie nie budzić. Tylko Hrehory spoglądał niekiedy z czułością na twarz Marychny, na jej dobre, niebieskie jak niezapominajki oczy i usta, szepcące modlitwę. W pewnej chwili wziął ją za rękę i odprowadziwszy w odległy kąt, zapytał szeptem :

— Nawidzisz go bardzo ?

— Duszą całą! — odpowiedziało dziewczę i łzy zaświeciły w jej oczach. — Matką mu byłam odkąd matula pomarli i chciałabym go zawsze mieć przy sobie. Jeśli nie był u oćca Grzegorza, ciągiem jeno przy mnie przesiadywał, pomagał mi i różne opowieści prawił. Dobry on jest nad podziw i mądry, jeno biedny.

— A bez co biedny?

— Bo i cóż on ma? Ni oćca, ni matki, ni oćcowizny nijakiej. Ociec go chciał na księdza uczyć, ale ja zawdy byłam temu przeciwna.

— Zaś czemu?

— Ano... widzicie — zmieszała się. — Kiejby księdzem ostał, to... już... widzicie... nijak... ja... alboż to nie wiecie?

— Wiem, wiem — uśmiechnął się rycerz. — Niech ci Bóg nagrodzi, żeś go takiego umiłowała. Ale się nie strachaj, że on biedny.

— Z nim nie masz dla mnie biedy, jeno bez niego — szepnęło dziewczę.

— Ty mnie nie rozumiesz, serdeńko. Mówię, że on cale nie biedny, a bogacz wielki.

— Ee! Ćmicie!

— Widziałaś ano te wszystkie wspaniałości, jakie tu są w gródku?

— Przecie że widziałam.

— Tedy ci powiem, że ten nieboraczek, któren blady teraz i spotniały z chorobą się para, panem jest daleko większych jeszcze wspaniałości, ziem, grodów i wsi. Jam przy nim mały, mizerny sługa i co jeno uczynić mogę, to to...

To mówiąc, podszedł lekko do łoża i ująwszy

zwisającą rękę chorego, ukląkł, ze czcią podniósł ją do ust i ucałował.

Zanim jednak dziewczę zdziwione zdołało zapytać o powód tego czynu, Liskowi powieki poczęły drgać i poznać było, że się za chwilę obudzi. Więc pochylili się nad nim oboje; a on czy to zbudzony dotknięciem Hrehora, czy czas jego spania już przeszedł, dość że podniósł powieki i przytomnie, z największym zdziwieniem spojrzał dookoła. Zamglone osłabieniem jego oczy padły na głowy, pochylone nad nim. Twarz mu się rozjaśniła anielskim uśmiechem i spalone gorączką usta wyszeptały :

— Marychna !

— Jam ci to, umiłowany — szepnęła przez łzy.

— W rajum jest — szepnął jeszcze i podniósłszy zwolna rękę, począł ją głaskać po rękach i po twarzy, jakby nie wierząc temu, co widzi.

Widocznie jednak wysiłek ten zmęczył go, bo opuściwszy ciężko rękę na skórę, trwał w bezruchu, wpatrzony jeno w rozanieloną twarzyczkę dziewczęcia. A po chwili wyszeptał znowu :

— Marychna... moja...!

I oczy zaszkliły mu się od szczęścia.

ROZDZIAŁ XXI

w którym Hrehory opowiada dzieje Siemiaszycowego życia

Hrehory i ksiądz stali na stopniach kapliczki przed otwartymi drzwiami i tylko czarna zasłona dzieliła

ich od widoku strasznego nagrobka. Ksiądz już chciał podnieść oponę, ale powstrzymał go rycerz, chwytając za rękę:

— Nie tykajcie tego sukna — rzekł. — Chcieliście poznać ową straszną chwilę, w której owa nieboga utraciła mowę. Nie chciałem, aby wam o tym mówił bojaryn; wątłego jest zdrowia i każde wspomnienie tych strasznych chwil zabija go. Ja sam je wam opowiem. Siadajcie ze mną tu na schodkach i odwróćcie oczy od tej czarnej opony, poza którą kryje się strach, dziw i... mogiła... Jeszcze się napatrzycie na owo dziwo... a teraz słuchajcie!

— Poczekajcie no chwilę, Hrehory — zatrzymał go ksiądz. — Żonę macie?

— Miałem, ale mi pomarła.

— A dzieci?

— Bóg nie dał.

— A na co wam żona pomarła?

— Na zarazę.

— I dzieci nie macie?

— Jużem wam rzekł, że nie.

— Dziwno mi tedy jest, czemu wy tak Liska miłujecie? Już i bojaryn to zauważył.

— Miłuje i on jego, a gdyby wiedział, kogo mu Bóg w progi przyprowadził, miłowałby go bardziej niż duszę swoją. Posłuchajcie no tylko, a kiedy z tych schodków zejdziemy, będziecie tyle wiedzieć, co i ja.

— Mówcie tedy.

Hrehory wsparł łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłoniach i chwilę siedział tak bez ruchu, gromadząc myśli w jasny obraz, który miał przedstawić księdzu. Wreszcie ręce odjął od twarzy i zapatrzony

przed siebie, począł opowiadać dzieje życia bojaryna i jego smutną dolę:

— Dwadzieścia roków już minęło, gdym przybył do tego gródka, jeszcze za życia oćca naszego bojaryna — niech mu ziemia lekką będzie. — Z oćcowizny, niewielkiej majętności spod Kijowa, wypędziła mnie bieda, tatarskim najściem spowodowana i chęć zaznania przygód rycerskich na dalekim świecie. Przez pięć roków wędrowałem po różnych krajach i nieraz na udeptanej ziemi przyszło mi stawać, a zawsze mi Bóg poszczęścił, że i łupów nabrałem i całom z onych tarapatów wychodził. Aż mi się skuczyło tak bez domu ostawać, życia nijakiego nie mieć i przychylnego przy sobie nikogo nie widzieć. Chciałem się ustatkować, osiąść gdzieś na miejscu i zaznać życia uczciwego. Trafiła mi się tedy służba u nieboszczyka bojaryna, pana wielkich majętności, ludzkiego i hojnego, więc pozostałem tutaj i jako widzicie na zawsze. Z młodymi bojarynami, a było ich dwóch, pokumaliśmy się wrychle, razem chodziliśmy na łowy, razem w dalekie jeździli kraje, a kiedy stary bojaryn pomer, uczynili mnie bojarynowie wojewodą całej swojej drużyny, rozsypanej po różnych gródkach. Przebywałem zwyczajnie tu w Siemiatyczach, jeno od czasu do czasu objeżdżałem wszystkie gródki, pilnując ładu. A kiedy trzeba było wojować, zbierałem druhów ze wszystkich stanic i wojowaliśmy. Tak zresztą czynię i ninie i uczyniłbym w każdej chwili, gdyby nam coś zagrażało.

Nie widzieliście jeszcze, oćcze wielebny, żeby tak się ze sobą dwóch braci nawidziło, jak oni moi panowie. Stary bojaryn, umierając kazał im się po spra-

wiedliwości oćcowizną podzielić, bo wiedział, że krzywdy sobie nie uczynią. Ale gdzie im to w głowie było. Opłakawszy oćca, dalej razem siedzieli, jeden bez drugiego żyć nie mogący, zgodni zawsze, a jak im kto o podziale wspomniał, źli byli i zawsze tako mówili: — Nikt nas rozłączyć nie mógł u oćca naszego, nikt nas i teraz nie rozłączy. Źle nam to wspólnie żyć? Juryj i Andrzej to razem jeden Siemiaszyc. — I tak było bez trzy roki.

Aż raz pojechali do Carogrodu w poselstwie od kniazia i długo ich widać nie było. Jużem był niespokojny wieści nijakiej od nich nie mając i zabierałem się ruszyć za nimi, kiedy raz zajeżdżają przed gródek, otoczeni swoimi i cudzymi ludźmi, a we środku kolebka pozłocista z nimi. Z owej to kolebki wysiadły dwie cudnej piękności niewiasty, a jedna do drugiej podobna, jakby bliźniaczki. W rzeczy samej były to bliźniaczki, córki pewnego możnego komesa greckiego, które nasi panowie, rozlubowawszy się w nich, pojęli za żony. Lepszego wyboru nie mogli uczynić. Panie były dobre, gołębiego serca, a miłowały się ze sobą tak właśnie, jako ich mężowie.

Wszelako za ciasno im już było żyć tak ze sobą, jak dawniej, pod jednym dachem, bo to i dwór się powiększył i miejsca dla wszystkich nie stało. Z żalem tedy postanowili się rozejść. Więc Andrzej, jako starszy, pozostał w Siemiatyczach, a Jerzy obrał sobie gródek niedaleko nas położony, też w puszczy ukryty i mocny, a który zwano Czurczynem. Ale takie to było i rozłączenie. I tygodnia nie wytrzymali bez siebie, jeno ciągiem albo Jurowie u nas, albo nasi państwo u nich przebywali. Taką widać Pan Bóg wlał im

wszystkim miłość do siebie, że nijak bez siebie żyć nie mogli. Po roku przyszło na świat dwoje dzieciątek: Jerzemu dał Bóg syna, naszemu bojarynowi córkę. Wszelako 'nie chował się ów chłopaczek długo. Za parę miesięcy powieźli go na mogiłki, a wszyscy go tak szczerze opłakali, jak szczerze cieszyli się nim. Ale Bóg dobry we dwa roki obu ich synami obdarzył. A stąd radości tyle było, że na chrzciny mnóstwo ludzi sprosili z różnych, nawet dalekich krajów.

I płynęło dalej życie szczęśliwe, radosne, zgodne, a każdy dzień inne szczęście przynosił. Słusznie można powiedzieć, że spokojniejszych lat na tym gródku, ba, na całej onej ziemi nie było.

Ale ot, widzieliście oćcze wielebny, jak to przed burzą nieraz bywa. Słonko pięknie przyświeca, wiaterku ani na dech, chmurki na niebie żadnej. A nagle zaduje skądś wicher, góry chmur wyrosną na niebie, świat poczernieje, a miasto słonka, błyski piorunów oświecają ziemię. Tak oto i tutaj było. Był ten spokój i cichość poprzednikiem wielkiej burzy. Tylo że burza ta nie przyszła nagle, ale zbierała się przez lat parę, aby wybuchnąć potem z niebywałą siłą, kraj cały zatopić we łzach i krwi i skazać go na długie, bo do dziś trwające nieszczęścia. Zaczęło się to wszystko od straszliwego napadu tatarskiego, na dwa roki przed otruciem kniazia. Powiadają, że sprowadzili ich nieprzychylni Jerzemu bojarowie, ale ja nie chcę w to wierzyć. Bo taki człowiek, który by kraj swój i ziomków swoich wydawał na łup wraży, nie godzien jest, aby go ziemia święta nosiła.

W tym to czasie piorun uderzył w spokojny nasz dwór, a płomień jego pali się do dziś w naszych ser-

cach. Nim wam jednak o tym opowiem, muszę w przód powiedzieć o człowieku, który ów piorun na nas przyzwał, a którego imię i pamięć bodaj na wieki przeklętą była.

Polując raz, naleźliśmy w puszczy pod drzewem leżącego człowieka, bosego, obdartego, w dziurawym kożuchu jeno i z raną od żelaza w boku. Leżał cały we krwi. Młody był. Czarny zarost co ino puszczał mu się na gębie i widać, że osiłek, bo plecy miał rozłożyste, a ręce jak kloce. Dźwignęliśmy go ze ziemi — obym go był nigdy nie obaczył — żelazo wyjęliśmy z boku, omyli rany, przewiązali i na gałęziach przytaszczyli do gródka. Co dużo gadać! Wyzdrowiał, rana mu się zagoiła i został u nas. Później dowiedzieliśmy się od niego, że był cygan-wołokita, że go drugi nożem w bok żgnął skroś nienawiści i pod drzewem ostawił. Zwał się Bynka, co po cygańsku — jak mi mówiono — wykłada się diabeł. Był ci to też prawdziwy szatan w ludzkiej skórze, chociaż na to zrazu nie patrzał. Służył wiernie, z halabardą na wałach się parał i na posyłki chodził, bo sprytny był jak żaden.

Na kilka tygodni przed owym tatarskim napadem, siedzieliśmy raz z bojarynem na dziedzińcu, otuleni w kożuchy, bo śnieg gruby leżał na polach, chociaż się już pod wiesnę miało. Dziecięta figlowały przed nami, przewracając się w śniegu i ciskając do siebie kulami, a kiej im się to skuczyło, przyszły ano mnie prosić, abym im bałwana uczynił. Nazbieraliśmy tedy śniegu sporą kupę, ulepili bałwana jak się patrzy, w głowę mu wiecheć słomy wetknąwszy i mały Buś (Jakub się nazywał, a z pieszczoty zwaliśmy go Bu-

siem) pobiegł po swój mały łuk, który mu wystrugałem i nuż mierzyć strzałami do owego bałwana. Śmieliśmy się z bojarynem za boki się imając, aż tu stało się coś takiego, co śmiech ów w długi płacz zamieniło. Jedna niezdarnie wypuszczona strzała poleciała daleko poza śniegowego bałwana i jak raz utkwiła w oku Bynki, który właśnie pod ten czas wyszedł z koniem ze stajni.

Chciałem doń biec, aby mu oko ratować, aliści ten syn diabła, wyszarpnąwszy strzałę z oka, w kilku skokach dopadł pacholęcia, cisnął go z wściekłością w śnieg i począł dusić. Przyskoczyliśmy doń strwożeni, ale nim rozwścieczonego zbira pohamowaliśmy, chłopak stracił przytomność z bolu i ze strachu i leżał na śniegu, swoją i tego diabelskiego syna krwią powalany. Poczęliśmy go cucić, a Bynkę, że się ciskał i odgrażał, kazałem zamknąć w lochu. Docuciliśmy dziecko, chociaż srodze poturbowane i oddaliśmy zatrwożonej matce, a sami poszli do Bynki. Ciskał się jak wściekły, klął i do gardeł naszych brał się, aleśmy go zmogli, ręce i nogi związali i dopiero wymywszy mu wyłupione oko, przewiązaliśmy je i tak go związanego ostawili, bośmy się bojali, by w szaleństwie czegoś złego nie popełnił. Na drugi dzień uspokoił się. Znachor mu oko leczył i dryjakwią okładał. On się nic nie odzywał, jeno zębami zgrzytał i klął, a na trzeci dzień przychodzę — nie masz go w lochu. Znikł, jakby się pod ziemię zapadł. Czy mu ktoś do ucieczki dopomógł, czy go szatan, ojciec jego, wyswobodził, dość, że znikł i słuch o nim zaginął.

Aleśmy zaraz zmiarkowali, że wroga okrutnego zyskaliśmy w nim i że tego mimowolnego uczynku

nigdy nie przepuści. W parę dni po jego zniknięciu zapaliły się Siemiatycze i zgorzały do szczętu. Ledwieśmy to przeboleli i nowe chaty stawiać zaczęli, spalił nam je znowu. Toż samo wydziwiał i po innych wsiach bojarskich, tak że dniem i nocą musieliśmy czuwać, aby zła nie było. Ale nie koniec na tym. Sam nie mógł się bardziej mścić, przywołał sobie innych, braci swoich czortowych synów — Tatarów.

Właśnie pod wiesnę, jako wam już mówiłem, wpadli Tatarzy. Nas by nie znaleźli, chyba wypadkiem, bo gródek nasz puszczą i bagnem otoczony, jedną jeno drogą dostępny jest, przez groblę, a tę niełatwo kto znajdzie. Ale on, psi syn, znał ją i podmówiwszy kilkusetną watahę, naprowadził ich nocą na dwór. Szczęściem czuwaliśmy dniem i nocą na wałach i daliśmy im opór. Ale oni nas nie poniechali. Otoczyli gródek wkoło i głodem nas chcieli wziąć, a ów Bynka-przeklętnik podchodził nieraz nad samą fosę i klął, a bluźnił, a groził. Strzelałem do niego z łuku i z kuszy, alem go jakoś utrafić nie zdolił. Czort mu pomagał i osłaniał, bom przecież nigdy strzały na próżno w powietrze nie puszczał.

Skuczyło nam się wreszcie tak bezczynnie siedzieć i w tatarskie paszczęki spoglądać. Umyśliliśmy tedy wyprawić bojarynię, z dziećmi do Czurczyna, (Jurego nie było doma, bo pod ten czas posłował) stamtąd odsiecz sprowadzić i odegnać niekrzestnych od gródka. Z jednej z baszt wykopane było dawnymi jeszcze laty przejście podziemne, które ciągnęło się pod wałem i fosą daleko, aż po kraj lasów siemiatyckich, a jego ujście w krzakach tak było dobrze ukryte, że je ludzkie oko wypatrzeć nie mogło. Chodnik był wysoki, suchy,

że i konie można było prowadzić ze sobą, które wprawdzie zrazu nigdy nie chciały schodzić w ciemność, ale przyuczone, nie stawiały oporu. Wielu z naszej drużyny znało to przejście, bośmy się nie bojali zdrady. Obchodząc się z ludźmi dobrze, pewniśmy byli ich wierności. Któryś widocznie rozpowiedział o tym Bynce za jego u nas służby, bo oto co się wydarzyło.

Szło nas owym chodnikiem dwudziestu ludzi. Ja pierwszy z kuszą napiętą w ręce, za mną szła bojarynia z Busiem na ręku, potem bojaryn, trzymając Romiłę, a za nim osiemnastu druhów co najlepszych, każdy prowadząc konia ze sobą. Chcieliśmy przemknąć się do Czurczyna, ostawić tam dzieci, a potem zebrać resztę drużyny swojej i Jurego, wpaść na pohańców. Zamysł był dobry. Do Czurczyna jechało się puszczą i cale niedaleko, ale Bóg zrządził inaczej. Wyszedłszy z chaszczów, począłem obchodzić kraj puszczy, by przypatrzeć się, czy nie czyha coś na nas, ale nikogo nie było. Jeno z dala widziałem płonące ognie tatarskie, bo już pod wieczór się miało. Z nagła doleciał mnie straszny krzyk rozpaczy i szatański śmiech, a potem tętent konia, gwałt i nawoływania. Pobiegłem w tę stronę i krew ścięła mi się ze zgrozy. Oto w dali za drzewami migała postać pędzącego na koniu Bynki, a ramieniem obejmującego bojarynię i dziecko na jej ręku. Bojaryn biegł za nim, córkę położywszy na ziemię; rozbijał się o drzewa, krzycząc, na wpół oszalały. Zanim druhowie z końmi wyszli z chodnika, zanim dosiedliśmy ich i podprowadzili jednego bojarynowi, już Bynka zniknął nam z oczu.

Puściliśmy się za nim co koń wyskoczy, a ja Romiłę okrywszy kożuszkiem, gnałem z bojarynem na prze-

dzie. Tak wydostaliśmy się na gościniec. Po czorcie piekielnym i śladu nie było. Zawróciliśmy nazad w las, a zsiadłszy z koni, z zapalonymi gałęziami poczęliśmy szukać śladów, w trwodze nie zważając już i na to, że nas Tatarzy dojrzeć mogą. Wreszcie po długim poszukiwaniu znaleźliśmy pojedynczy ślad konia i pognaliśmy za nim. Ciągnął się czas jakiś po lesie, kotłował, wreszcie powiódł na gościniec, a gościńcem w kierunku grodu. Dziabnąwszy konie ostrogami pomknęliśmy za nim, a w sercu przecież świeciła jeszcze nadzieja, że zbója dogonim i łup odbierzem. Lecz wyjechawszy z jakiegoś zakrętu, pobaczyliśmy coś tak strasznego, co nam krew w żyłach ścięło, a koniom tak spętało nogi, że stanęły jak wryte. Dziecię na mym ręku, odkrywszy kożuszek, raz tylko krzyknęło straszliwie i... zamilkło na zawsze. A my zobaczyliśmy ot co...

Tu Hrehory drżąc od wruszenia, zerwał się ze schodków, szarpnął zasłonę i krzyknął:

— Patrzcie!

Ksiądz poruszony opowiadaniem spojrzał i zdrętwiał. Jakby z oddali dochodziły go słowa dalszego opowiadania, rzucane głosem przerywanym, drżącym.

— To samo... widzicie!... zobaczyliśmy... Tu kamień... tam żywe... Księżyc świecił... jasno... bojarynia na ziemi... niedźwiedź ją... łapą przydeptał... z dziecka... ani śladu... O! Jezu!

Tu Hrehory spuścił zasłonę, usiadł, wsparł ręce na kolanach, dłońmi zakrył twarz i siedział tak skulony i drżący. Ksiądz ze zgrozy nie mógł słowa przemówić i stał, zapatrzony w zasłonę, a w oczach jeszcze ciągle miał obraz koszmarnych postaci. Wreszcie odwrócił

się, przeżegnał i usiadł obok Hrehora, a poczekawszy chwilkę, aż się ten uspokoi — zapytał:

— Żyła jeszcze?

— Już nie! Ranę miała straszną w głowie i włosy polepione krwią. Niedźwiedź na nasz widok uciekł w las...

— Bojaryn począł podnosić trupa; jęczał, to znów pieściwie przemawiał do niej. Ale ona leciała mu przez ręce. Wiec ułożywszy się koło niej lamentował, włosy drąc z głowy. Ludzie rozbiegli się po lesie, szukając za dzieckiem, ja zająłem się Romiłą, która leżała mi jak martwa na rękach. Była to straszna chwila i mówić o niej więcej nie trzeba. Krótko powiem. Dziecka nie znaleźliśmy, Romiła straciła mowę, a bojarynię zawieźliśmy do Czurczyna. Tatarów drużyna Jurego odpędziła, a potem pochowaliśmy nieboszczkę tu na tym miejscu. Bojaryn kazał pewnemu Grekowi oną kapliczkę na jej grobie wznieść i one figury wyrzezać.

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie a światło wiekuiste niechaj jej świeci, niech odpoczywa w pokoju wiecznym, Amen — modlił się ksiądz, a po chwili namysłu dodał:

— Ale on źle uczynił.

— Źle! — przyznał Hrehory. — Co dzień tu chodzi, przesiaduje, ten obraz z pamięci mu nie schodzi. W moich jest leciech, a patrzcie jak staro wygląda, jakby już kopę krzyżyków dźwigał na plecach, a on i pięćdziesięciu jeszcze nie ma.

— A cóż się z tamtym dzieje?

— Z kim?

— Z bojarynem Jurym i z jego żoną?

— Oboje pomarli. Jego zabito przy kniaziu

w owych przeklętych dniach mordu, a ona zmarła pięć roków temu w Carogrodzie. Ostał jeno synek ich, ów Juraszek, co tak pięknie na harfie przygrywa. Oto oćcze wielebny, powiedziałem wam wszystko, na co oczy moje patrzały. Chcecieli jeszcze czego, aby obraz ów dopełnić?

Ale ksiądz o nic już nie pytał. Siedział milczący, zamyślony, jeno palcami przerzucał kulki różańca. Ale nie szeptał modlitwy, tylko wpatrzył się w wierzchołki drzew, a brwi ściągnął nad oczyma, jakby myśli dalekie przywoływał. Nagle uderzył się ręką w czoło i krzyknął:

— Że mi to na myśl nie przyszło. Dyć to jego znaleziono w boru i on się niedźwiedzia boi... Na miły Bóg! Byłby to on? Lisek?

— Źle mówicie — Lisek — rzekł poważnie Hrehory. — Nie żaden to Lisek, a bojaryn Jakub Siemiaszyc.

Ksiądz wpatrzył się zdumionym wzrokiem w rycerza, wreszcie wyjąkał:

— Skąd wiecie? Prawda to?

— Jak Bóg na niebie! On nie Lisek, nie znajda, on dziś bojaryn, wielki pan i bogacz.

— A bojaryn wie już?

— Jakże! Nie! I właśnie o tym chcę z wami pomówić.

Tu Hrehory począł obszernie opowiadać, jak poznał Liska, jakie wrażenie zrobił on na bojarynie, jak go tu, przy tej kapliczce doświadczył, jak wreszcie Włodko, opowiedziawszy mu o znalezieniu sieroty, pokazał ów krzyżyk, nieomylny dowód prawdy. I wyznał mu dalej,

że boi się powiedzieć o tym bojarynowi, aby go radość nie zabiła. Ale ksiądz uśmiechnął się i rzekł:

— Poczekać jeszcze trochę trzeba i przygotować go na tę radość, ale nie strachajcie się, aby on zaraz miał umrzeć. Jeszcze on poweseleje i wszystko się tu zmieni, bo i syna mu wskrzesimy i ja mam sposób, aby przywrócić mowę dzieweczce. Jeno musicie mi pomóc wy i obaj chłopcy, bo Liska w to mieszać nie można. Słaby on jeszcze i trochę leczyć się musi, a my czekać nie będziemy. Chodźmy do nich. A potem pomówię z Bynką, bo może to nie całkiem stracony człowiek, a jeno ciemny i diabłem opętany. Chodźmy chłopców poszukać!

Wieczorem na dziedzińcu długo coś uradzali chłopcy z księdzem i Hrehorym, a na drugi dzień do dnia jeszcze wszyscy trzej, wziąwszy kilku ludzi z oszczepami, wyjechali kędyś w lasy siemiatyckie.

Zapytany przez bojaryna, gdzie chłopcy i Hrehory, ksiądz rzekł z uśmiechem:

— Poszli zaklinać kamienie w żywe istoty. Nie strachajcie się, wrócą na południe.

Bojaryn zdziwił się takim wyjaśnieniem, ale nie rzekł nic.

ROZDZIAŁ XXII

w którym Marychna Liskowi prawi o dziwach na gródku

Od owej rozmowy księdza z Hrehorym minęło trzy dni.

Lisek miał się coraz lepiej. Mógł już siedzieć w łóżku i rozmawiać bez trudu z Marychną, która go prawie

nie odstępowała. A mówić mieli o czym. Chłopak nie pamiętał nic, co się z nim działo od chwili, gdy stracił przytomność w powrotnej drodze z Lublina do gródka. Obudziwszy się w komnacie bojarskiej, wśród kochanych twarzy, sam nie wiedział, co się z nim stało, kto go tu sprowadził i kiedy. Trzeba mu było wszystko opowiedzieć i o ich przyjeździe tu, i co ich z grodu wygnało, i jak go ksiądz uleczył. Lisek dziwił się wszystkiemu, całował księdza i bojaryna po rękach, przepraszał ich, że swoją chorobą tyle im zmartwień przysporzył i na taki trud naraził. Z jednej strony przykro mu było, że swoi musieli przed Lubartem uchodzić i domostwa swe zostawiać na pastwę wroga, z drugiej strony cieszył się, że nie będzie sam w tym domu, ale w otoczeniu kochanych osób, a zwłaszcza Marychny. Do tego czasu nigdy jeszcze na tak długo nie wydalał się z domu, a to pierwsze, prawie dwutygodniowe niewidzenie tej, do której duszą całą i myślami był przywiązany, wznieciły w jego sercu jakąś dziwną tęsknotę za nią, ogromną chęć widzenia jej zawsze przy sobie. Dotychczas kochał ją, jak siostrę, zresztą nigdy nie zastanawiał się nad tym, jakie jest jego miłowanie. Po dojściu do przytomności i w ciągu dalszych paru dni poznał, że jest to inna miłość. Jakaś przedziwnie słodka, rzewna i taka, która — czuł to — nie skończy się nigdy. Więc wpatrywał się w nią i słuchał, co opowiadała o nim, o sobie, o wszystkich, którzy z nią razem do Siemiatycz przybyli i o samych mieszkańcach gródka. Podzieliła się z nim także i swoim zdziwieniem, jakiego doznawała na widok gorącej miłości, okazywanej mu przez bojaryna, a zwłaszcza przez Hrehora, ludzi przecież dla niego zupełnie obcych.

— O własne dziecko więcej by nie dbali, jako o cię — mówiła. — A już rycerz Hrehory ponad wszystkich innych.

— Wiem ci ja o tym i siła o tym myślałem, jeno wyrozumieć tego nie mogę — rzekł Lisek. — Pedasz, że mnie, kiedy byłem nieprzytomny, w rękę całował i bogaczem zwał, a panem swoim? Tego nijak zrozumieć nie zdolę. Alibo oni wszyscy tu szaleni, alibo coś wiedzą, czego ja nie wiem. I to mnie najbardziej męczy.

— Kiej oni coś wiedzą, to i tatulo nasz z nimi w zmowie.

— Ociec Włodko? — zdziwił się.

— A ino! Kiej mieliśmy tu jechać, całą nockę prawie ze sobą przegadali. A potem rycerz Hrehory tatula raz w raz w gębę całował, a ślozy to mu tak po brodzie kapały, nikiejby mu ktoś drogi pomer. To samo było, gdy się żegnali. Coś sobie jeszcze podszeptywali do ucha, ściskali się, całowali i tatulo na samym odjezdnym pedzieli, że jak ino zdolą, to zaraz tutaj przyjadą. Pedam ci, że tu się coś dzieje, czego ja wyrozumieć nie mogę.

— I bojaryn o tym wie?

— Bojaryn? Jak nie siedzi przy tobie, to z Romiłą i oćcem Grzegorzem jeno gada i coś uradza. Ale on jeszcze jest najspokojniejszy. Jeno chłopcy...

— Jacy chłopcy?

— Ano Krysiek i Mieczek. Ciągiem jeno z Hrehorym, to do puszczy chodzą, to w zakamarku jednym w ogrodzie z toporami parają się.

— I cóż oni robią?

— Pedam ci dziwa. Wczoraj poszłam ich wołać do ogrodu, aby szli wieczerzać. Chodzę po onym ogrodzie,

który co prawda nie bardzo jest wielki, patrzę, a oni pod samym murem toporami coś cieszą. Przychodzę bliżej, patrzę, a to krzyż.

— Krzyż?

— Ano krzyż. Zwyczajny duży krzyż, z drzewa wyciosany. Mieczek go jeszcze toporkiem wygładzał, a rycerz Hrehory do góry trzymał. Wicherek zasię z Juraszkiem jakąś ci skórę skrobali, wygładzali, a ociec Grzegorz na oną jakiś świecący popiołek sypał. Pedam ci, ażem zaniemówiła, takie to było dziwne.

— A cóż oni, jak ciebie zobaczyli?

— Naprzód się zalękli, a potem ociec Grzegorz podszedł ku mnie, odprowadził mnie na bok i przykazał ostro, abym o tym, com widziała ani bojarynowi, ani Romile słówka nie pisła. Musiałam przyrzec, że nie pisnę.

— A Ottonowa co robią?

— Ona najwięcej z Romiłą siedzi, bo czytać umie, a z nią się inaczej rozmówić nielża. Dałby Bóg, żeby ją ociec Grzegorz uleczył, bo to takie dobre, a takie biedne nieboże.

— Żal ci jej?

— Przecie, że żal. Zawsze ona taka smutna chodzi, a uśmiecha się jeno, gdy Otek jest przy niej.

— Wiem. Miłuje on ją bardzo i przez całą drogę o niej prawił. Ale myślę, że ano na ślubach, co jej złożył, jeno się skończy, bo to przecież kniahyni z rodu, a jego ociec, chociaż szanowny to pan, ale mu do nich daleko... Ale po co oni krzyż robią? Czy kto pomer i chować go będą, czy co?

— Nie wiem! I tego nie wiem, dla kogo Krystek dzisiaj po południu prosił mnie o moją kieckę.

— Jaką kieckę?

— A oną czarną, długą, co mi po matuli ostała. Musiałam ją dać, a on porwał ją i uciekł do ogrodu, słowa nie rzekłszy.

— Dziwy mi tu prawisz. Kiejbym wstać mógł, zaraz bym spenetrował, co to znaczy. A i to mi dziwno, że mi żaden z nich nic nie mówił, co zamierzają czynić.

— Bo oni nikomu nic nie gadają, jeno sami coś robią i tak myślę, że czynią to, co im ksiądz każe.

— A ty się księdza o nic nie pytała?

— Nie! Co ja tam mizerna dziewczyna będę się w nieswoje sprawy wdawać. On wie, co czyni, bo to człowiek mądry i dla czyjegoś dobra to robi. Gdzie mnie tam o tym wiedzieć!

— Niech no ja wstanę, zaraz się o wszystko przepytam. Jak miarkujesz, długo ja jeszcze poleżę?

— Myślę, że już niedługo. Ociec Grzegorz powiada, że jak ino sił trochę nabierzesz, to cię z łoża wypuści, a przeciwko jego woli nielża ci czynić.

— Pewnie, że tak. Dlatego też i leżę, nic nie narzekając, ale że mi się leżeć nie chce, to nie.

— Poczkaj! Jeszcze się dosyć świata napatrzysz. Ja tu przy tobie będę siadywać, to ci lżej będzie.

— Takaś dobra, jak anioł i tak myślę, żeś jeno dla mnie taka.

— Zaśby tam — zarumieniła się. — Dla Wicherka bym też tak robiła i dla tatula.

— Wicherek ci brat, a ja to co?

— Tyś bardziej niż brat, boś sierota.

— Niechże ci Bóg zapłaci, żeś jest taka! — szepnął wzruszony Lisek i już nic nie mówił, jeno patrzał na nią z czułością.

A wtem zza opony doszły ich żywe głosy księdza i Hrehora i do komnaty weszli ci dwaj z bojarynem, Romiłą i Ottonową. Ksiądz już od progu kiwał dobrotliwie głową i śmiał się do Liska.

— Jakże ci tam? — mówił. — Nie przykro leżeć?

— Przykro — rzekł, całując go w rękę Lisek — jeno, żeście kazali, to i leżę. Alebym już wstawać chciał.

— Jeszcze parę dni poleżysz, boby się gorączka mogła nawrócić. Rany ci jeszcze nie zaschły, toż i leżeć musisz. Przecie ci tu nieźle?

— Jeszczeby źle było! Jeno mi ptasiego mleka nie staje, bo zresztą, co zechcę, to mi dadzą. Nie wiem tylko, czym się wam odwdzięczę — zapytał, zwracając się do bojaryna.

Ale on uśmiechnął się, pogładził go po włosach i rzekł:

— Mało to, co my tobie dajem, bo dajem to, co mamy, ty zaś naraziłeś dla nas swe życie. Któż więc komu obowiązanym być ma?

Lisek pocałował go w rękę, a po chwili spytał:

— A gdzie to moi druhowie przebywają? Cały dzień dzisiaj nie zaglądnęli do mnie i jużem zabaczył, jak wyglądają.

— Dobrze im. Na chwałę bożą pracują i na pożytek ludziom — odpowiedział dziwnie poważnym głosem ksiądz. — Co człowiek może, uczynili już; teraz niech czyni Bóg. Właśnie czekam tu na nich.

— A cóż oni robią? — zapytał bojaryn ciekawie. — I ja ich mało wczoraj i dziś widziałem.

— Kiecki szukają — odezwała się Ottonowa. — Wczoraj mi Mieczek het w skrzyni poprzewracał, ażem mu uszu natrzeć chciała.

— Ale się nie dał? — zaśmiał się ksiądz.

— Bo uciekł.

— To i dobrze, bobyście go skrzywdzili. Nie dla siebie on kiecki szukał, ani dla pustoty, jenom mu tak kazał.

— A wam na co? — zdziwił się bojaryn.

— Potrza mi ich — uciął ksiądz krótko i zaraz mowę zmienił:

— Jutro, jeśliście tacy dobrzy, poślecie dwóch ludzi do grodu. Jest tam przy cerkwi św. Onufrego jeden ksiądz, któren maść ma cudowną, na gojenie ran. Dam pismo do niego i poślecie. Mnie moja już wyszła, a nie wiem, kiedy do domu powrócę.

Jeszcze to mówił, gdy uchyliła się lekko opona i wyjrzała spoza niej głowa Wicherka. Skorzystawszy, że ksiądz na niego patrzy, kiwnął głową i znikł za oponą.

Ksiądz spojrzał na Hrehora, przymykając oczy, jakby mu jakiś znak dawał, potem powstał, przeżegnał się i rzekł do Romiły:

— Mam tu dla ciebie, dziecino, taki biały cukiereczek... Sporzyj go!

To mówiąc, wyjął ze sutanny jak gdyby kulkę z kamyka wyrzezaną, przez pół ją otworzył i wysypał na dłoń kilka białych kuleczek. Jedną podał Romile, a z drugą podszedł do bojaryna.

— Nie pogardzicie i wy słodkością. Jest w tym i słodycz, jest i lek. Spożyjcie go!

Bojaryn przyjął podaną kulkę i włożył do ust, ale zaraz twarz mu się skrzywiła i rzekł z uśmiechem:

— Gadaliście, że to słodkie, a to cierpkie niczym piołun. Widział kto tak zwodzić ludzi?

— Nie zwodzę, jeno prawdę mówię. Zasię jest cierpkie, ale potem zobaczycie, jak wam słodko będzie. A lek ten jeszcze i naukę w sobie ma: że przez gorycz i ból dąży człowiek do słodkości. Która to nauka, jeśli dobrze spamiętacie, panie, wiele wam pożytku przyniesie.

Potem zwrócił się do Romiły i spytał:

— Spożyłaś już kwiatuszku?

A widząc na jej ustach grymas niesmaku, nie pytał więcej, jeno wziął ją za rękę i siląc się na wesołość — rzekł:

— Chodźmy ano w ogród. Rycerz Hrehory będzie uciekać, a ty jego łapać. Ja sobie tymczasem przy zachodzie słońca odmówię różaniec.

To mówiąc, skinął głową wszystkim na pożegnanie i wyszedł, prowadząc za rękę Romiłę. Hrehory jednak, nim wyszedł za nimi, przystąpił do bojaryna i mówił drgającym od wzruszenia głosem:

— Panie mój, wiecieli wy, gdzie oni poszli?

Bojaryn i inni spojrzeli nań zdziwieni, a on mówił dalej:

— Klęknijcie tu i módlcie się. Zaliście nie słyszeli, co wam rzekł na odchodnem. — Co człowiek może, uczynili, a teraz niech działa Bóg! — Módlcie się, aby Bóg cud zdziałał. On poszedł uleczyć Romiłę!

— To i ja z nimi! — zerwał się bojaryn.

— Nielża wam tam iść! Popsulibyście wszystko, cośmy z trudem przygotowali. Niech was Bóg broni! Czuwajcie tu i módlcie się! Powiadam wam to tylko ażeby — gdy się cud stanie — radość was z nóg nie zwaliła. Módlcie się! Tym najwięcej pomożecie!

I Hrehory, przeżegnawszy się, opuścił komnatę.

Oni stali chwilę, jakby w ziemię wrośli. Nagle pod bojarynem załamały się kolana, padł na ziemię, ręce wzniósł do góry i prosił:

— Ojcze na niebie! Pociesz mnie i oną niebogę! Ulituj się!

Wszyscy uklękli i przeżegnawszy się, szeptali pacierz.

Zrobiła się w komnacie taka cisza, że słychać było przez otwarte okno bzumkanie chrabąszczy, które teraz, przed wieczorem, krążyć już zaczęły po ogrodzie. Trwali tak, zatopieni w modlitwie dobrą chwilę, gdy nagle...

Z ogrodu doleciał ich straszny krzyk kobiecy, przeciągły, charkotliwy i pełen rozpaczy...

— Romiła! — krzyknął bojaryn.

Zerwał się z klęczek i w dwóch skokach zniknął za kotarą. Za nim pobiegli inni, prócz Liska.

— — — — — — — — — — —

Wyszedłszy na ganek Hrehory zobaczył księdza i Romiłę, stojących za domem i wpatrzonych w ogród. Wieczorny cień kładł się już na liście, lekko pod wiaterkiem drgające i na trawy, pochylone ku ziemi. Gdzieś z gęstwiny drzew ogrodowych dolatywał trel słowika, krótki jeszcze, nieśmiały, jakby próbował gardziołka do przyszłego koncertu. Cichość była w powietrzu zwyczajna w tej wiośnianej porze przed wieczorem, gdy wszystko zdawało się układać do snu po upalnym dniu.

— Widzisz jagódko — mówił ksiądz, trzymając Romiłę za rękę i prowadząc ją ścieżką ogrodu. — Widzisz! Wszystko się zaczyna i kończy, jako ten dzień.

Nic nie jest bez początku i nic wiecznie trwać nie może. I radość przemija i smutek przemija, a jedno drugiemu ustępować zwykło. I twój smutek przeminie i kiedyś w radość się zamieni, jeno boskiej ku temu potrzeba pomocy.

— Prawdę mówicie — przytaknął Hrehory. — Człowiek ano ma taką dziwną naturę, że nigdy nadto szczęśliwy być nie może, a znowu i w smutku długo trwać nie chce. Mnie się wydawało po śmierci mojej niewiasty, że nigdy się nie zaśmieję, jeno zawsze mieć będę przed oczyma jej twarz skurczoną męką, gdy ją boleści porwały. Bóg dobry jednak dał człowiekowi wielką jedną moc: moc zabaczenia. W szczęściu zabaczy człowiek o przeszłym nieszczęściu, a kiedy zły los nań uderzy i to po czasie zabaczyć potrafi.

— Jest jedno szczęście, co trwa wiecznie — rzekł ksiądz — to wiara. Patrzcie, jako czyni ten, kto za nic ma Boga i weń nie wierzy. Kiedy mu na świecie dobrze, cieszy się i powiada, że się bez Boga obejdzie, bo ono szczęście, co ma, nie Bogiem stoi, a jego staraniem. Ale spojrzyjcie nań, gdy po szczęściu grom weń uderzy. Kędyż szuka sprawcy tegoż? Zali nie siebie ma za owego? I wtedy czarna nań godzina przychodzi. Bo w szczęściu wierzył w siebie, w swój spryt i rozum, a teraz stracił tę wiarę. Ma siebie za coś podłego, przeklina swój czyn, swoją duszę i kala się śmiercią z rąk własnych, libo stacza się za życia w piekło. A człowiek wierny Bogu w szczęściu, jako oćcu Mu dziękuje, w nieszczęściu jako oćca prosi. Powiadam wam, ten się nigdy nie załamie, duszy nie pogrzebie, bo go trzyma moc ogromna: wiara. On i w nieszczęściu jest szczęśliwy. Przeto wam mówię, nie moc ludzka uszczę-

śliwia człowieka, jeno moc boska. Zali w to wierzysz, kwiatuszku?

Romiła skinęła głową, a potem położyła palec na ustach, a drugim wskazała na niebo, jakby powiedzieć chciała, że wierzy, iż jej jeno Bóg mowę wrócić może.

— Wierzże tedy dalej — mówił ksiądz. — Niezmierzona jest dobroć Boga i nieznana chwila Jego łaski. Kiedy ona na cię spłynie ufaj, że cię z kalectwa wybawi... Ale pójdźmy no w tę drożynę, gdzie coś białego widać na końcu. Jeszczem tam nie był!

Stali właśnie przed ścieżką, która wiodła do tej niesamowitej kapliczki i ksiądz skierował się w tę stronę. Nagle Romiła zatrzymała się i puściła rękę księdza.

— Bez co stajesz? Pójdźmy!

Ale ona zaprzeczyła głową, a na twarzy jej widny był strach i smutek.

Ksiądz jednak wziął ją z powrotem za rękę i mówił łagodnie:

— Chodź jeno parę kroków, niech się onej bieli przypatrzę. Widzi mi się, że to świątyńka boża, bo na niej krzyż jest, a dla mnie, księdza, rzecz to ciekawa.

Z wyraźną niechęcią dało się dziewczę prowadzić, a ksiądz mówił dalej, zwracając się do Hrehora:

— Kto ono cudo maleńkie zbudował?

— Grek pewien.

— Patrzcie, jakie tam drzwi misterne i widzi mi się, że otwarte. Może tam jest ktoś we środku. Idźmy zobaczyć!

Ale Romiła znowu zatrzymała się. Stali kilkanaście kroków oddaleni od kapliczki i widać było dokładnie rozwarte drzwi i czarną, zwisającą oponę. Dziewczę

stało bez ruchu, wpatrzone w czerń zapory, a ręka jej poczęła drgać w dłoni księdza.

Nagle stało się coś strasznego.

Opona podniosła się w górę, a spoza niej wysunęła się zwolna jakaś postać, a za nią druga i cicho zeszły po schodkach.

Dziewczę przetarło oczy. Czy śni? Wszak widzi wyraźnie przed sobą koszmarną postać niedźwiedzia, niosącego na przednich łapach martwą niewiastę, a za nim posuwa się krzyż. Z kudeł i paszczy niedźwiedzia sieje się jakieś światło mętne, niebieskawe, a i krzyż błyszczy w aureoli tego światła.

Co to jest, na Boga!

Czy kamienny posąg opuścił mogiłę i ciało matki wlecze ze sobą, aby się w innym miejscu na nowo w kamień zakląć?

Chce uciekać — strach przykuł ją do ziemi. Chce przeżegnać się — ręka sztywna jak drewno. Czuje jak fala krwi podchodzi jej ku górze, zalewa pierś i gardło, ciśnie, dławi, dusi. Czuje, że traci świadomość, że chwieje się, że nogi uginają się pod nią.

A koszmar coraz bliżej!

Krzyk straszny, nieludzki wyrywa się z rozwartych ust, a potem ciemność i noc.

Byłaby upadła na ścieżkę, ale podtrzymała ją silna dłoń Hrehora.

ROZDZIAŁ XXIII

w którym bojaryn składa pomstę Bogu

Zakonnik pochylił się nad nią i przyłożył ucho do piersi, słuchając bicia serca.

Tymczasem owa martwa niewiasta zeskoczyła z łap niedźwiedzia, z niego opadła skóra i krzyż potoczył się na ziemię, a do leżącej Romiły podbiegli trzej chłopcy. Nim jednak dobiegli, ksiądz porwał się z ziemi i mówił gorączkowo:

— Cichajcie! Żyje! Omdlała jeno! Bierzcie ją Hrehory na ręce i do komnaty... jak najprędzej. Tu ostać nie może... ni chwili. Jakby się tu obudziła, strach by ją opanował znowu. Migiem, migiem.

Hrehory uniósł ją na rękach i skierował się w stronę domu. Chłopcy pobiegli prędzej, aby zawiadomić bojaryna, ale on biegł już naprzeciw, rozedrgany, niepewny. Kiedy ujrzał dziewczę na ręku Hrehora, krzyknął i chciał się rzucić na dziecko, aby je objąć, ale powstrzymał go ksiądz:

— Cichajcie! Nic jej nie jest! Do komnaty! Precz do komnaty! Światła każcie zapalić... światła jak najwięcej! Bóg cud uczynił!

Pobiegli wszyscy jak mogli najprędzej do komnaty, w której przyjął ich Lisek, siedzący zestrachany na łożu i błędnym okiem patrzący na położone na drugim łożu dziewczę. Ksiądz pochylił się nad nią, wyjął z kieszeni ową kulkę kamienną, otworzył, wydostał jedną kuleczkę i zażądał:

— Noża mi dajcie!

Hrehory podał mu swoją mizerykordię, a on podważył nią zęby dziewczęciu i wpuścił w usta kuleczkę, a potem chwycił kubek z miodem, który stał przy łożu Liska i ulał trochę płynu leżącej w gardło. Za czym rzucił kubek na ziemię i począł ramiona Romiły podnosić, to opuszczać w dół.

Skutek owych zabiegów okazał się natychmiast.

Blade wargi dziewczęcia lekko zaróżowiły się, pierś podniosła się pod żywszym oddechem i ręce z lekka drgnęły. Wówczas ksiądz odstąpił od łoża, odsunął wszystkich w kąt i szepnął:

— Stójcie tu i milczcie! Ona już przychodzi do siebie. Jeśli raz jeszcze przed obudzeniem krzyknie, uratowana jest z kalectwa. Kiej otworzy oczy, niech bojaryn idzie do niej, nie wszyscy.

Czekali jeszcze małą chwileczkę. Jej pierś podnosiła się coraz wyżej, pot wystąpił na bladą twarz i usta poczęły drgać prędko, jak u zalęknionego dziecka. Nagle zatrzęsła się cała, krzyknęła... i otwarła oczy.

Jasność bijąca od zapalonych kaganków olśniła ją. Poczęła mrugać powiekami, wreszcie ruchem wolnym podniosła dłoń do oczu i czoła i jęła toczyć oczyma po komnacie.

Wówczas bojaryn zataczając się od wzruszenia przystąpił do łoża. Dziewczę spojrzało nań przytomnie, usta jej poruszyły się, jakby cichym szeptem, a z gardła wydobył się jakiś dziwny, charkotliwy głos. Głos ten tak na nią podziałał, że poderwała się z łoża, usiadła i przyłożyła rękę do ust, jakby ten pierwszy, od tylu lat wydarty głos chciała przemocą zatrzymać. Jej oczy, zmętniałe zdumieniem, poczęły świecić nadzieją. Wreszcie oderwawszy rękę od ust, poruszyła wargami, początkowo bezgłośnie, potem z ust jej poczęły wydobywać się charkotliwe, nieśmiałe, zająkliwe dźwięki:

— Ta..: Ta... tu... lu... ta tu... lu — wymawiała coraz szybciej, coraz lepiej i coraz pełniejszym głosem, a potem jakby w upojeniu powtarzała — tatulu, tatulu, tatulu...

I łzy trysnęły z jej oczu, a głowa opadła na wezgłowie.

Bojaryn zachwiał się i runął na kolana przy łożu, rozedrgany szczęściem, na wpół nieprzytomny. Ale już ksiądz i wszyscy obecni podbiegli do łoża, głaszcząc jedno i drugie, przemawiając pieściwie i płacząc. A jej wraz ze łzami wyrywały się z ust coraz to inne dźwięki, przerywane jękiem płaczu.

Mówiła. Niezdarnie, zająkliwie, ale była to mowa, głos, którego biedaczka od tylu lat z ust swoich nie słyszała.

Nagle bojaryn porwał się z klęczek, rzucił się ku zakonnikowi, począł go ściskać, całować, wreszcie całkiem usunął mu się do nóg, bełkocąc coś niezrozumiale, śmiejąc się, to znów wybuchając płaczem.

— Ostawcie! — bronił się staruszek. — Ostawcie! Nie mnie dziękujcie, a Bogu. On was pocieszył. Jam jeno był Jego narzędziem, a i to sam jeden nie uczyniłem tego, ale pomogli mi ci...

Tu wskazał ręką na Hrehora i chłopców. Więc bojaryn chwycił w objęcia rozpłakanego rycerza, potem ściskał po kolei chłopców, Marychnę, starościnę i znów księdza, wreszcie wypadł do sieni i na podwórze krzycząc, jakby chciał przez usta wyrzucić radość, która rozsadzała mu piersi.

— Ludzie! — krzyczał na podwórzu — Ludzie, cieszcie się! Moje dziecko mówi... mówi! Boże mój! Druhy moje! Cieszcie się... Cieszcie!

Zalękniona służba i drużyna poczęła wysypywać się na dziedziniec, patrząc z przestrachem na swego pana. A on, co którego dopadł, ściskał, go, całował śmiejąc się, to płacząc na przemian.

Zawaryn i kilku ludzi pobiegło do komnat i wraz powrócili, krzycząc już od ganku:

— Nasza panieneczka mówi! Ksiądz cud uczynił!

Więc radość ogólna ogarnęła tych ludzi, przywiązanych do bojaryna, jak dzieci do ojca. Poczęli wykrzykiwać radośnie, cisnąć się do pana, całować go po rękach, to do okien, od których buchał snop światła. Cichy zazwyczaj gródek rozegrzmiał gwarem głosów, nawoływań i śmiechu.

— Hej! — zwrócił się bojaryn do służby — wytoczyć mi tu beczkę miodu, ognie rozpalić i zwierzynę piec. Cieszcie się ze mną, druhy moje, pijcie i radujcie się.

W odpowiedzi jeszcze większy krzyk rozległ się na dziedzińcu.

Bojaryn wbiegł do komnat i ukląkł przy łożu córki, rozkoszując się jej głosem. A tymczasem ksiądz przy łożu Liska szeptem opowiadał wszystkim, jaki to zamiar powziął przy oglądaniu owej kapliczki, jak chłopcy z Hrehorym ubili w lesie niedźwiedzia, aby się w jego skórę przybrać, jak Wicherek przez cały dzień uczył się po niedźwiedziemu chodzić, paszczę otwierać i zamykać.

— Bałem się jeno — szeptał — aby się na śmierć nie zalękła i dlatego to owymi cukiereczkami, które wyśmienitym są lekiem, w Wenecji wyrabianym, starałem się wzmocnić jej serce. Ano udało się! Bóg pobłogosławił! Trzeba będzie teraz ciągiem być przy niej i mówić do niej, bo ona mowy zapomniała i zasię uczyć się jej musi.

Na to Lisek, milczący dotąd i zasłuchany w słowa księdza, ocknął się z zadumy.

— Jak to Bóg w miłosierdziu Swoim — rzekł — w różny sposób wiedzie człowieka do szczęścia. Co by na to rzekł Koniucha, że przez niego zamiast ból i śmierć w gródku, taka się radość zagnieździła. Bo to przecież wszystko przez niego. Gdyby nas nie ujął, nie wiedzielibyśmy, że chce na bojarski dwór napaść czynić, nie przybylibyśmy tu i nie przywiedlibyście, rycerzu, oćca wielebnego z jego mądrością. Sprawdziło się, com mówił, gdym to was odwodził od uśmiercenia zbójów, że przez ich napad szczęście pod ten dach wejdzie. Jakoż i weszło.

— I jeszcze wejdzie! — mruknął Hrehory.

Słowa Liska, wyrzeczone głośniej, posłyszał bojaryn. Wstał wolno i podszedł ku oknu. Tu splótł ręce na karku i wpatrzył się w dziedziniec, rozedrgany gwarem, na którym buchały już płomienie rozpalonych ogni.

Ksiądz tymczasem wziął Romiłę za rękę i przemówił słodko:

— Wstań, kwiatuszku, i chodź do nas. Jeszcze się tobą Lisek nie ucieszył. Zdolisz chodzić?

Dziewczę swoim zwyczajem potaknęło głową i zwolna stanęło na ziemi.

— Powiedz tak — nalegał ksiądz.

— Tak — wyszeptała z trudem.

— Musisz mówić jak najwięcej i każdego słowa próbować, bo inaczej głos na nic ci się nie zda. A już się nie boisz?

— Nie.

— To i dobrze! Bać się już nie masz czego. Co było — minęło, a i to, co było, zabawką jeno było i narzędziem do twego uzdrowienia. Bojam się ano, abyś

mi za złe nie miała, żem cię tak okrutnie nastraszył; ale tak być musiało.

Za całą odpowiedź Romiła przycisnęła usta do jego ręki, a potem przytuliła się do niego z dziecinną ufnością. Ksiądz podprowadził ją ku łożu, na którym leżał Lisek, a ona siadła przy Marychnie i Otku, pełna radości, spoglądając po wszystkich, a zwłaszcza na księdza z uwielbieniem.

Wtem bojaryn zbliżył się do Hrehora i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł dziwnie wzruszonym głosem:

— Każ wywieść Bynkę z lochu i jego kamratów i staw ich tu przed moje oczy!

— Co chcecie czynić? — zdziwił się rycerz.

— Obaczysz! Czyń, com ci rzekł!

Hrehory wyszedł, a bojaryn zwrócił się do księdza:

— Spotkało mnie szczęście tak wielkie, że pomsta moja wobec niego niczym jest. Nie odchodźcie stąd i bądźcie świadkami tego, co się stanie.

To mówiąc, podszedł przed stół, usiadł na ławie, sadzając córkę przy sobie i ręką zapraszając innych. Poszli, niepewni, co by miał czynić. Ale on nic nie mówił, tylko słodkim wzrokiem, w którym się jeszcze łzy czaiły, zapatrzył się w radosną twarz dziecka. I tak trwali w milczeniu, aż do powrotu Hrehora.

Ten powrócił wkrótce, ale nie sam, a z kilkoma halabardnikami, którzy prowadzili związanego Koniuchę i jego kamratów.

Na wynędzniałej twarzy zbója ani śladu nie zostało po dawnej bucie i bezczelności. Nie śmiech z niej widniał zjadliwy, ale ostateczne przygnębienie i rozpacz. Cygańskiej jego natury nie złamało widmo śmierci

w męczarniach, ale złamało pozbawienie swobody, loch. Oko miał spuszczone ku ziemi, twarz pozieleniała z rozpaczy i cuchnął cały gnijącymi szatami i brudem.

Postawali przed stołem bladzi, trzęsący się, niepewni, co ich czeka. Tylko oczy Griszki biegały po całej komnacie, jakby szukały sposobu ucieczki.

Na widok zbója zatrząsł się bojaryn ze wstrętu, ale się przemógł i zwracając się do księdza — rzekł:

— Kiedyście, wielebny oćcze, obiecali, że uzdrowicie ptaszynę moją, chciałem wam w nagrodę dać mienie swoje i siebie samego. Ninie widzę, żem głupi był bardzo. Na co wam mienie? Wyście panem większym niż ja, niż stu takich, jak ja. Wyście panem serc ludzkich, wyście wybranym dzieckiem Boga. On was, waszej świętości, użył na moją pociechę. Jemum winien wszystko i zdawało mi się, żem się Mu oddał cały. Ale tak nie było. Zostawiłem pomstę dla siebie, miasto Mu i tę oddać. Niechże ją ode mnie weźmie ninie.

Tu wstał, wyjął Hrehorowi mizerykordię zza pasa i poszedł ku zbójowi. Twarz miał jasną, cichą, usta szeptały modlitwę.

— Tobie, Boże dobry, oddaję pomstę swoją i żal swój i proszę Cię na ono miłosierdzie, którym mnie dotknąłeś, odpuść i onemu nędznikowi, jako i ja mu z serca odpuszczam.

Tu, skamieniałemu ze zdziwienia zbójowi przeciął postronki na rękach i dodał:

— Bynka! Morderco mojej żony i dziecka — idź z Bogiem! Ja ci przebaczam, oby ci i Bóg miłosierny przebaczyć raczył twoje uczynki!

— Amen! — wyrzekł ksiądz.

Uczyniła się cisza. Nie wszyscy znali życie Siemia-

szyca i ci nie rozumieli wielkości jego uczynku, ale ci, co wiedzieli, ile krzywd uczynił ten człowiek przebaczającemu starcowi, oniemieli ze zdziwienia. Było w tym uczynku coś sprzeciwiającego się naturze ludzkiej, po prostu coś świętego. Starzec zważył na szali dobroć Boga i pomstę swoją i ta ostatnia wydała mu się mniejszą.

Wtem w ciszę wpadły rozedrgane wzruszeniem słowa księdza:

— Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią! Weźcie tych ludzi, nakarmcie ich i niech idą wolno. A my dalej będziemy pełnić dzieła boże, bowiem gdy Bóg daje, daje bez miary.

A gdy jeńców, nie mogących ochłonąć ze zdziwienia wyprowadzono z komnaty, ksiądz stanął przed bojarynem, położył mu rękę na głowie i przemówił:

— Bratem mi jesteście najmilszym, a żem od was dwa razy prawie starszy, więc mnie usłuchacie. Zrobicie tak?

— Uczynię, co zechcecie! Krwi swojej dla was nie pożałuję!

— Nie trzeba mi waszej krwi, jeno mi trzeba, abyście spokojnie wysłuchali, co wam rzec chcę, choćby się to wam całkiem nieprawdziwym wydało. Czy mnie usłuchacie?

— Powiadajcie! Spokojny ja jak baranek, a ręka dziecięcia, którą dzierżę w dłoni, powstrzyma mnie od wszelkiej niespokojności.

— Trzeba wam tedy wiedzieć — zaczął ksiądz — że ja wczoraj byłem w lochu i z Koniuchą gadałem. On nie zabił ani waszej żony, ani dziecka...

— Tak wam rzekł Bynka? — przerwał starzec.

— Tak i mówił prawdę. Kiej z waszą niewiastą pędził przez las, ona chcąc wyrwać się z jego ręki, uderzyła o pień głową i skonała. On to spostrzegł dopiero na gościńcu, a wtedy rzucił ją w piasek wraz z dzieckiem. Rozumiecie mnie? Wraz z dzieckiem! — zakończył z przyciskiem.

— To i dziecko umarło od uderzenia?

— Nie! Ono żyło.

— Przeczże tedy znaleźliśmy jeno ciało matki?

— Bo dziecko przelękło się i uciekło.

— Czego się zlękło? Co mogło je tak nastraszyć, iżby od matki uciekło?

Tu ksiądz przechylił się całkiem do ucha bojaryna i szepnął:

— Niedźwiedź!

— A!

— Powiadam wam, że ono uciekło, rozumiecie? Uciekło w las!

— Bez co mi to powtarzacie?

— Bo kto uciecze, stwór go niekoniecznie dogonić musi, a zatem dziecko może żyć.

— Żyć? — zawołał bojaryn. — Moje dziecko może żyć... mój Busiek?

— Zali myślicie, że ludzie po drodze nie chodzą? Mógł go ktoś naleźć na drodze i wziąć za swoje. Małoż to takich wypadków było?

— Oćcze! Wlewacie mi w serce nadzieję. Mogło tak być, na Boga! Wszakżeśmy trupa dziecka nie naleźli.

— Czasem żywego łatwiej naleźć, gdy się szuka trupa — rzekł ksiądz tajemniczo.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Że Bóg, gdy chce kogoś uszczęśliwić, miary w tym nie zna.

— To znaczy, że ja mogę kiedyś dziecko swoje odnaleźć?

— Jak nie wy, to go inni naleźć mogą.

— Oćcze! Rozpalacie we mnie nadzieję, zali pewni jesteście, że niedaremną?

— Powiem wam coś, jeno bądźcie spokojni. Natrafiono na ślad jego. Coś wam pokażę...

Tu zza sutanny wyjął ów złoty krzyżyk, który Hrehorowi wręczył Włodko i pokazując go Siemiaszycowi — spytał:

— Znacie to?

— Na miły Bóg! — zawołał, zrywając się bojaryn i biorąc w rękę krzyżyk. — Busiek miał on krzyżyk na szyi, gdyśmy lochami uciekali. Sam mu go zawiesiłem. Powiadajcie na miłosierdzie boże, skąd ów krzyżyk macie?

— Pytajcie się Hrehora, on mi ten krzyżyk dał.

— Hrehory? Tyś go naszedł?

— Posłuchajcie mnie, bojarynie! — rzekł tenże, chwytając go za ramię. — Obiecaliście księdzu spokojnie wysłuchać wszystkiego. Skrzepcie się w sobie, uspokójcie się, bo nic nie powiem.

Bojaryn stał chwilę wzburzony i widać było, jak się zmagał ze sobą, bo twarz na przemian bladła mu, to czerwieniała i drżał cały. Wreszcie opadł ciężko na ławę i wpatrzył się pytająco w twarz Hrehora. A ten mówił:

— Co byście rzekli, gdybyście poznali chłopaka, któren tak niedźwiedzia ma w nienawiści, że sam jeden rzuca się nań z toporem?

— O Jezu! — wyrwało się z ust Liska.

— A co byście rzekli, gdyby wam ów chłopak powiedział, że mu się ciągiem śni, jakoby go ów gonił i od niewiasty, leżącej w piasku, odganiał?

A gdy bojaryn i na to nie znalazł słowa odpowiedzi i siedział nieruchomy, jakby w kamień zaklęty, Hrehory ciągnął dalej:

— Jam takiego naszedł i on miał ów krzyżyk na szyi, gdy go z lasu bez przytomności przyniesiono. Czy uznacie go za swego? Powiadajcie!

Bojaryn wpatrzył się w krzyżyk, trzymany w ręku, potem w twarz Hrehora i księdza, wreszcie porwał się z ławy, chwycił rycerza za barki i trzęsąc nim — krzyczał:

— Czy go uznam? Powiadaj, gdzie on jest, a wraz siedę na konia i na kraj świata pojadę za nim!

— Tedy nie potrzeba wam siadać na konia, bo on jest przy was blisko. Zali wam nie zabiło już raz serce wasze do niego?

A widząc, że bojaryn pytającym wzrokiem wpatrzył się w Liska, siedzącego bez ruchu na łożu — rzekł uroczyście:

— Nie Lisek to jest, nie żaden sierota na łasce ludzi żyjący, ale syn wasz i dziedzic — Jakub Siemiaszyc!

Niesamowity krzyk wydarł się z gardła bojaryna. Puścił Hrehora, poskoczył do Liska i z jękiem zwalił się przy nim, szlochając i obejmując go. Ale on nie oddawał mu uścisków. Osłabiony jeszcze po przebytej chorobie, wzruszony rozmową, gdy usłyszał z ust Hrehora wypowiedziane swe imię — padł na łoże i omdlał.

ROZDZIAŁ XXIV

w którym wojna przybliża się do Siemiatycz

Po kilku dniach uspokoiły się wzburzone umysły na gródku, tylko opowiadaniom i rozmowom serdecznym nie było końca. Całe towarzystwo przebywało razem, najczęściej w komnacie, gdzie leżał Lisek, a kiedy i on począł zwolna podnosić się z łoża, przesiadywano w wielkiej sali, w której chłopcy po raz pierwszy poznali bojaryna i Romiłę. Ksiądz urządził w tej sali za zasłoną domową kaplicę, w której odprawiał codziennie nabożeństwo, a oni modlili się gorąco, jedni dziękując za szczęście, które ich spotkało, inni prosząc o zmiłowanie nad sobą i całym krajem w tych niepewnych czasach. Ale ksiądz zapowiadał rychły swój odjazd do domu, bo — jak powiadał — nie miał co robić przy zdrowych ludziach, a tam czekał go obowiązek i praca w kościele. Starano się go zatrzymać, przedkładając, że niebezpiecznie jest teraz jechać do grodu, z którego wszyscy uciekli. Ale staruszek twierdził, że w takich czasach więcej jeszcze jest tam potrzebny, bo w nieszczęściu bardziej słów pociechy bożej potrzeba, niż w szczęściu. Zresztą on się śmierci nie boi, wierząc, że bez woli Boga włos mu z głowy nie spadnie. Pocieszano się tylko tym, że obiecał przyjeżdżać niekiedy, aby ich odwiedzić i wieści ze świata przywieźć.

A tymczasem wieści te, przynoszone od czasu do czasu przez ludzi z Siemiatycz, były coraz groźniejsze. Powiadano, że Lubart z Litwinami niedaleko grodu są, paląc i niszcząc wsie i miasta okrutnie i ze zamkowej góry co wieczora łuny krwawe na niebie widać i coraz bliższe. Inni mówili, że starosta podszedł pod sam

obóz Lubarta i postępując za nim lub przed nim, rwie mu boki, spoczynku nie daje, ni dowozu żadnego. A łączą się z nim tłumnie drużyny bojarów, którzy mając dość krwi rozlanej, pragną pokoju przy królu.

Więc i Siemiaszyc radził się z Hrehorym, co im czynić wypada. Ściągać wszystkie drużyny byłoby daremne, bo one z pewnością były już przy staroście. Taki nakaz dał poszczególnym wojewodom Hrehory, objeżdżając przed tygodniem gródki Siemiaszyca. Zaś siemiatycką drużynę musieli zatrzymać przy sobie, gdyż nie wiadomo było, co może nastąpić. Wprawdzie gródek był skryty w puszczy i wśród bagien i dostęp do niego nie był łatwy, wszelako licho nie śpi i ogałacać się z ludzi całkiem nie można było. Uradzili więc, ażeby Hrehory z kilkoma ludźmi udał się do najbliższego Czurczyna, do którego tylko parę godzin jezdnej drogi było i tam się czegoś więcej dowiedział. Mieli rankiem wyjechać, a na wieczór wrócić. I ksiądz się zgodził czekać na ich wieści i dopiero na drugi dzień po ich przyjeździe wybrać się do Lwowa.

Zamyślał bojaryn, jak tylko w kraju się uspokoi, pokazać światu cudem odnalezionego syna. Postanowił zebrać dowódców poszczególnych drużyn, sprosić do Siemiatycz sąsiadów bojarów i wyprawić uczty i turnieje, podczas których miał pasować wszystkich czterech chłopaków uroczyście na rycerzy. Nie spodziewał się, że długie jeszcze miesiące upłyną do tej chwili, a jego „serdeńki“ — jak ich w dobroci swego serca nazywał — wiele jeszcze czynów rycerskich dokażą, zanim ich pasem i ostrogami ozdobi.

Właśnie radzili nad tym, siedząc na ganku dworu w pogodny wieczór majowy, w przeddzień zamierzo-

nego wyjazdu Hrehora. Starsi siedzieli na ławach, popijając wyborny miód i gwarząc, a młodsi, pobrawszy się parami za ręce, przechadzali się po dziedzińcu. Lisek, nie bardzo jeszcze mocny, opierał się na ramieniu Marychny i szeptali coś z cicha, przechadzając się tuż przed gankiem. Otek z Romiłą podeszli aż pod samą bramę i tam ona coś pokazywała mu, szczebiocąc i ruchami rąk z przyzwyczajenia okraszając mowę. Mówiła jeszcze ciężko, długo się namyślała nad każdym słowem, ale każdy wypowiedziany przez nią wyraz wydawał mu się słodką muzyką. Wicherek z Juraszkiem podeszli aż na sam wał i stali tam, rozprawiając o czymś żywo, bo pojedyncze odgłosy ich rozmowy słychać było aż na ganek.

Dziwnie serdecznie przywiązali się do siebie ci dwaj chłopcy. Może dlatego, że serca ich nie były zajęte inną miłością, a może Wicherkowi przypadła do smaku muzyka Jureczka, bo po całych dniach przy nim przesiadywał, a znów Jureczek bez niego i kroku nie postąpił. Jemu znowu podobała się siła Wicherka i jego powolna natura. Bo wiadomo jest, że każdy człowiek lubi ludzi o przeciwnej niż swoja naturze, a Jureczek był ognisty, taki jak Otek. Co było, to było, dość że się lubili i nieraz żartowano sobie z nich, pytając, kto komu będzie ślubował, czy Wicherek Jureczkowi, czy odwrotnie. Ale oni nie zważali na żarty. Bywało nieraz na całe popołudnia zabierali się gdzieś w ogród i tam nie wiadomo, co robili. Tylko gdy wracali z takich przechadzek, mieli bardzo uradowane miny i nucili coś półgłosem.

Teraz stali na wale i spierali się o coś. Wyglądało, jakby Jureczek namawiał do czegoś Wicherka, a on

opierał się i wymawiał. Wreszcie zeszli razem z wału i podeszli na ganek. Jureczek zniknął w komnatach, a po chwili wrócił, niosąc harfę w ręku i siadając przy Wicherku, zawołał w głąb dziedzińca:

— Hej, braciszkowie i siostrzyczki! Pójdźcie no bliżej do kółka i posłuchajcie nowej pieśni.

A przeczekawszy, aż wszyscy usiądą, wskazał na zawstydzonego Wicherka i rzekł:

— Wam się widziało, żeście no wy do czegoś, a on taki sobie, ciamajda. A nieprawda! Rozum u niego wielki, taki jak siła w palcach. Posłuchajcie no, jaką piosenkę ułożył, jenom do niej na harfie tony dobrał. Niczym owi rybałci czy szpilmany, com to ich słyszał na różnych dworach.

Po czym zwrócił się do Wicherka z żartobliwym napomnieniem:

— A ty się nie wstydaj, jeno śpiewaj ze mną, jakośmy to już nieraz śpiewali!

Tu przyłożył palce do strun i zagrał. Ciche początkowo tony tężały, smętne stawały się coraz radośniejsze, aby znów przechodzić w tęskne i ciche. A potem poczęli śpiewać. Poszedł głos po ganku, odbił się od pułapu, a echo jego niosło się po dziedzińcu, ginąc w zaułkach wałów i baszt. Tęskna przygrywka rozdzielała zwrotki od siebie, a każdą następną śpiewali coraz piękniej, pozbywając się początkowej nieśmiałości.

Śpiewali pieśń długą o królu możnym a nieszczęsnym, który obraził na się przeklętego czarownika, a ten pomścił się, zaklinając w kamień królewnę, córę jego i cały dwór, a żyjącego króla przykuwając do tronu. I miał ten czar tak długo trwać, aż dowie się o tym czło-

wiek, który przez życie całe nie dla siebie a dla drugich żył. Jego oczy, patrzące na świat z przedziwną miłością, zdolne będą przetopić martwy głaz w żyjące ciało, tchnienie jego ust, szepcących o miłości, poruszy w nim życie, a serce bijące miłością nową krew w nim wzbudzi. Lata mijały, wieki przesuwały się powoli, a nikt nie wiedział o zaklętych w kamień sercach i o jednym wielkim a nieszczęsnym sercu starego króla, co nad nimi czuwało. I byłoby tak długo jeszcze trwało, a może i na zawsze, gdyby nie to, że podczas pewnej burzliwej nocy przez okienko wieży wdarł się do zamku puszczyk i wysłuchał skargi królewskiej. Wnet rozniosło się to po całej puszczy i dowiedziały się o tym jaskółki, które znawczyniami świata będąc, o wszystkim wiedziały. Znały one takiego człowieka. Daleko za rzekami, za górami w lesie żył i nie dla siebie, a dla innych. Doniosły mu zwinne jaskółki o nieszczęściu, trapiącym króla, a on bezzwłocznie ruszył do zaklętego zamku. Gdzie stąpił, kwiatki po nim wyrastały, kędy przeszedł, kłaniały mu się gwiazdki na niebie, a na co popatrzał, rozwijało się w nim życie, choćby to uschła gałąź była. A kiedy wszedł do zaklętego zamku, znikał wszędzie głaz niemy, a chyliło się wszystko do jego nóg, żywe, zdrowe i niepamiętne długich lat niewoli.

Skończyli. Jeszcze echo roznosiło ostatnie tony po zaułkach dziedzińca, jeszcze struny drgały niespokojnie, jeszcze przez chwilę grały w ich sercach. A potem buchnęły oklaski i pochwały dla promieniejącego radością Jureczka i zawstydzonego Wicherka.

— Piękna śpiewka! — chwalił ksiądz — kto by się był spodziewał po naszym Krzyśku takiej mądrości. Musisz mi ją kiedyś wolnym czasem powiedzieć, abym

ją sobie spisał; będzie mi miłą pamiątką po spędzonych tu dniach, bo nic mi prócz wspomnień o nich nie ostanie.

— Jeno wdzięczność nasza pójdzie za wami — przemówił bojaryn. — Inaczej my się odpłacić nie możemy.

— Odpłaciliście mi aż nad miarę czynem miłosierdzia, niechając pomsty swej, która się Bogu należała. Nie mówmy o tym.

Tu ksiądz rozrzewnił się, wstał i zeszedł z ganku na dziedziniec. Ale wraz odezwał się z dołu głos jego drżący i zestrachany:

— Obaczcie no! Jakowaś łuna na niebie!

Porwali się wszyscy z ław i zbiegli na dziedziniec.

Istotnie gdzieś nad siemiatycką puszczą krwawiła się na niebie potężna łuna. Gorzało gdzieś i to wcale niedaleko, bo widać było czasem wystrzelające wśród nocy do góry płomienie, rozsypujące się w tysiące iskier.

— A Słowo stało się ciałem — ozwał się ksiądz. — Wojna się ku nam przybliża.

Hrehory podbiegł na wał, wpatrzył się bystro w odległą łunę i po chwili krzyknął:

— Jezus! Maria! Czurczyn gorzeje!

— Na Boga! — krzyknął bojaryn. — Być nie może!

Ale już ludzie wysypywać się poczęli ze dworu i ze stajen, a co który przypatrzył się łunie — krzyczał:

— Czurczyn gorzeje! Ani chybi, Czurczyn!

Poczęto bezładnie cisnąć się na wał, wykrzykiwać i lamentować.

Nagle z wału rozległ się potężny głos rogu. To Hre-

hory grał. Stał na stoku wału, potężny, z rogiem przy ustach, a gdy grać przestał, uczyniła się zupełna cisza.

— Makar! — zawołał rycerz. — Trzydziestu ludzi mi wybrać, konia mi przygotować i zbroję! Trzydziestu orężno i zbrojno na koń wsadzić! W drogę ruszamy, nim pięć pacierzy upłynie! Hajda druhy!

W parę chwil dziedziniec opróżnił się, jeno ze stajen i z domków drużynnych ozwały się zmieszane głosy i rżenie koni.

Hrehory podszedł ku bojarynowi, skłonił się i rzekł:

— Panie mój! Ostawiam wam Makara i resztę drużyny, sam ruszam do Czurczyna. Bóg wie, co się tam stać mogło. Albo Litwini tam wpadli, albo się wieś sama od siebie zapaliła. Tak czy tak, trza iść ratować.

— Idźcie! Niech was Bóg błogosławi! A dajcie znać, co jest, bo będziemy tu niespokojni.

Podczas tego chłopcy coś szeptali między sobą, wreszcie Jurek wysunął się ku bojarynowi i rzekł nieśmiało, całując go w rękę:

— Stryku! Pozwól nam z Hrehorym ruszyć.

— Komu?

— Ano mnie, Krzyśkowi i Mieczkowi. Busiek chce także, jeno my mu sami odradzamy, bo słaby jeszcze.

— Ani mowy...

— Pozwólcie, panie, tym trzem ruszyć ze mną — wmieszał się Hrehory. — Dobrze jest, gdy tacy mogą w oko wrogowi spojrzeć; do tego rosną. A i lata mają ku temu i ćwiczenie rycerskie niemałe.

— Niech będzie, jako chcecie, ale ty jagódko — zwrócił się do syna — ostaniesz z nami. — Za słabyś jeszcze, a wyprawa będzie żmudna.

— Tedy chodźcie! — rzekł Hrehory — wyszukamy

zbroje i ubierzem się, bo czas ucieka. Ty, Jureczku, skocz jeszcze do Makara, niech wam konie też przysposobią.

Jeszcze próbowała sprzeciwiać się wyjazdowi chłopców starościna, ale Otek pocałował ją w rękę, mówiąc:

— Tatulo miał lat siedemnaście, kiedy na Krzyżaków ruszał i pod Płowcami stawał. A ja mam dziewiętnaście. Zalibyście chcieli, abym był gorszy od tatula?

Starościna nic już nie rzekła, tylko uściskała go. Mąż dla niej był wyrocznią i kto się nań powołał, nie śmiała nigdy nic rzec. Po drugie wiedziała, że chłopak przecież do wojny rośnie i tylko w pierwszej chwili przemówiła przez nią miłość macierzyńska, bo innego powodu nie mogła mieć, sprzeciwiając się wyprawie. W tych czasach przecież młodsi od Otka byli często już pasowanymi rycerzami i w wojennych wyprawach brali udział, a oni przecież nie szli na wojnę i może całkiem wroga ujrzeć nie mieli. Więc uspokoiła się i wziąwszy za rękę Romiłę i Marychnę poszła z nimi do czeladnej, przygotować coś naprędce odjeżdżającym do zjedzenia.

ROZDZIAŁ XXV

w którym słyszymy znowu o Koniusze

Gdy chłopcy z Hrehorym, pokrzepiwszy się nieco i przybrawszy w zbroje, wyszli na ganek dworu, stała już na dziedzińcu w porządku ustawiona dwójkami zbrojna trzydziestka, wybrana na wyprawę przez

Makara. On sam uganiał się jeszcze dokoła niej, pilnując czy wszystko w porządku. Był bez zbroi i bez konia, bo wiedział, że na wyprawę nie pójdzie. Zawsze tak było, że gdy Hrehory wyjeżdżał na pewien czas z gródka z częścią drużyny, Makar zostawał, sprawując urząd wojewody nad pozostałymi. Jedynie, gdy Hrehory ruszał z całą drużyną, jak to miało miejsce przy wyprawie na zbójów, wyruszał i on razem.

Podając konia Hrehorowi wysłuchał jeszcze ostatnich rozkazów:

— Słyszysz, Makar! Czaty stawiać na basztach i drużynę mieć w pogotowiu, żeby licha nie było. Czuj duch, stary druhu! Na tobie całość gródka spoczywa. Pilnujże go jak oka w głowie, bo czasy niepewne i nie wiadomo, skąd licho nadejść może.

— Spokojni bądźcie! Upilnuję, jak zdolę! — uspokajał go Makar.

Chłopcy jeszcze kończyli żegnać się z odprowadzającymi ich bojarynem i niewiastami. Więc ich rycerz podpędzał, krzycząc:

— Nuże! Siadajcie! Czasu szkoda! Drużyna gotowa, jeno jechać. Migiem, bo doma ostaniecie!

Tak zagrożeni wskoczyli czym prędzej na podane im konie i wyforowali się naprzód. Tam Makar podał im jeszcze kopie do ręki i ruszono wśród okrzyków:

— Ruszajcie z Bogiem!

— Ostańcie zdrowi!

— Powracajcie zdrowo, a prędko!

— Bóg zdarzy!

Zaraz za mostem puścili się truchtem i jechali tak aż do drogi, która skręcała na groblę. Tu Hrehory wstrzymał konia i zawołał:

— Zabój i Dzięciołek, pójdźcie no ku mnie!

Dwie postacie oderwały się od drużyny i stanęły przy wodzu.

— Zniżcie kopie, aby was nie było widno i wyforujcie się naprzód oboma krajami drogi. Gdybyście coś ujrzeli, jeden niech zostanie, a drugi niech wraca dać mi znać. Kryć się dobrze, aby was nikt nie widział. Rozumiecie!

— A ino!

— Tedy poganiaj!

Za chwilę zniknęli w cieniach nocy, a Hrehory zawołał:

— Ruszajcie za mną, a szczęku nie czynić i w kopie nie uderzać. Bóg wie, kogo mamy przed sobą, przeto i ostrożnym być nie zawadzi.

Noc była ciemna, chociaż pogodna i gwiaździsta. Jeszcze gdy jechali drogą, biały jej szlak widny był wśród traw i oczeretów, otaczających go wkoło. Ale gdy minąwszy groblę wjechali w puszczę, ciemności zapanowały takie, że ledwo można było na kilka kroków przed sobą dojrzeć pień drzewa czy krzak przydrożny. Piaszczysta droga tłumiła odgłos kroków; więc jechali cicho, przesuwając się jak cienie po wąskiej ścieżce leśnej, pomiędzy chaszczami i odwiecznymi pniami drzew, zdani na zmysł końskiego dotyku, który pozwalał im z przedziwną zręcznością omijać wszystkie przeszkody. Jechali już teraz całą gromadą, bo przemykając się wśród drzew i krzewów, trudno było utrzymać porządek. Tylko chłopcy trzymali się blisko Hrehora, bojąc się oddalić od drużyny i zabłądzić w puszczy. On jednak miał ich na oku i cichym okrzykiem dawał znać od czasu do czasu, gdzie się znajduje.

Jechali tak już sporo czasu bez odpoczynku, kiedy Hrehory nagle wstrzymał konia i przytłumionym głosem zawołał:

— Stójcie!

Poczem jął nadsłuchiwać, pochyliwszy się ku przodowi i otwarłszy szeroko usta.

— Czy mi się zdaje, ale słyszę coś jakby tupot konia. Słuchajcie no pilnie, może mi się tylko tak przesłyszało... O... znowu słychać!

Rzeczywiście wiatr przynosił czasem głuchy, ledwo dosłyszalny odgłos dudnienia.

— Ruszajmy krzynę naprzód! Pobaczymy, co ono jest! — rozkazał po chwili.

Ruszono dalej w milczeniu, ale nie ujechano jeszcze i pół tysiąca kroków, kiedy doleciał ich wyraźny już całkiem tupot konia, jadącego na wprost nich.

— Musi Dzięciołek, libo Zabój wraca. Poczekajmy!

Jakoż po chwili dobiegło ich stłumione wołanie i z ciemności wynurzył się jeździec.

— Gdzieżeście panie? — spytał.

— Tu jestem! A co tam?

— Panie — zbliżywszy się rzekł jeździec, łapiąc dech. — Z Czurczyna głownie już się dopalają, jeno gródek jeszcze się broni.

— A kto ich napadł?

— Wiadomo kto. Litwini! Kudłate kożuchy na sobie mają i litewskie czapy szpiczaste. Ale tam i naszą mowę słychać między nimi.

— Siła ich?

— Będzie z pół setki. Dobrze nie widzielim, bo nielża blisko nastąpić, ale tak mi się widzi, że ich więcej nie ma.

— Konni są?

— A ino! Pod lasem konie stoją, a oni pieszo drapią się na wały i z łuków szyją. Kiej tam byłem, jedną wieżę strzałami podpalili.

— Tedy nie marudźmy. W konie!

Pomknęli wśród drzew szybciej niż przedtem, tym bardziej, że puszcza widocznie się przerzedzała i często natrafiali na wyręby, po których szybciej mogli się poruszać. Niezadługo doleciał ich ostry zapach spalenizny i daleki jeszcze ale wyraźny odgłos ludzkich nawoływań. Poprzez gałęzie rzadkich już drzew dostrzec mogli czerwone płomienie ognia przygasającego, to znów wzmagającego się.

— Nie wiesz, co się z ludźmi czurczynieckimi stało? — zapytał Hrehory wypatrywacza.

— Nielża było zobaczyć, ale tak myślę, że skryli się na gródku i tam się bronią. Bo któż by na gródku się bronił, jeśli drużyny nie ma?

— To chyba musieli naprzód wiedzieć o napadzie i spodziewać się go. Ale jak tak, dlaczego nam znać nie dali?

— Nie wiem!

— Zaraz się dowiemy, bo już las się kończy. Zatrzymać się!

Gromada stanęła w miejscu, a Hrehory z wypatrywaczem i chłopcami podjechał na skraj lasu i wyjrzał zza drzew.

Widok był straszny.

Przed nimi płonęła, a raczej dopalała się już wieś, podpalona na wszystkich rogach, tak że we środku parę chałup stało nie tkniętych jeszcze albo dopiero zapalonych. Na polance, oddzielającej wieś od lasu,

w popłochu uganiało bydło, przerażone ogniem i krzykami. Pomiędzy płonącymi chatami ani na polanie nie było ludzi. Wszyscy skupili się wokół gródka, wznoszącego się tuż pod lasem na niewysokim wzgórku. Stamtąd dochodził zgiełk, krzyki, jęki i szczęk broni. Przypatrzywszy się dobrze poznał Hrehory, że gdyby przyszli trochę później, nie zastaliby już gródka, ani jego obrońców na świecie. Napastnicy podpalili już baszty i palisady i wdzierali się do środka.

Nie było czasu do stracenia. Cofnęli się więc do drużyny, a Hrehory krzyknął:

— Hej, druhy! Kopie w dół i hajda! Nauczymy tych pogańskich synów obcy kraj najeżdżać! Ławą, ławą, tnij i bij!

Rozwinąwszy się w półkole, pognali ku gródkowi, opuściwszy kopie na wysokość końskiej szyi, piszcząc i wykrzykując dla dodania sobie zachęty. Ale już tamci pod gródkiem posłyszeli ich, więc ściągnąwszy się jak najprędzej w kupę, poczęli szyć do nich strzałami z łuków i najeżyli oszczepy. Kilka koni,trafionych strzałami upadło, przytłaczając jeźdźców, ale reszta wryła się tak prędko klinem w gromadkę napastników, że już drugi raz napiąć łuków nie zdołali. Brzęk kruszonych o tarcze kopij, szczęk mieczy o hełmy i pancerze pomieszał się z wrzaskiem wojowników i okrzykami radości obrońców gródka, którzy dojrzawszy odsiecz przeskakiwali przez płonącą palisadę i zbiegali z wału na tyły napastników.

Nasi chłopcy po raz pierwszy znaleźli się w zgiełku bitwy. Pędzili tuż przy Hrehorym z nastawionymi kopiami, zapaleni okrzykami, sami krzyczący i na pół nieprzytomni z wrażenia. Otek równo z Hrehorym do-

padł pierwszych szeregów wrażych. Zaraz przy pierwszym natarciu ułamała mu się kopia o tarczę wroga, więc wyrwawszy miecz zza pasa, skoczył pomiędzy oszczepy, tnąc bez pamięci. Czuł, jak miecz jego uderza w nastawione tarcze lub oszczepy, lub miękko pogrąża się w ciało ludzkie. Widział przed sobą zarosłe oblicza, ohydne, rozpalone bitwą, złe i zażarte. Ale on nie uczuwał strachu ani litości, jeno ciskał się bez pamięci nie zważając na wyciągające się ku niemu miecze, włócznie i topory. Tak samo niepomny na nic, walczył Jurek. Byliby przy takim bezpamiętnym sposobie wojowania prędko znaleźli się pod kopytami koni, gdyby nie czuwał nad nimi Hrehory. Ten walczył obok nich, ale spokojnie, rozważnie i gdy tylko zobaczył ciskającego się na chłopców wroga, zadawał mu niechybny cios mieczem, a ten wypuściwszy broń z ręki, padał z okropnym wrzaskiem na ziemię?

Wicherek, którego koń potknął się w biegu przez polankę, a przez to znalazł się poza pędzącą linią jeźdźców, widząc, że z tej strony nie dostanie się do środka walczących, zatoczył wielki łuk i wpadł na Litwinów z boku. Kopia skruszyła mu się zaraz przy pierwszym natarciu, a nie mając do miecza wielkiego zaufania, chwycił swój ciężki bojowy topór i puścił go w szalony ruch. Ten nie był bitwą zaślepiony. W tym chłopaku powolnym, beznamiętnym, tkwiło coś z zajadłości rysia. Nie rzucał się, nie uderzał bezładnie, ale wyrąbawszy sobie chodnik wśród wrażych oszczepów, tarczą umiejętnie zasłaniał się od ciosu, a toporem wymierzał tak straszliwe razy przeciwnikom, że rozwalał głowy jak gliniane czerepy, druzgotał i parł

naprzód powoli a ciągle. Wreszcie ujrzał przed sobą pustkę.

Parci piersiami końskimi i masakrowani toporami i mieczami Litwini z wrzaskiem rozsypali się po całym polu, goniąc ku koniom, stojącym pod lasem. Hrehory z drużyną puścili się w skok za nimi, tnąc uciekających z tyłu. Aliście nagle zaszła rzecz niespodziewana.

Uciekającym od przodu zajechał nagle drogę jakiś rycerz w ślniącej jak srebro zbroi, bez hełmu na głowie i począł gęstym trupem kłaść uciekających, dosięgając ich czymś ogromnym, grubym i długim. Ci uciekali przed nim, rzucając broń na ziemię, lecz ledwo kilku udało się dobiec do koni. Reszta legła na polu i przy mdłym świetle dogasających płomieni czynili wrażenie jakby pościnanych i pokładzionych na ziemi pni drzewnych.

Rozhasana po całym polu drużyna poczęła powoli ściągać do kupy i gromadzić się koło swego wojewody. Połączyli się z nimi i obrońcy gródka, sławiąc się nawzajem i hukając z radości. Byli to prawie sami czurczynieccy ludzie i zaraz poznali Hrehora i jego drużynę. Wielu rozbiegło się po polu w poszukiwaniu za rannymi towarzyszami. Z drużyny Hrehora kilku poranionych wyciągnięto spod koni, trzech leżało na polu ze strasznie pociętymi ciałami. Inni mieli draśnięcia, a większość zupełnie cało wychodziła z tej walki. Natomiast wrogów poległo blisko czterdziestu, a najwięcej padali w ucieczce, bądź to od mieczów ścigających ich, bądź od strasznej broni nieznanego rycerza w srebrzystej zbroi.

Ten właśnie, cisnąwszy ową broń, którą okazała się na wpół przepalona belka, udarta gdzieś z palisady,

ocierał zroszone potem czoło i zwolna podchodził do gromady druhów. Powitano go gromkim okrzykiem i wnet uczyniono przejście do środka koliska, gdzie Hrehory i kilku druhów opatrywało rannych. Otek poznał w nim zaraz owego rycerza, który w przeddzień ich wyjazdu do Lublina odwiedził starostę i który właściwie spowodował ich podróż. On zaś zobaczywszy Hrehora podszedł żywo ku niemu i wyciągając dłoń, zawołał radośnie:

— Witaj, władco siemiatycki, ozdobo rycerstwa, sumiastowąsy Hrehory! Witaj, zbawco czurczyniecki, witaj!

Hrehory pochylony był właśnie nad rannym druhem, kiedy go doszło to dziwaczne powitanie. Szybko podniósł głowę i uśmiech zaświecił na jego twarzy.

— Wasilko! — zawołał, chwytając jego wyciągniętą dłoń. — Wasilko Osiłek! Tyżeś to, czy mnie wzrok mój myli?

— To sobie spraw inny, jak cię ten myli — odrzekł z rubasznym śmiechem siłacz. — Cóżeś to tak zhardział, że nawet przyjacielowi a druhowi gęby dać nie chcesz?

— Wasilko! — wołał Hrehory, ściskając go. — Bodajże cię! Prędzej bym się diabła w Czurczynie spodziewał zobaczyć, niźli ciebie. Co ciebie tu przywiodło?

— To co i was wszystkich. Wojna!

— Ale skądeś się dowiedział, że Litwini tu wpadną? Dyć to skryty zakątek i bynajmniej nie przy drodze leżący.

— Com się miał dowiadywać? Jam tu był przed napadem.

— Tedy nam najlepiej opowiesz, co tu się stało i skąd się tu w tej pustce Litwini wzięli?

— Nawiódł ich tu wasz dawny przyjaciel.

— Nawiódł ich?... Przyjaciel? Człowieku, ćmisz czy co? Jaki przyjaciel?

— A Koniucha!

Hrehory i cała drużyna zatrzęsła się, jakby w nią piorun trzasł.

— Wasilko! — zawołał Hrehory — czyś na głowę upadł? Gdzieś widział Koniuchę?

— Jam go nie widział, alem dostał wiadomość, dlatego mogliśmy się skryć w gródku. Gdyby nie to, byliby nas tu zaszli i porżnęli jak barany.

— A kto was uprzedził?

— Hej! — zwrócił się Wasilko do czurczynieckich ludzi — wołajcie no mi tu tego zbójeckiego kamrata!

Kilku pobiegło do gródka, gdzie większa część ludzi zajęta była gaszeniem palisady i w mig przyprowadzili człowieka, w którym Hrehory ku najwyższemu swemu zdziwieniu, poznał jednego z tych zbójów wziętych na grobli, a potem tak wspaniałomyślnie udarowanych wolnością. Odruchowo spytał go:

— Ktoś ty chłopie:

— Zali to mnie nie znacie? — odparł tamten. — Zbójem byłem i przez was w łyka wzięty, kilka dni u was w lochu wysiedziałem.

— I tyś dał znać o napadzie?

— A ja!

— Przecz że to uczyniłeś?

— Bo wyście ludzie święci, a ja... podlec — zakończył, spuszczając głowę.

— A skąd Koniucha kamratów nabrał, kiej się wszyscy w bagnie potopili?

— Toście nie poznali? Dyć to Litwini. Poczekajcie, wszystko wam opowiem, jeno nie tu. Jam to do was jechać chciał, a tum jeno wstąpił, aby o napadzie powiadomić. Alem nie zdążył jechać dalej, bo już nas ogarnęli.

— Toś ty parł do Siemiatycz?

— A ino!

— Bez co?

— Aby was takoż uprzedzić. Koniucha zwąchał się z Litwinami i tysiączną watahę prowadzi na Siemiatycze.

Z ust zebranych wyrwało się straszliwe przekleństwo.

— Człowieku! — krzyknął rycerz, chwytając go za barki i trzęsąc jak osiką. — Bredzisz, czy chcesz nas okpić?

Zbójowi twarz pobladła. Wyciągnął rękę do góry i rzekł głośno:

— Wierzajcie mi! Niech mi tak przy skonaniu Bóg miłosiernym będzie, że wszystko, co gadam, prawdą jest. Wiedzie Koniucha tysiąc Litwinów na Siemiatycze i co go tylko tu nie widać. Siadajcie na konie, zabierzcie tych ludzi ze sobą, bo nie siedzieć im tu przy spalonych chatach i wracajcie, wracajcie jak najprędzej, aby na was Litwini przedtem nie nastąpili!

— A czemuż ci ludzie od kupy się odłączyli i na Czurczyn napadli. Czemu nie szli razem?

— Tak im kazał ten ich wódz, jakiś Ridgiełło, czy jak mu tam, aby szli naprzód, o wszystkim mu znać dawali i niszczyli wszystko przed sobą.

— Dy, oni drogi do Siemiatycz nie znają? Jakoż mieli iść?

— Dał im Koniucha Griszkę, aby prowadził.

— Gdzież ten łotr jest?

— Albo uciekł, albo leży gdzieś ubity.

— A tamta siła gdzie jest?

— Mieli iść za nimi wolniej, ale daleko oni nie są. Dlatego też i gadam, abyście precz jechali stąd do Siemiatycz, bo ich co tylko nie widać.

— Hej! Dzięciołek! — zawołał Hrehory.

— Tu jestem! — ozwał się głos z drużyny.

— Skoczno przeciwko Litwinom i obacz, co czynią. Tyś sprytny, wiesz, co masz czynić. Gdy wyjdą z puszczy na siemiatycką drogę, opuść ich i wracaj do gródka. Ino się ująć nie daj! Rozkazujęć!

Dzięciołek siedział już na koniu i gnał jak wicher w stronę lasów, nim Hrehory skończył mówić. Ten zaś rozkazywał dalej:

— Drużyna na koń! Rannych wziąć do środka, z kopij porobić drabiny i zabrać zabitych! A czurnieccy ludzie niech połapią litewskie konie i stawać tu! Pozapalać pochodnie, aby jasno było, bo pojedziem przez las. Żywo, żywo!

— Ty idziesz z nami? — zwrócił się do Wasilka.

— Cóż to? Chciałbyś, abym cię co ino obaczywszy, już rzucić miał?

— Bo myślałem, że do starosty wrócisz.

— Wrócę, ale naprzód pójdę z wami. Zamiast szukać starosty, bo i tak nie wiem, gdzie on jest, wolę bić pohańców, co mnie pół roku w lochach trzymały. Zresztą jam twemu panu i tobie służbę powinien, boście mnie z rąk tatarskich wydarli. Poczekaj jeno,

przywiodę sobie konia i miecz swój znajdę, co mi się gdzieś zatracił i ruszam z wami.

Za chwilę las pochodni pogrążył się w las drzew, krwawym blaskiem oświecając je i pozostawiając smugi dymu i kopciu pomiędzy gałęziami.

ROZDZIAŁ XXVI

w którym Domko, Arkaniukiem zwany, opowiada o siłach Lubarta

Pomykali teraz prędzej wśród lasu, tym prędzej, że jeden z czurczynieckich ludzi prowadził ich krótszą drogą, pasem częstych polanek, na których mogli puszczać konie w skok i jechać zwartą gromadą. Od kilkudziesięciu pochodni szedł krwawy blask, znacząc przed nimi drogę, tak że mogli doskonale widzieć przed sobą doły po wykarczowanych drzewach, czy bajurki leśne i omijać je w porę. Dopiero wyjechawszy na siemiatycką drogę musieli wstrzymać konie, ustawić się dwójkami i jechać wolniej z powodu wąskości drogi, wijącej się wśród bagien.

Jadąc wolniej, mogli ze sobą rozmawiać, z czego skorzystał Wasilko, trzymający się Hrehora i zagadnął:

— Słyszysz Kożemiaka! Kto zacz jest ten Koniucha?

— To nie wiesz, że to zbój, czortowy syn?

— Że on zbój, to wiem, bom nieraz o nim słyszał, ale co on ma z bojarynem za sprawę? Coś tam gadał ów kamrat zbójecki, ale nie było czasu więcej rozpytywać.

— A ty wiesz, kto to jest Bynka?

— Jużci, że wiem. Nieraz mi o nim gadałeś.

— Tedy wiedz, że Bynka i Koniucha to jedno. Dla innych ludzi on Koniucha, a dla nas Bynka. Ów, co was uprzedził o napaści, nic ci o dniach ostatnich nie wspominał?

— Coś tam gadał o bojarynie, o jakimś księdzu, alem nie mógł do końca tego wysłuchać, bom musiał czurczynieckich ludzi ratować.

— Tedy posłuchaj, ja ci wszystko opowiem, bo u nas zmiany wielkie na gródku i dobrze, jak o nich dowiesz się ode mnie, nim jeszcze do Siemiatycz dojedziemy.

Tu mu wszystko opowiedział, zaczynając od tego, jak Lisek z towarzyszami ostrzegli ich przed Koniuchą, jak on Hrehory zbadał tajemnicę Liska, jakie szczęście wstąpiło w dom bojaryna dzięki księdzu i jemu. Wasilko słuchał, pochowawszy głowę w ramiona, tylko od czasu do czasu wyrywał mu się z ust okrzyk niedowierzania.

— Dziw! — rzekł wreszcie. — Ja myślałem, że cuda jeno na świętych miejscach się dzieją, a tu widzę, że i u was na gródku nie brakło ich. Córka ozdrowiała, syn się znalazł, a największym pono cudem mi się wydaje, że Siemiaszyc pomsty poniechał i onego łotra z rąk wypuścił. Hę? Jak miarkujesz, dobrze uczynił?

— Sam nie wiem. Słodką jest pomsta poniektórym ludziom, ale gdybyś był widział ową chwilę, w której bojaryn onemu mężobójcy rzekł: „Odpuszczam ci“ obaczyłbyś, że słodsze jest miłosierdzie. Widno jednak ten człowiek czarta ma w sobie, kiej po tym wszystkim

poważa się jeszcze dobrodzieja swego nękać. Mnie jeno to dziwno, gdzie on się z Litwinami zwąchał i czym ich skusił do Siemiatycz?

— Trzeba by owego pachołka zbójeckiego dobrze rozpytać. Zawołaj go!

— Hej, ty! Jak cię tam zowią? — zwrócił się Hrehory do zbója, jadącego przodem z czurczynieckim przewodnikiem. — Pójdź no do mnie!

A gdy ten zbliżył się — zapytał:

— Jak ciebie zowią, bo mi cię cudno zbójem nazywać, kiedyś nas poczciwie o wszystkim uwiadomił.

— Doma wołano mnie Domko, a kamraci zwali mnie Arkaniukiem, bo przednio ciskam arkanem, ale mi ta nazwa ninie niemiła, przeto lepiej wołajcie na mnie tak, jak mnie doma nazywano.

— Słysz tedy Domko! Do Siemiatycz już niedaleko, a my musim wiedzieć, czego się trzymać. Ty nam powiedz, jak to było z Koniuchą, gdzie on Litwinów napotkał i gdzie wy się rozeszli? Tak nam opowiedz, abyśmy wszystko wiedzieli.

— Powiem, panie. Potom i jechał do was, aby wam to opowiedzieć. Zaśbym tam miał milczeć. Wszystko opowiem. Jenom tam nie chciał się rozgadywać, bo w tym rzecz, aby was Litwini nie capnęli.

— Kiedy ów święty staruszek — bogdaj tyle lat żył, ile ja grzechów mam na swym sumieniu — zeszedł do nas do lochu i rozpytywał się Koniuchy o bojaryna i syna, jam pierwszy raz wtedy zohydził sobie zbójnictwo. Trzeba wam wiedzieć, że mnie oćca i matkę Tatarzy ubili i odtąd jam się wałęsał po świecie, ażem do Koniuchy przystał. Alem rodzicieli swoich nigdy nie zabaczył. Kradłem, rabowałem i ludzi

zabijałem — Boże mi odpuść — i myślałem, że czynię tak jak wszyscy, aż mnie ów święty staruszek nawrócił. Obiecał on, że się za nami wstawi do bojaryna i życie nam wyjedna, jeno nas prosił, byśmy więcej złego nie czynili. Jam sobie też tak w sercu i przyrzekł wtedy i kiedy na drugi dzień bojaryn nas puścił, wyszedłem ze zbójami wprawdzie, ale już zbójem nie byłem.

— Z początku szliśmy milcząc, bo i co było po tym wszystkim gadać. Ale gdyśmy przeszli groblę i weszli w las, zarechotał Koniucha na całe gardło. Durny on — powiada — batiuszka! Myślał, że się na parobka zgodzę. Ja wolny człowiek, panować będę, a służyć nie. Onemu — tu zaklął szpetnie na bojaryna — odsłużę jeszcze, ale po mojemu. Co się raz nie uda, to się drugi raz udać może, a swego mu nie daruję. — Co wam tam będę opowiadał całą jego gadaninę. Szarpał się, klął i odgrażał, inni z nim, a najwięcej ów Griszka przeklęty. Jam milczał, bom się bojał, aby mnie w lesie nie zakatrupili, gdybym się im sprzeciwił. Głucha już była noc, kiejśmy światło wśród lasu ujrzeli i tam poszliśmy. Koniucha ostawił nas pod drzewami, a sam poszedł obaczyć, co ono tam takiego świeci. Długo nie wracał, a wróciwszy przywlókł ze sobą kilku innych ludzi i razem poszliśmy do ognisk, których kilka paliło się na polanie wśród boru. Ludzi tam było sporo, a coraz to insi przychodzili jeszcze, tak że było tego jak mrówek w mrowisku. Z tego, po jakiemu mówili, poznałem że to byli Litwini, bom mowę ich słyszał dwa roki temu, kiedy przez pół Lwów spalili. Kilku ich tam z ruska gadało, więcem się od nich dowiedział, że są w przo-

dzie wojsk Lubarta, że oto teraz mają dojść do Rokitny i tam czekać na kniazia, aby się z nim razem rzucić na Lwów.

— Rankiem poszliśmy z nimi. Byłbym od razu uciekł od nich, bo mi żal było patrzeć na zniszczenie, jakie sprawiali w pochodzie. Co jakąś wieś naszli, palili zaraz i niszczyli. Całe szczęście, że ludzie przed nimi w puszczę uciekali, ale i tych gdzie ino dopadli — mordowali. Ale mi się Koniucha nie podobał. Ciągiem jeno przy ich dowódcy jechał, kłaniał mu się a podśmiechiwał, a podszeptywał, widno go do czegoś namawiał. Nie spuszczałem go z oka i jako się okaże dobrzem uczynił.

— Pod Rokitną, którą straszliwie zniszczyli, rozłożył się już Lubart z całym swoim wojskiem. Ma on tych ludzi, oj ma! Aż mrowie przechodziło po człowieku, patrząc na ono pole pełne kudłatych Litwinów w skóry różne odzianych i zbrojnych Wołyńców. Jest tam i kilku wołynieckich bojarów przy nim ze swoimi drużynami, jest i Tatarów kilka secin, dla których wszystko jedno, komu pomagają, byle jeno niszczyć, palić i mordować mogli do woli. Staliśmy tam bez trzy dni, bo Lubart raz wraz wypatrywaczy wysyłał, albo i oddziałki małe na różne strony, chcąc poznać, gdzie wojsko królewskie siedzi. Ale ni tych wypatrywaczy, ni oddziałów powracających jam nie widział. Widno starosta kryje się gdzieś na boku i co jeno się od wojska odłączy — niszczy.

— Wreszcie wczoraj pod wieczór zebrał nas Koniucha, przyłączył do onego oddziału, który nas zachwycił i ruszyliśmy w puszczę. Do rana przedzieraliśmy się przez las chyłkiem, widno aby nie napotkać

starosty, aż rankiem dobiliśmy do gościńca i tu stanęliśmy. Ów Litwin Ridgiełło, czy jak mu tam, wysłał wypatrywaczy, a my rozłożyliśmy się przy gościńcu w lesie, aby wypocząć. Podszedłem potem do Griszki, przepytać go, dokąd to idziemy i od niegom się wszystkiego dowiedział. Rzekł mi, że Koniucha namówił owego Litwina, aby się w te strony na Siemiatycze wybrał, że to gródek lichy, a w rzeczy samej bogaty, łupu sporo przyniesie. Że on Griszka pójdzie przodem na Czurczyn i inne posiadłości bojaryna, palić je i niszczyć i drogę znaczyć całemu oddziałowi, a dopiero przed siemiatycką groblą zaczeka, aby się z resztą połączyć. Mieli wyruszyć pod wieczór, jak wypatrywacze dobrze drogę zbadają i żeby w nocy wpaść na Czurczyn, ludzi w nim śpiących zastać i wybić, a rankiem dotrzeć do grobli i tam czekać.

— Uczyniło mi się żal was, boście ludzie święci, a najwięcej onego księdza i starego bojaryna. Umyśliłem tedy dać wam znać i w Czurczynie zapowiedzieć o napaści. Ale nie mogłem wymknąć się z lasu, bo nas tam wszystkich ruskich ludzi Litwini pilnowali i precz któryś za mną chodził. Jużem się bojał, że na niczym spełzną moje dobre chęci, aliści kiedy w południe wyszliśmy szukać źródła, by konie napoić, udało mi się na bok oddalić i zemknąć. Gnałem co koń wyskoczy, ale widno musiałem drogę zmylić, bo ledwie pod wieczór dopadłem Czurczyna. Szczęściem był tam ów rycerz, co teraz przy was jedzie. Temum wszystko opowiedział, a on ludzi czurczynieckich uprzedził, na gródek ściągnął i do obrony przygotował. Otoczyli nas wprędce, a tak i zostać musiałem i bić się z nimi, co może mi Pan Bóg za bywsze grze-

chy moje policzy, alem wam nie zdołał już dać znać o napaści. Szczęściem przybyliście ratować i Bóg wam to od razu wynagrodził.

— Oby nam też i dopomógł! — westchnął Hrehory. — Ile powiadasz ludzi ma ów pogański syn Ridgiełło?

— O! będzie ponad tysiąc.

— A nas z tymi oto czurczynieckimi ludźmi i z siemiatyckimi nie będzie więcej jak dwie setki.

— Ale gródek wasz mocny — zauważył Wasilko.

— Mocny on jest, ale gdyby nas oblęgać chcieli, nie wytrzymamy; za mało na gródku spyży dla tylu ludzi. Nie wystarczy i na tydzień.

— Za tydzień w inakszy sposób wyratować się można. Po wtóre, skąd wiesz, że będą nas oblęgać. Miarkuję, że chcą na niespodziewających się napaść, a kiej się im nie uda, odejdą precz.

— Może i to być, ale ty nie znasz Bynki. Uparty to czort i tak długo nie spocznie, aż swego nie dopnie.

— Kiedyście wiedzieli, że taki, po coście go puścili?

— Wola Boża! On jeden wie, co w sercu ludzkim się dzieje i On jeden nim rządzi... A ty skądeś się znalazł w Czurczynie?

Włodko zamiast odpowiedzi zwrócił się do Domka:

— Ruszaj chłopie naprzód i dołącz do przewodnika! Jeśli żyć będziemy i Litwini nas nie wezmą, tedy nagroda czeka cię wielka. Zabaczymy, żeś był zbój, a wynagrodzimy jak poczciwego człowieka.

— Nie dla nagrody to uczyniłem, a tylko żeby miłosierdzie boskie uzyskać — rzekł Domko smutnie i ruszył koniem naprzód.

— Pytałeś mnie, com robił w Czurczynie? — spytał Wasilko.

— No?

— Tedy wiedz, żem od starosty był posłany do Krakowa, do króla po posiłki.

— I dotarłeś doń?

— A nie! Nie dotarłem i nie trzeba było docierać. W Sanoku napotkałem bywszego starostę Ottona z Pilczy i on prowadzi posiłki.

— Powiedz to temu młodzieńcowi, co za nami jedzie, a ucieszy się. Hej, Mieczku — zwrócił się do Otka — ów rycerz Wasilko parę dni temu oćca twego widział.

Otek z radością poskoczył do Wasilka.

— Oćca mego widzieliście? Naprawdę? Gdzieście go widzieli?

— W Sanoku jest. Na posiłki węgierskie czeka i wraz wyruszy tu, aby Lubarta precz przepędzić.

— O Jezu! Tatuńcio tu jedzie! — cieszył się chłopak. — A to się matula ucieszą! Już rok będzie, jak z królem wyjechał i znaku życia nie daje.

— Jeno by na czas zdążył — mówił Wasilko. — Siły starosty Abrahama marne są i nie wskóra on nic przeciw Lubartowi, któren potęgę ma wielką. Dobrze to jest tylko, że się bojary ze starostą łączą, to może odgryzać się do czasu będzie i do grodu ich nie dopuści. Gdyby Lubart starostę ominął, a na gród wpadł, ostatnia nań godzina przyjdzie. Czego nie zniszczył dwa roki temu, zniszczy teraz. Całe szczęście, że ludziska z grodu precz uciekli, bo jakem tamtędy rankiem jechał, anim żywej duszy nie widział.

— A ty po co do grodu jechał?

— Jakto po co? Starostę chciałem zobaczyć i sprawę jemu z poselstwa zdać.

— Toś się jeszcze zę starostą nie widział?

— Samem się nie widział, alem mu rzecz wyjaśnił przez jednego pachołka starościńskiego, któren wie, gdzie on być może.

— A tyś do niego sam nie jechał już?

— Przecie, żem jechał. Chciałem go szukać, jeno kiedym popasał w Czurczynie, przybiegł ów Domko z wieścią o napadzie. Zostałem więc, by tych ludzi ratować, bo całkiem potracili głowy. I tak mi zeszło aż do waszego przybycia. Teraz nijak mi do niego jechać, bo on trzyma się w pobliżu Litwinów i mógłbym się łacno na nich natknąć. Pan Bóg dał mi krzepę w kościach jak rzadko komu, ale siła złego na jednego. Jużem raz tego próbował i bez to pół roku u nich w lochu przesiedział. Ninie nie ma głupich. Raczej ich bił będę w towarzystwie, a nie rzucał się sam jeden na nich, jak głupiec. Staroście o posiłkach powie ów pacholik, bom się z nim umówił, żeby w te pędy spieszył do niego z wieścią.

— Toś dobrze uczynił, a że chcesz nam pomóc, niech ci Bóg wynagrodzi! Tak żelazne ręce jak twoje za dziesięć innych staną.

Tymczasem wyminęli już groblę i zbliżali się do Siemiatycz. Pochodnie wzięte z Czurczyna dawno się wypaliły, ale i światła już nie trzeba było, bo krótka noc majowa ustępować zaczęła i świt ogarniał powietrze. Ruszyli teraz żwawiej naprzód i niedługo znaleźli się przed zwodzonym mostem siemiatyckiego gródka. Hrehory pchnął zaraz kilku ludzi do Siemiatycz, aby tamtejszą ludność ściągnęli natychmiast do

gródka i przykazał, by każdy z Siemiatyczan zabrał ze sobą bydło i konie, przez co powiększy się zapas jedzenia. Sam przybywszy na dziedziniec, zabrał ze sobą Wasilka i chłopców i poszedł obudzić bojaryna.

ROZDZIAŁ XXVII

w którym Włodko dziwi się na widok wychodzących ze studni

Wieść o zamierzonym napadzie Litwinów i o niecnym uczynku Koniuchy podziałała na mieszkańców gródka, jak piorun z jasnego nieba. Nikomu po prostu wierzyć się nie chciało, żeby znalazł się taki człowiek bez krzty sumienia, knujący tak haniebną zdradę przeciw ludziom, którzy w rzeczy samej nie uczynili mu nic złego. Stracił niegdyś oko, to prawda — ale mu go umyślnie nikt nie wybił, jeno wypadkiem w zabawie i gdyby wówczas nie był zionął zemstą i nie uciekł z gródka, byłby mu bojaryn z pewnością ból jego i połowiczne kalectwo szczodrze wynagrodził. A tak... ileż nieszczęść spowodował, na ile cierpień skazał mieszkańców gródka! A kiedy w chwili szczęścia wszystko to mu przebaczono i darowano w imię Boga, on niepomny na nic, ni na dawne krzywdy, jakie wyrządził, ni na wspaniałomyślne darowanie mu życia, w ogniu i krwi zemstę swoją chce utopić. Jeśli bojaryn upojony szczęściem przebaczył mu, to uczynił to i dla okazania wdzięczności Bogu i dlatego, że serce mając dobre, nie chciał aby, gdy on jest szczęśliwy, ktoś przez niego cierpiał. Ninie wydał się on zbój wszystkim tak nie mający w sobie nic ludzkiego, że powątpiewano, czy to na prawdę

jest człowiek, czy też złość i pycha szatańska oblekła się w posturę człowieczą dla przeciwstawienia się miłosierdziu i dobroci bożej.

Z tym wszystkim jednak niebezpieczeństwo było bliskie i trzeba było radzić, jakby go uniknąć. Spodziewano się, że Litwini, natrafiwszy na trupy pobitych pod Czurczynem, zatrzymają się, niepewni kto ich pobił. Na pewno będą myśleli, że z boku następują na nich ludzie starościńscy i to ich w pochodzie zatrzyma. Skryją się w puszczy, bo nie znając sił starosty, bać się będą, aby ich nie nakrył i wyślą wypatrywaczy. To potrwa z pół dnia, tak że prędzej się ich jak na wieczór nie ma co spodziewać. A do tego czasu można się dobrze do obrony przysposobić. W gruncie rzeczy nie bano się samego napadu; gródek był mocny, wodą okolony, obrońców do obrony wałów sporo, a broni wszelakiej zapas wielki, starczyć mógł na pewną obronę. Bano się tylko długiego oblężenia. Zapasów jedzenia było niewiele, a gąb tyle, że choćby porżnięto wszystko bydło siemiatyckich ludzi i takby to starczyło ledwo na tydzień. A co potem? Głód zmusiłby ich chyba do rozpaczliwego przebicia się przez wrogów, bo czy z głodu, czy z rąk pogańskiej tłuszczy, tak czy tak śmierci by nie uszli.

Jeden tylko ksiądz spokojnie rozumował:

— Nie strachajcie się — mówił. — Nie da nam Bóg zginąć. Miarkuję sobie, że jeśli starosta bokami wojsk litewskich chadza, łatwo na ów oddział, prowadzony przez Koniuchę natknąć się może. Po drugie, jeśli nam źle będzie i głodno, im też nie lepiej. Nas mniej będzie, łatwiej się czym bądź zadowolimy,

im zaś w zniszczonym wojną kraju gorzej będzie o spyżę się starać; a ich więcej. Nie wierzę tedy, by nas długo oblęgać mieli. Zechcą nas raczej od razu wziąć i na to przygotować się trzeba.

Na to Hrehory pokręcił niedowierzająco głową i rzekł:

— Mówicie tak, oćcze wielebny, aby nas nie straszyć. Starosta będzie pilnował Lubarta, bo jemu o gród chodzi i w naszą stronę ani popatrzy. Chybaby mu kto znać dał, a kto tego dokona? Musiałby ów tą samą drogą jechać, która już pewno przez Litwinów jest zajęta. Nie! nielża nam liczyć na starostę...

— Tedy liczmy na własne siły — odezwał się milczący dotąd Lisek. — Myślę tak, jako i ociec wielebny, że nas długo oblęgać nie będą, a zaś na napad przygotujem się. O jedno mi jeno chodzi: co zrobimy z niewiastami?

— Jak to, co zrobimy? — spytał Hrehory. — Ukryją się w domu, jeść nam będą warzyć, wodę grzać i — nie daj Boże ognia — gasić go będą.

— Siemiatyckie niewiasty będą to czynić, pewno. Bez tego rady nie damy. Ale pomyślcie o naszej doneczce, o Marychnie i pani starościnie. Zali one wystawiać będziemy na wraże strzały?

Na to starościnie zabłysły oczy i zawołała prawie że z gniewem:

— Zali myślisz, że tam gdzie mój syn będzie, ja mu nie dotrzymam? Ja, żona rycerza i córka kasztelana spod krzyżackiej granicy. Dla mnie takie sprawy niestraszne. Miałabym gnuśnieć w komnacie, gdy wy piersiami swymi nas zasłaniać będziecie? Nie spodziewaj się tego po mnie!

— Ani po mnie! — dodała Marychna. — Gdzie wszyscy, tam i ja. Nie nowina mi łuk naciągnąć i strzałę puścić. Pomogę, w czym zdolę.

— Daremna twoja mowa — uśmiechnął się ksiądz do Liska, a potem rzekł do niewiast — ale i wasza daremna. Nie będą rączki wasze naciągać łuku, ani procą wywijać. Ja wam wojewodą będę. Nagotujemy pasków płóciennych, nawarzymy maści i ranionych opatrywać będziem, a zbolałych pocieszać. Zabijanie pozostawmy tym, którzy są od tego, nam danym jest nie zabijać, lecz leczyć, nie ranić, lecz koić rany. Patrzcie na oną białą lilijkę — wskazał na Romiłę — zali z jej ręki ma padać śmiercionośny pocisk? Pozostawcie to rycerzykom swoim, a oddajcie się mnie i dziełu miłosierdzia.

— Radźmy tedy, jak się bronić! — rzekł bojaryn.

— Co tu jest radzić? — ozwał się Hrehory. — Zatoczym na wały katapulty, beczki ze smołą przygotujem, aby je — gdy w noc napadną — zapalić i kamieni z lochu naznosim, ile miejsca starczy. Baszty i wały obstawim dobrymi łucznikami, a strzał mamy dosyć. Wasilko będzie bronił bramy i dziedzińca, Makar ogrodu, a ja będę wszędzie.

— A my? — zapytał Wicherek.

— Wy na wałach. Widziałem, jakoś się w nocy spisywał, nie bój się. Tak, wiecie, gasił ludzi, jak kościelny świece, jeno mu toporzysko w dłoni furczało. Wy paniczku — zwrócił się do Liska — ostańcie z ojcem.

— A coś ty myślał — zgniewał się bojaryn — że ja na wały nie pójdę?

— Nielża wam, panie! Zanadto cenne nam wasze życie.

Ale bojaryn rozsierdził się nie na żarty:

— Ja, rycerz i pan tego grodu, miałbym w komnacie siedzieć i za wasze piersi się kryć? Wolejbym nie doczekał tego; toć to srom dla mnie. Ja z Buśkiem na wały pójdę jako i wy. Lepsza mi śmierć, niż srom.

— A ino — przytaknął Lisek.

— Aleście jeszcze słaby — bronił się Hrehory.

— Takim słaby jako i wy. Zdrów jestem, a bronić mam kogo.

Tu spojrzał rozmiłowanym okiem po ojcu, siostrze i Marychnie i dodał:

— Szkoda wam słów tracić. Gdzie wy, tam tatulo, gdzie tatulo, tam i ja!

— Niech się dzieje wola boża — westchnął Hrehory. — Idźmy przygotowania czynić, bo już słyszę na dziedzińcu siemiatycki lud się zbiera.

— Deus vos benedicat — przeżegnał ich ksiądz, a zwróciwszy się do niewiast, rzekł:

— A wy jagódeczki za mną!

Na dziedzińcu rzeczywiście panował już ruch i gwar niebywały. Przez otwartą bramę wchodziły coraz to nowe gromadki ludzi, pędząc przed sobą bydło i konie i dźwigając na plecach worki ze zbożem. Matki trzymały na rękach lub prowadziły dzieci, płaczące na widok łez rodziców i ogólnego lamentu. Przewalało się to wszystko po dziedzińcu, ludzie ze Siemiatycz, Czurczyna, drużyna, bydło i wozy, wszystko pomieszane ze sobą, krzyczące, nawołujące się, rozlamentowane i niepewne, co się dzieje.

W tę ciżbę ludzką zanurzył się Hrehory i począł

czynić porządek. Kazał bydło i wozy zaprowadzić do stajen i ogrodu, poprzywiązywać dobrze, a wszystkim zejść się na dziedzińcu pod gankiem. Niedługo trwało, a usunięto wszystko z dziedzińca, co mogłoby w obronie przeszkadzać, a gromada ludzi zebrała się pod gankiem, oczekując na wiadomości i rozprawiając głośno.

— Bodaj z piekła nie wyjrzał ten pies! — krzyczał jeden ogromny chłop, wygrażając pięścią w stronę siemiatyckich lasów. — Popalą nam chałupy, ani chybi...

— Dobrze jeszcze wyjdziemy na tym — przerwał drugi — byleśmy jeno cało stąd wyszli. Drzewa w lesie dosyć, a życie jedno!

— Słusznie prawi — przytaknęli inni. — Byleśmy jeno stąd uszli cało!

— Co nie mamy ujść — odezwał się jakiś starzec. — Piętnaście roków temu ćma Tatarów oblegała nas, a tak i uszliśmy.

— Tak, ale wtedy bojaryn Juryj odpędził Tatarów, a ninie kto nam pomoże?

— Bóg! — wyrzekł głośno ksiądz Grzegorz, który właśnie pojawił się na ganku z bojarynem i chłopcami.

— Ufajcie! — wołał dalej. — Bez woli bożej i włos z głowy wam nie spadnie! Jeno wiarę miejcie w sercu, a nadzieję w Bogu! Nie opuści On was pewnikiem, pocieszy, poratuje, straty wynagrodzi.

— Jeno mężnie stańmy przeciwko wrogowi! — rzekł bojaryn. — Wały nasze silne, strzał i łuków nie zbraknie, jeśli i męstwa nie zbraknie, odpędzim wroga precz od naszych progów!

— Daj Bóg! — odkrzyknęli co ochotniejsi.

Ale inni poszeptali coś między sobą, a spośród

nich wystąpił ów chłop, co to pierwszy wygrażał Koniusze i skłoniwszy się bojarynowi począł lamentować :

— Choćbyśmy wroga stąd odpędzili, z czego żyć będziemy, gdy nam dobytek popali, a pola stratuje?

— Nie strachajcie się — pocieszał bojaryn. — Mam ja dość drzewa, aby was pobudować i z głodu zginąć wam nie dam. Zaliście to mi przestali ufać?

— Nie! nie! Wyście pan dobry! — krzyknęli chórem.

— Tedy ufajcie dalej i brońcie się! Wrogów pięć razy więcej od nas, ale każdy z nas za dziesięciu stanie, bo będziem bronić swoich dusz i swoich dzieci. A jeśli który z was padnie, a ja żyć będę, rodzina jego pierwszą moją troską będzie. Nie biadajcież tedy, nie lamentujcie, jeno w dobrej myśli chwyćcie za broń. Uczyńmy wszystko, co możem, a resztę zostawmy Bogu. On nam zginąć nie da!

Nagle ze środka tłumu odezwał się potężny głos Wasilka :

— Hej dziatki! Nad czym tu jest radzić? Pójdźcie do zbrojowni! Każdy dostanie oręż i hajda na wały! Szkoda gadać, kiedy wróg na karku siedzi. Co tam będziecie się trapić, co potem będzie? Czy to was raz pohaniec zniszczył, a bez to z głodu nie pomarliście. Hajda za mną!

— Słusznie prawi! — huknęło kilka głosów.

— Niech ten pies Koniucha trapi się, jak stąd wyjdzie, a nie my! — krzyczeli inni.

— Do zbrojowni! Do zbrojowni!

— Czasu szkoda!

Dziedziniec rozegrzmiał gwarem głosów i nawoły-

wań. Opuszczono ganek i cały tłum mężczyzn ruszył za Hrehorym i Wasilkiem przed budynek, stojący tuż przy baszcie, gdzie była zbrojownia. Za chwilę szczęk broni pomieszał się z ludzkimi głosami i w rękach stojących na dziedzińcu poczęły pojawiać się topory, miecze krótkie i długie, włócznie, dzidy, cepy żelazne i widły. Wytaczano olbrzymie katapulty do ciskania kamieni i ustawiano je na wałach, a na środku dziedzińca przygotowywano kotły na żelaznych trójnogach i rzucano w nie kawałki smoły. Do innych kotłów niewiasty nosiły wodę ze studni, znajdującej się tuż przy dworze, a żuraw skrzypiał bezustannie. Nie widać było nikogo na dziedzińcu czy we dworze, kto by nie miał czegoś w ręce, z czymś nie szedł lub czegoś nie robił. W ogrodzie rozpaliły niewiasty ognie, przy których na rożnie obracano całe połcie mięsa, lub na rozpalonych kamieniach pieczono placki. Ruch i krzątanina zastąpiła niedawny lament.

Bojaryn i chłopcy chodzili po dziedzińcu i po wałach, ustawiając katapulty i kierując tymi, którzy skądś spod jednej z baszt taszczyli mniejsze lub większe kamienie. Kładziono je przy katapultach, aby były pod ręką. Inni smarowali sznury przy katapultach i zębate koła łojem, aby lekko nakręcały się. Takimże łojem smarowano i cięciwy łuków i kusz, a beznogi Tatarzyn nagromadził przy sobie całą stertę tej broni, próbując wytrzymałości cięciwy i przygotowując strzały. Wokoło otoczyła go grupa chłopów i druhów, podając mu swoje łuki lub odbierając już wypróbowane, przy czym docinano mu, choć niezbyt zjadliwie. Druhowie polubili go od pierwszej chwili, tym bardziej, że jego kalectwo i pokora wszystkim

podobała się. On zaś szczęśliwy był, że nareszcie po długiej nędzy znalazł się wśród ludzi, którzy nie pokazywali mu na każdym kroku pięści, ale serdeczny uśmiech. Rad byłby więc teraz pomóc w ogólnej pracy i pomagał, jak mógł i jak umiał, a na docinki odpowiadał uśmiechem i błyskiem skośnych oczu.

Tymczasem Hrehory z Wasilkiem rozdawszy broń i zamknąwszy zbrojownię, ruszyli na wały przypatrzyć się katapultom. Było ich przeszło dwadzieścia, a każda miała silne, z pni drzewnych zbudowane łożysko i z grubej deski wyrzutnię, napiętą za pomocą sprężyny do łożyska. Przy każdej stała kupa większych lub mniejszych kamieni, a pomiędzy nimi dwa lub trzy kotły, do których miano wlewać smołę lub ukrop. Oparte o nie leżały żelazne czerpaki.

Oglądnąwszy wszystko dobrze, przywołał do siebie Hrehory chłopaków i zaprowadził ich do ogrodu pełnego gwaru, ryku bydła i gryzącego dymu z rozpalonych ognisk. Zaszli na przeciwległy koniec ogrodu pod wał i wysuniętą przed nim basztę. Ludzi tu nie było, tylko zza krzaków, ze środka ogrodu dochodził gwar zmieszanych głosów. Zatrzymali się tuż przed drzwiami, prowadzącymi do baszty, a Hrehory począł oglądać się dookoła. Podszedł do krzaków, rozchylił je, wyszedł na wał z jednej strony i z drugiej i wreszcie wrócił.

— Nie dziwcie się — rzekł do zdziwionych jego zachowaniem się towarzyszów. — Chcę wam pokazać coś, czego krom was nikt widzieć nie śmie. Różnie być może. Może nam trzeba będzie uciekać, może sami ostaniecie jeno. Przeto trzeba wam wiedzieć, jak się z ostatniej nędzy ratować. Tu w tej baszcie

jest wejście do lochu, który wiedzie aż poza Siemiatycze w ów zagajnik, co go stąd widać. Nikt o nim nie wie, krom mnie, bojaryna i tych pięciu, którzy go kopali i umacniali. Ci zaś przysięgli na rany Chrystusa, że nikomu o tym nie powiedzą. Zresztą ich tu nie ma.

— Wszakże ongiś Koniucha przy wychodzeniu z lochów uchwycił nieboszczkę bojarynę — odezwał się Wasilko.

— Nie przy tym lochu. Tamten zasypaliśmy kamieniami, które zrzucać ninie będziemy na wraże głowy. O tym lochu nie wie nikt, krom tych, o których mówiłem, no i krom was, bo go wam właśnie chcę pokazać.

Tu skierował się ku drzwiom baszty, otworzył je i już miał wejść do środka, gdy go zatrzymał Lisek.

— Czekajcie no Hrehory! — rzekł. — Warto by zejść w ów loch i przejść go cały, bo może gdzieś we środku zawalił się i w razie czego zaparłby nam drogę do ucieczki.

— Tak i uczynim.

— A zaś tam pewnikiem ciemno, czemże sobie poświecicie?

— Nie strachajcie się, sokoliku jasny — pocieszał go Hrehory. — Wszystko się znajdzie. Spojrzyjcie no za siebie, czy nas nikt nie widzi i chodźmy do środka.

Oglądnąwszy się raz jeszcze, weszli do środka baszty, a Hrehory natychmiast zamknął za nimi drzwi i założył od środka drewnianą zasuwą. Otoczyła ich ciemność zupełna, w której rozległ się huczący w tej pustce głos Hrehora.

— Stójcie na miejscu, aby który głową o schody nie uderzył. Zaraz będzie jasno.

Dał się słyszeć trzask odsuwanej okiennicy i nagle przez otwarte okno w przeciwległej ścianie buchnęło światło. Teraz zobaczyli, że stoją jakby w obszernej izbie o grubej, z krąglaków ułożonej powale, w której na środku wycięty był kwadratowy otwór. Od tego otworu wiodła szeroka drabina, której szczeble zrobione były z desek, jak przy schodach. Oprócz tych schodów i ogromnej kadzi, wypełnionej po wierzch piaskiem, żadnego innego przedmiotu w baszcie nie było.

— Tę kadź trzeba nam odsunąć, zakrywa ona bowiem otwór do lochów. Nuże Wasilko, pomóż mi!

We dwóch odsunęli ciężką kadź, pod którą w podłodze ukazał się kwadratowy otwór, przykryty luźnymi deskami. Hrehory podniósł deski, poukładał je pod ścianą, a potem podszedł znowu ku kadzi. Odgarnąwszy z wierzchu piasek, zanurzył w głąb ręce i wydobył dwie pochodnie, silnie nasmołowane.

— Trzymaj! — rzekł, podając je Wasilkowi. — Dwie będzie mało.

Trzykrotnie jeszcze zanurzał ręce do kadzi i za każdym razem wyjmował po dwie pochodnie.

— No! będzie tego dość! Potrzymajcie te łuczywa, a ja tymczasem skrzesam ognia i jedno z nich zapalę.

Za chwilę rozszedł się po baszcie smrodliwy dym nasmołowanego łuczywa, pryskającego iskrami i mocno kopcącego.

— Chodźmy! — rzekł Hrehory podchodząc do otworu. — Ze dwa pacierze trzeba iść bez ten loch.

— A mnie się nie widzi, aby to było dobre, byśmy wszyscy mieli iść do lochu — przemówił Lisek.

— Zaś czemu? — zdziwił się Hrehory. — Dyć loch jest silny i nie zawali się nad nami.

— Nie o to idzie. My możemy wszyscy pójść, ale jeden z was, albo wy Hrehory, albo wy Wasilko musicie ostać tutaj. Nie wiadomo, co się stać może. A nuż Litwini nastąpią niespodzianie. Kto będzie dowodził ludźmi? Miarkuję, że lepiej by było, abyście Hrehory ostali tutaj, a my sami pójdziemy jeno z Wasilkiem.

— Słusznie prawi bojarynek — przytaknął Wasilko. — Nielża wojewodzie w taki niepewny czas opuszczać gródka. Ostań, a my pójdziemy.

— Ha! kiedy tak mi przykazujecie, to idźcie, jeno wracajcie migiem, bo się będę niepokoił. A uważajcie, bo tam w niektórych miejscach mocno zacieka woda i ślisko jest, aby który nie upadł.

— Tedy nie zwlekajmy — nalegał Wasilko. — Ja zejdę pierwszy.

Poświecił sobie w otworze, a natrafiwszy na szczebel drabiny począł się opuszczać w dół, trzymając w ręku świecącą pochodnię. Resztę pochodni nie zapalonych rozebrali chłopcy pomiędzy siebie i poczęli jeden po drugim zanurzać się w otworze. Ostatni zeszedł Lisek.

Znaleźli się w obszernej komorze podziemnej, podpartej deskami i kraglakami drzew, wilgotnej i pełnej piwnicznych wyziewów. Powietrze było zepsute, ale pochodnia świeciła jasno i oddychać można było bez trudu. Przed nimi otwarła się czeluść lochu, z którego wiało owo zatęchłe powietrze. Loch był wysoki, tak że mogli iść wyprostowani i trzymać jeszcze nad gło-

wą pochodnie, a szeroki taki, że mogli wygodnie iść we dwóch, nie ocierając się o ściany.

— Niech no który jeszcze zapali od mego swoje łuczywo — rzekł Wasilko. — Za ciemno nam będzie przy jednym łuczywie obejrzeć dobrze chodnik.

Otek przytknął swoją pochodnię do łuczywa Wasilka, zapalił ją i ruszyli w głąb chodnika. Wasilko z Liskiem na przedzie, potem Wicherek z Juraszkiem, a na końcu Otek z mocno pryskającą pochodnią. Chodnik początkowo zniżał się w dół dość stromo, tak że musieli trzymać się ścian, aby nie pośliznąć się po lepkiej błotnistej drodze. Zapewne przechodzili pod fosą, otaczającą gródek, bo pomimo, że w tym miejscu powała chodnika i ściany podmurowane były kamieniem i wapnem, przecież woda przeciekała przez nie i sączyła się po ścianach, a kropelki jej mieniły się w blasku pochodni. Ale za chwilę wyszli na grunt twardy i mogli przyśpieszyć kroku. Posuwali się cicho, jak mary, bo miękka ziemia tłumiła ich kroki, a w ciszy słychać było tylko ich oddechy i od czasu do czasu pryskanie pochodni.

Nagle w tę ciszę wpadło westchnienie Wasilka:

— Hej, hej, mocny Boże!

— Czegoż tak wzdychacie? — spytał Lisek.

— Bom sobie wspomniał, jak nie tak dawno jeszcze temu w takim oto lochu przykuty, światam bożego przez pół roku nie widział.

— W lochu byliście? Kto was zakuł?

— Litwini, pogańskie syny.

— A bez co?

— Ano, dojechałem im pod Bełzem, a oni chwycili mnie potem, to się i pomścić chcieli.

— No i co? — zaciekawił się Wicherek. — Uciekliście, czy jak?

— Bogać tam uciekać można było! Siedziałem w lochu, łańcuchem do ściany przykuty za nogę, a loch zaparty był drzwiami z pni uczynionymi, tak mocnymi, żeby je taranami bijąc bez cały dzień nie wywalił. Jakoż mogłem się wyrwać i uciec?

— A przecież jesteście tu przy nas?

— Ano jestem. Puściły mnie psubraty sami, bo im król przyobiecał wypuścić im za mnie jakiegoś ich knezia. Oj było mi gorzej w tym lochu, niż kiedy mnie Tatary na arkan chwycili, bom wtedy jeszcze miał nadzieję, że się wyrwę. A w tym ciemnym smrodliwym lochu myślałem, że całkiem skapieję. A i tak, jak mnie puścili, byłem chudy jak trup i długi czas upłynął, nim do swoich sił przyszedłem.

— Macie wy też krzepę w rękach, macie! — zauważył Otek. — Taką belką wielgachną wywijać niczym obuszkiem, nie każdy potrafi.

— Ano silny jestem — przyznał Wasilko.

— Spotkaliście kogoś silniejszego?

— Jeszczem nie spotkał, ale być mogą, czemu nie. Sporo jest takich ludzi, co im się żelazo w rękach kruszy. Choćby i nasz Hrehory.

— Prawda! — przyznał Lisek. — Strasznie on silny.

— Ot i widzicie — nie ja jeden taki osiłek.

— Ale Hrehory — zauważył Wicherek — jest wielki jak góra, przeto i silny być musi. A wy przecież jesteście niżsi ode mnie. Gdzież u was krzepa siedzi?

— W nogach, w rękach i w plecach — odparł ze śmiechem Wasilko. — A powiem ci jeszcze, że najwięcej jej w głowie.

— Nie pojmuję. Rozum przecie to nie siła — zdziwił się Wicherek.

— Sam on wiele zdziałać może — odparł Lisek — a jak ktoś do tego ma krzepę w garści, to świat zawojować potrafi.

— Toście powinni dwaj razem chodzić — zaśmiał się Otek — boś ty chytry a Wicherek silny, a za to niezbyt mądry.

— Cale on nie głupi — bronił przyjaciela Jureczek — jeno niemowny...

— Okazało się, kto głupi — przerwał Wicherek. — Kto sam Koniusze w łapy lazł, ha?

— Nie swarzcie się — upominał Lisek. — Gdyby nie to, nie miałbym ja dzisiaj oćca, a Romiła byłaby niemową.

— To się cieszycie, bojarynku, żeście już nie znajda, ale syn i pan? — spytał Wasilko.

— Co mi tam bojarstwo — rzekł Lisek. — Więcej ja sobie tatula cenię, niż wszystkie skarby siemiatyckie. Wiecie, czasem mi się zdaje, że to wszystko sen, a ja się za chwilę obudzę u Wicherka w domu. Za wielkie to dla mnie szczęście, oj, za wielkie.

— Toście szczęśliwi — westchnął Wasilko. — A mnie oćca Tatary zabiły, a matka na arkanie zbielała. Ot, wola boża!

Rozmawiając tak, szli dość długo, gdy nagle zajaśniał przed nimi mętny odblask światła, padającego z powały na ziemię. Przyspieszywszy kroku, znaleźli się znowu w podobnej jak pod basztą komnacie, która zwężała się ku górze w wąski otwór. Przy jednej ze ścian stała drabina. Wasilko chwycił ją, przystawił do

otworu i wydrapał się pierwszy na wierzch, a za nim chłopcy.

Otwór otoczony był obramowaniem z desek, zupełnie jak u studni i nawet żuraw zwieszał się nad nią. Jednym słowem wyjście z lochu wyglądało jak wyschnięta studnia.

Zaledwie chłopcy stanęli nogą na trawie i poczęli rozglądać się wokoło, doleciał ich nagle rubaszny śmiech i wołanie:

— A wy co? Do studni włazili wodę pić?

Ten śmiech i rubaszne słowa tak oddziałały na oślepłych jeszcze od blasków słońca peregrynantów, że stanęli jak wryci, patrząc w krzaki.

Ale za chwilę rozchyliły się one i spoza nich wyglądnęła spod hełmu jasna i uśmiechnięta twarz, a potem i cała postać rycerza, w którym wszyscy ku najwyższemu zdziwieniu, poznali strażnika Włodka.

ROZDZIAŁ XXVIII

w którym Hrehory sądzi, że Wasilko spił się gorzałką

— Tatulo! Ociec! — wyrwało się razem z ust Wicherka i Liska.

— Dla Boga! Co tu robicie? — dziwił się Włodko, ściskając chłopców. — Na was — zwrócił się do Wasilka — starosta czeka, a wy w studnię łazicie. Skądżeście się tu wzięli?

— Z gródka — rzekł ze śmiechem Wasilko. — A wy skąd?

— Ja z lasu, a idę do gródka.

— Do Siemiaszyca?

— A ino!
— A po co?
— Starosta mnie wysłał. Gościny szuka na gródku, a drużynę waszą chce zabrać ze sobą.
— Starosta... gościny szuka? Na Boga! Gdzież on jest?
— Zatrzymał się w lesie, a mnie wysłał przodem.
— Daleko stąd?
— A nie! Zaraz za pierwszymi drzewami. Obozem legł, bo ludzie pomęczeni przeprawą przez lasy.
— Któż was tu doprowadził?
— Jakiś przewodnik z bojarskiej drużyny z Czurczyna.
— A wy z Czurczyna idziecie?
— Nie!
— I przez groblę nie szliście?
— Nie!
— Tedy nie wiecie, kogo macie przed sobą?
— Kogoż by?
— Litwinów. Cała ich horda, z tysiąc ludzi ciągnie na Siemiatycze. Myśmy już ludzi ściągnęli do gródka i odeprzeć ich gotujemy się.
— Ćmicie? — obruszył się Włodko.
— Prawdę mówię, ale szkoda tracić czasu. Prowadźcie nas do starosty. Matko Najświętsza! Oto ci pomoc! Damy teraz tym pohańcom wnyki, że im w piętach postygnie! Prowadźcie, bo ich co ino nie widać!
Włodko bez słowa zawrócił ku lasowi, a po drodze Wasilko opowiedział mu wszystko, co się na gródku zdarzyło. Poczciwy Włodko cieszył się, ściskał Liska, który z wdzięcznością całował go po rękach, a dziękował mu za wszystko dobre, którego u niego zaznał.

Zaraz przy pierwszych drzewach zobaczyli straż, a dalej i cały obóz starościński. Ludzie leżeli pod drzewami lub jedli, a było ich kilka tysięcy, w porządku chorągwiami rozłożonych. Na wzniesieniu pod rozłożystym dębem siedział samotnie, w srebrzystej zbroi, rycerz tęgi i wysoki i wyciągnąwszy nogi przed siebie, oparł się o drzewo, patrzał w niebo i dumał. Zdjęty z głowy hełm leżał tuż przy nim, a on od czasu do czasu pociągał dłonią po spotniałych, czarnych włosach lub w zadumie rozczesywał palcami długą brodę. Twarz jego blada dziwnie jaśniała wśród tego hebanowego zarostu, a wielkie czarne oczy, zmętniałe od zmęczenia, leniwie błądziły po wierzchołkach drzew. Był to starosta lwowski Abraham z Baranowa.

Do niego wprost skierował się Włodko z towarzyszami. Na widok Wasilka, którego pękatą postać z daleka poznać można było, oczy starosty rozgorzały, a cała twarz pojaśniała. Zerwał się i podszedł mu naprzeciw, wołając z daleka:

— Witaj mi, witaj! Jużem myślał, że cię Litwiny znów porwały. Byłeś w Krakowie?

— Nie — odpowiedział, skłoniwszy się Wasilko.

— Nie? — zdziwił się starosta, a twarz mu zmierzchła. — To i nic z tego.

Ale go Wasilko zaraz pocieszył:

— W Krakowie nie byłem, bo nie było potrzeby. W Sanoku napotkałem Ottona z Pilczy. Wiedzie on dla nas kilkanaście tysięcy Polaków i Węgrów. Wkrótce tu będą.

Starosta wzniósł oczy do góry.

— Dzięki Ci Boże! — zawołał. — Skończy się nasza tułaczka i panowanie pohańców. Otto, mówicie, wie-

dzie posiłki? A jam mu winowaty. Synam mu na zgubę wysyłał.

— O mnie mówicie? — zapytał Otek, który z resztą towarzyszy zatrzymał się w tyle i teraz dopiero postąpił bliżej.

Starosta przymrużył oczy, bo trochę nie dowidzał i twarz pojaśniała mu jeszcze bardziej.

— Tyżeś to, Mieczyku? Gdzieś się zatracił tak długo?

— Wróciłem parę dni temu — odrzekł, całując go w rękę Otek — inom was już na grodzie nie zastał, a matula zatrzymała mnie przy sobie i nie pozwoliła mi was szukać.

— Dobrze, dobrze, wiem i tak, że twoja podróż była daremna.

— Ej, dostojny panie! Nie całkiem ona była i daremną — rzekł Wasilko. — Skorzystał on wiele, a ten jeszcze więcej.

Tu wskazał ręką na Liska.

Starosta spojrzał wesołym okiem po chłopcach, a potem rzekł:

— Chodźmy pod drzewo i tam mi opowiecie o sobie, bo tak miarkuję, że macie wiele do powiedzenia.

— A wy — zwrócił się do Włodka! — zawróćcie do Siemiatycz i proście o gościnę.

— Pozwólcie panie, że wam naprzód opowiemy coś. Potem uznacie, że daremnie posyłalibyście rycerza Włodka do gródka.

— Jakże to? — zdziwił się starosta.

— Posłuchajcie panie!

I przysiadłszy się do starosty opowiedział mu pokrótce o wszystkim, co usłyszał od Hrehora. Starosta

słuchał uważnie, gładził brodę i często rzucał okiem po chłopcach, siedzących nieco na uboczu. Po wysłuchaniu wszystkiego siedział przez chwilę zadumany, głaszcząc swoim zwyczajem brodę, na koniec odezwał się, wstając:

— Wracajcie do gródka i bądźcie spokojni. Tak myślę, że Litwini napadną was dopiero wieczorem. Sporo jeszcze tedy mamy czasu. Otoczym ich tak, że i jedna noga stąd nie ujdzie. Wy ich tylko zajmijcie przy wałach, abyśmy mogli dojść do nich niepostrzeżenie. Gdy wpadniemy od tyłu, otwórzcie bramy i hajda na nich. Ni jedna noga ujść nie powinna. Ni jedna!

Hrehory, niespokojny przedłużającą się nieobecnością Wasilka i chłopców, chodził jak błędny po dziedzińcu i ogrodzie, raz wraz zaglądając do baszty. Kilka razy wychodził na wały i patrzył w kierunku zagajnika, ale chaty siemiatyckie zasłaniały mu widok. Więc zniechęcony schodził z wałów i znowu szedł do baszty. Wreszcie kiedy miał już iść do bojaryna i opowiedzieć mu o wszystkim, ujrzał ich, wychodzących z baszty. Twarze mieli radosne, a Wasilko idący na przedzie podśpiewywał na cały głos:

Cośmy nie widzieli, cośmy nie słyszeli,
Gdyśmy w karczmie byli wczoraj przy niedzieli.

— Ciesz się, stary zabijako! Damy Litwinom bobu, że aż hej!

— Coś ty taki wesoły?

— Starostę widzielim...

— Ihi, do diabła! Gdybym nie wiedział, żeście gorzałki nie mieli przy sobie, myślałbym żeście się popili.

— Chodź do bojaryna, napijemy się razem na dobrą wieść?

To mówiąc chwycił go pod ramię i pociągnął bezwolnego ku domowi.

Wieść, że starosta da im pomoc, poruszyła wszystkich i napełniła serca ich radością. A kiedy dowiedziano się, że siły starosty przewyższają o wiele siły Litwinów, radość była tym większa. Najwięcej cieszyli się chłopi siemiatyccy, pewni będąc, że teraz Litwini nie będą już mieli czasu popalić ich chat, ani potratować pól. Ranny lament zamienił się w okrzyki radości, płacz w hukania i śpiewy.

Przy tym wszystkim nie przestano czuwać. Do odparcia napaści wszystko było przygotowane, broń rozłożona na wale, katapulty naciągnięte, pod pełnymi kotły kipiącej smoły utrzymywano lekki, zasłonięty ogień, aby nie wystygły, a na basztach czuwali strażnicy. Czekano.

Ale dzień miał się ku końcowi, a żadnej wieści o Litwinach nie było. Ksiądz Grzegorz radował się już, że może Litwini, obaczywszy trupy pod Czurczynem, zawrócili. Poczciwy staruszek niechętny był rozlewowi krwi i cieszył się, że może sam nie będzie na to patrzał. Czynił jednak i on przygotowania z niewiastami, warzył maści z różnych ziół, których miał sporo w swoim tłumoczku i przygotowywał płatki płótna —od wszelkiego przypadku — jak mówił.

Ale za wczesna była radość księdza. Słońce jeszcze nie skryło się całkiem za lasami, jeszcze jego czerwone blaski rozpalały łuny na pogodnym niebie, gdy daleko na drodze od grobli wiodącej spostrzeżono samotnego jeźdźca. Pędził co koń wyskoczy i rósł prawie

w oczach, a czerwone blaski zachodzącego słońca odbijały się od hełmu i zbroi. Strażnik na baszcie zagrał trzy razy krótko a donośnie, a na ten głos wszyscy porwali się biec na wały i do bramy. Szczęknął most, zazgrzytały zawiasy u bramy, rozległ się tupot kopyt końskich i na dziedziniec wjechał Dzięciołek. W biegu zeskoczył z konia i podszedł prosto ku gankowi, na którym zebrali się już wszyscy na głos rogu.

— Idą! — rzekł krótko.

— A Słowo ciałem się stało! — zawołał ksiądz, żegnając się.

— Gdzie są? — spytał spokojnie Hrehory.

— Przeszli groblę.

— Siła ich?

— Ponad tysiąc. Koniucha ze swoimi na przedzie.

— We zbroi są?

— Nie! Włócznie mają, rohatyny a miecze, zaś na sobie kożuchy. Tarcze przeważnie skórą obciągnięte.

— Konni?

— Ostawili konie pod lasem.

— Widziałeś ich z bliska?

— Tak jako i was widzę.

— Sami to Litwini?

— Jest i Wołyńców spora kupa, ale więcej Litwinów.

— Tedy idź i wypocznij i niech ci tam jeść dadzą.

Po czym założył hełm na głowę, zdjął z pleców róg i zadął weń. Wnet ze wszystkich stron poczęli ściągać pod ganek druhy i chłopi.

— Zagaście ognie! — rozkazywał. — Jeno ten za basztą ostawić, aby było od czego zapalić beczki ze smołą. Wszyscy na wyznaczone sobie miejsca i broń

do ręki. Czuj duch! nie wystawiać głów zza wałów i nie odzywać się, póki nie dam znaku rogiem. Drużyna wywieść konie na dziedziniec, aby były na podorędziu. Na mój znak wsiadać na koń i bramy otwierać! Nie strachać się, stawać mężnie, a gdy starosta nastąpi, nie ciskać kamieni, aby swoich nie razić. Idźcie!

— Zaczekajcie jeszcze! — zawołał ksiądz. — Niech was pobłogosławię na walkę.

Więc poklękali na dziedzińcu i odkryli głowy, a ksiądz podniósłszy krzyż, który mu zwisał u różańca i kreśląc nim znak zbawienia, mówił głosem drżącym, ale głośno i wyraźnie:

— Benedicat vos, ducat et reducat omnipotens Pater et Filius et Spiritus sanctus, Amen! Idźcie! Bóg z wami!

Za czym rozeszli się w milczeniu i pokładli na wałach, a Hrehory wyszedłszy na basztę, położył się na jej szczycie i już nie spuścił z oka drogi. Bojaryn z chłopcami legli na wale, szepcąc z cicha i przez wyłom patrząc w dal. Lisek leżał tuż przy ojcu i głowę swoją oparł o jego ramię, a jemu, mimo grozy niechybnej walki i zniszczenia, serce zalała fala szczęścia.

Cisza zupełna zaległa wały i dziedziniec, bo nawet konie, stojące pod bramą, jakby w przewidywaniu ważnych chwil nie prychały, ani nie tłukły kopytami o ziemię, jeno strzygły uszyma, oglądając się na wsze strony. Z nieba poczęły schodzić czerwone odblaski słońca i mrok ogarniał świat.

ROZDZIAŁ XXIX

w którym wędrujące ogniki straszą Litwinów

Po dobrej chwili mroczna droga zaczerniła się od ludzi. Daleko jeszcze byli, ale przy dogasającym dniu widać było wyraźnie, jak z zakola drogi, spoza oczeretów wypełzał coraz dłuższy wąż czarny, ruchliwy, pełen połyskujących łusek. Wił się wśród mrocznych traw i oczeretów po jaśniejącym jeszcze szlaku drogi, coraz bliższy, a przez to coraz dłuższy. Część jego ginęła czasem za wyższymi kępkami oczeretów lub w zagłębieniach drogi, aby się potem wychylić bliżej i groźniej łysnąć zbroją.

Wielu czuwających na wałach przeżegnało się nabożnie, szmer westchnienia przeszedł wokoło po ziemi i znowu zapadła cisza. Jeno każdy silniej ujął broń w rękę i ścisnął, nie spuszczając oka z migotliwego węża na drodze. A on wydłużał się coraz bliżej i gdy pierwsze szeregi dochodziły już do polany, szeroko rozłożonej przed gródkiem, ostatnie ginęły w pomroce oczeretów. Na owej polanie poczęli przystawać i zbierać się w pojedyncze gromady, otaczając gródek dokoła. Jedni przystawali tuż przy drodze, inni szli dalej na obydwie strony, opasując gródek, a czynili to w zupełnej ciszy, tak że głos żaden nie dochodził do wałów.

Trwało to przesuwanie się ich dość długo i już noc ciemna ogarnęła wszystko, tylko przy migotliwym blasku gwiazd można było ledwo rozeznać czarną, ruchliwą masę. Wreszcie z tych gromad poczęły wysuwać się pojedyncze postacie i chyłkiem podchodzić pod gródek. Szli skuleni, opuściwszy dzidy ku ziemi, trwożni, tak właśnie, jak pod stado podchodzą głodne

i krwi chciwe wilki. Leżący na ziemi myśleli, że zaraz usłyszą róg Hrehora, wzywający do walki i niektórzy podkurczyli już nogi, aby im łatwiej przyszło zerwać się. Ale Hrehory znaku nie dawał. Wiedział, że Litwini nigdy cicho ani w pojedynkę nie uderzają, ale gromadami całymi gonią ku wałom, krzykiem przeraźliwym strasząc obrońców. Te pojedyncze postacie to wypatrywacze i należało ich nie odstraszać, aby resztę przyciągnąć. Oni rzeczywiście podeszli jeno do fosy, przypatrywali się jej, zanurzali w niej dzidy, patrzyli, zadarłszy głowę do góry po wałach i wreszcie jeden po drugim odeszli, chyłkiem jak przedtem. I znowu ciemna pustka zapadła pomiędzy gródkiem a czarnym pierścieniem pohańców. Chwila oczekiwania przeciągała się w nieskończoność.

— Gałęzie łamią, aby fosę zasypać — szepnął Tatar, leżący przy nogach Liska. — Niedługo uderzą.

Rzeczywiście spod lasu dochodził przygłuszony oddaleniem trzask łamanego drzewa i łoskot toporów.

Hrehory, poznawszy już dobrze zamiary wrogów, zeszedł z baszty i legł przy bojarynie, trzymając w ręku róg.

— Słyszycie, panie — przemówił do Siemiaszyca. — Strasznie oni głupi.

— Bez co tak myślisz?

— Ano, jabym na ich miejscu przeczuwał coś niedobrego, gdybym o tej niepóźnej jeszcze porze takie uśpienie na gródku widział. Myślą, żeśmy pospali i nawet czatów nie mamy w tym czasie, kiedy wróg jest w kraju.

— A co oni tak zwlekają? — spytał niecierpliwie Otek.

— Faszyny robią; będą fosy zasypywać. Drabiny mają, bom widział jak ciągnęli je ze sobą. Zechcą się na wały wedrzeć. Tak miarkuję, że będą cicho iść, a dopiero przed wałami krzyk uczynią.

— Dopuścicie to ich do wałów?

— Jużci... ale nie dalej. Gdy będą we fosie, przyjmiemy ich smołą i strzałami. Kiej się nami zajmą, starosta będzie ich mógł otoczyć, co zresztą z daleka pewnikiem już uczynił.

— A ino! — przyświadczył Tatar.

— Skąd wiesz?

— A bom widział. Daleko w borze wrony raz wraz zrywały się. Widno je ktoś spędzał, a kto jak nie starosta?

— Toś dobrze zmiarkował. Czekajmy tedy, co będzie.

Leżeli dalej w milczeniu, wpatrzeni w ciemność.

Po dobrej chwili z dalekich ciemności poczęły powoli wysuwać się gromady ludzi i czarną ławą zbliżać ku fosie. Szli cicho, tak że tylko stłumiony murawą tupot nóg dochodził do leżących na wałach ludzi. Czasem dźwięk uderzonej broni doleciał ich, lub głuchy stukot upadającego na ziemię drzewa. Patrzącym na ów pochód poszczególnych gromad ludzi wydawało się, jakby z puszczy oderwały się kępy leśne o wysokich trzęsących się gałęziach, bowiem Litwini, nałamawszy gałęzi i co mniejszych drzew, nieśli je nad głowami, postępując w zbitej ciżbie. Za tymi pojedynczymi grupami ludzi posuwał się w znacznej za nimi odległości pierścień ludzki zbity i w miarę zbliżania się do wałów, coraz grubszy.

Ludziom, patrzącym z wałów na tę złowrogą a tak

szybko zbliżającą się nawałę pogaństwa, serca mocniej biły, a palce omal nie spłaszczyły się na drzewcach włóczni i toporów. Niektórzy na pół powstali, gotowi do skoku, inni wepchnęli już czerpaki w kotły, pełne roztopionej smoły, a jeszcze inni, a zwłaszcza chłopi siemiatyccy, którzy z wojną nigdy nie mieli do czynienia, żegnali się nabożnie i szeptali modlitwy.

Wicherek, leżący dotąd spokojnie przy Jureczku, podpełznął teraz do piętrzącej się przy najbliższej katapulcie kupie kamieni, powstał, uchwycił spory głaz i pochyliwszy się począł go zwolna a cicho toczyć ku zrębowi wału. Przytoczywszy go obok Juraszka przytrzymał rękami, aby przedwcześnie nie zleciał i szepnął zajadle:

— Miarkuję, że toporem głów im nie porozbijam, bo się na wały nie wedrą. Niechże bodaj tym głazem zgaszę kilku, a wraz mi lżej będzie.

— Cichaj, bo cię jeszcze posłyszą! — szepnął Juraszek.

— Bogać tam posłyszą. Sami szelest czynią gałęźmi, bo aż tu dochodzi, zaśby tam słyszeć mieli co my szeptamy... Ale dy... spojrzyj, jak się naszemu Tatarzynowi oczyska świecą, kiejby żbikowi.

— Mścić się będzie — szepnął Jurek.

— Na kim?

— Na Koniusze. Sam mi mówił, że go wśród tysiąca znajdzie i strzałą ubije. Bardzo on jest na niego zawzięty.

— Za swoją mękę?

— I za swoją i za Liskową. Albo to nie wiesz, jak go miłuje?

— Słusznie. Gdyby nie Lisek, skapiałby on u Hawryszka w chacie... Cyt... Hrehory róg do ust przyłożył.

Za wałami rozległ się nagle donośny tupot nóg. Pierwsze gromady, niosące gałęzie biegiem teraz dotarły do fosy i poczęły rzucać w nią faszyny i przerzucać całe pnie drzew przez rów. Zakotłowała się woda dookoła wałów, a w tej chwili ponuro zahuczał róg Hrehora.

Na to hasło niesamowite wycie rozległo się z wałów, a odpowiedział mu na dole ryk strachu, zdziwienia i wściekłości. Przyłożono pochodnie do smolnych beczek i w jednej chwili całe wały zajaśniały czerwonym blaskiem, oświetlając szeroko i daleko stłoczone nad fosą szeregi Litwinów.

Oni w pierwszej chwili stanęli nad fosą, niepewni co czynić, ale wnet ochłonąwszy z okropnym wrzaskiem rzucili się w fosę, miejscami zupełnie zarzuconą gałęźmi, ciągnąc za sobą drabiny, to tonąc w powodzi liści, to znów gramoląc się na wierzch.

Aliści nie zdołali jeszcze dobrnąć do środka fosy, gdy z wałów spadł na nich grad strzał i kamieni. Rozległ się nieludzki krzyk ranionych i miażdżonych napastników. Inni jednak nie zatrzymywali się, lecz brnęli dalej, a ci, którzy pozostali po drugiej stronie fosy, poczęli szyć strzałami na wały, nie czyniąc jednak krzywdy obrońcom, dobrze osłoniętym wystającą palisadą. Mimo wielkich strat Litwini parli naprzód i coraz nowe ich gromady, popychając się i wygrażając, wskakiwały do fosy, drąc się po gałęziach i gęstych już trupach ludzkich ku wałom. Z wałów zaś leciał nieustanny grad kamieni i strzał i cała fosa pokryta już była gęstym trupem, bo w tej ciżbie ani jedna pra-

wie strzała nie chybiała, ani jednego głazu nie strącano nadaremnie.

Mimo to kilkunastu Litwinom udało się przebrnąć fosę i dobiegłszy do wałów, poczęli opierać o nie drabiny i piąć się w górę. Za nimi inni wydobywali się z rowu i biegli do drabin, podpierając je, lub tych, którzy po niej leźli. Z wałów z niesamowitym sykiem, roznosząc smrodliwą, duszącą woń, poczęła chlustać na nich wrząca smoła, a głazy zrzucane ze zrębów palisady druzgotały drabiny i zrzucały z nich ludzi, którzy rozkładając ręce lecieli w dół z wrzaskiem, wprost na głowy stojących na dole napastników. Inni z obrońców, porwawszy drągi, opierali je o wystające nad palisadą szczeble drabin i pchali je w tył, przewracając i zrzucając ludzi do rowu, wypełnionego już nie wodą, lecz drgającymi na gałęziach ciałami.

I chłopcy zapamiętali się w walce, strzelając nieustannie i lejąc war na głowy napastników, a Wicherek dźwigał ogromne głazy i puszczał je w dół, hukając z uciechy, zziajany, upojony walką, wprost nieprzytomny. Hrehory prawie że nie brał udziału w walce, tak jak i bojaryn. Obaj biegali wzdłuż wałów, zachęcając okrzykami do wytrwałości i pchając nowe gromadki obrońców na miejsca bardziej zagrożone.

Najcięższy bój wrzał przy bramie. Napastnicy przebrnąwszy w tym miejscu fosę, rozbili toporami łańcuchy, przytrzymujące most, który z ogromnym hukiem spadł na fosę wśród niesamowitego ryku radości napastników. Całe gromady ich przechodziły teraz przez most, waląc taranami w bramę i kładąc się gęstym trupem u jej progów. Szczególnie z baszty nad bramą nieustannie lał się potok smoły i wrzącej wody,

a z wysuniętych wyczółków deszcz strzał przerzedzał oblęgających.

Z obrońców mało kto ginął, a cięższej rannych zabierano zaraz na środek dziedzińca, skąd go kobiety przenosiły do dworu i oddawały w ręce księdza Grzegorza, lamentującego nad wylewaną krwią. Ale niektórych siły poczynały opuszczać z nadmiernego wysiłku, więc wycofywali się na dziedziniec i ległszy na ziemi, oddychali ciężko, aby po krótkim odpoczynku biec znowu na wały.

Bici, ranieni i zrzucani z drabin napastnicy dali wreszcie za wygraną i z wrzaskiem cofnęli się za fosę, niknąc w ciemnościach. Obrońcy mogli odetchnąć. Gdzie który stał, padał na ziemię, ocierając spoconą głowę i sapiąc ze zmęczenia. Niektórzy, mniej świadomi wojny, poczęli schodzić z wałów i składać broń na dziedzińcu. Ale ich powstrzymał Hrehory, wołając:

— A wy co? Rozum postradali? Cni się wam za chałupą? Myślicie, że nas Litwini już całkiem poniechali? Ruszaj mi jeden z drugim na wały i czuj duch! Zaraz ich znowu pod wałami obaczycie, nie bójcie się!

Ale czas mijał, a napastnicy nie wracali. Czyżby rzeczywiście porzucili gródek? Daleko za fosą nic zobaczyć nie można było, bowiem poza kręgiem świetlanym rozchodzącym się z wałów panowała ciemność nieprzebita. Z dala słychać było wprawdzie gwar ludzkich głosów, który to zdawał się być donioślejszy, to znów milknął zupełnie, ale odgłosy te tłumiły jęki i wrzaski rannych ludzi pod wałami i w fosie.

Zasłuchany w ten daleki gwar stał bojaryn z Hrehorym i chłopcami, otoczeni gromadką druhów.

— Co w tym jest? — mruczał niespokojnie Hrehory. — Czyżby nas mieli poniechać naprawdę?

— I czemu starosta na nich nie uderza? — dziwił się Lisek. — Miał rzucić się na nich, jak tylko do wałów ruszą, a dotąd znaku życia nie daje.

— A nad czym to radzicie? — odezwał się głos Wasilka i pękata jego postać zbliżyła się do gromadki.

— Dziwno nam — rzekł bojaryn — że pohańcy odstąpili od gródka i znaku o sobie nie dają.

— Dziwno wam? A mnie nie.

— No?

— Oni nas nie poniechali i obaczycie zaraz, że nam jeszcze zechcą zalać sadła za skórę.

— Napadną nas znowu?

— Jużci, jeno nie z taranami, a z ogniem.

— Ćmisz?

— A tak! Obyczajem tatarskim zechcą nas spalić. Obaczycie to zaraz. I dlategobym wam radził, byście płonące beczki pogasili, aby im celu nie dawać.

— A cóż oni teraz robią?

— Myślę, że kręcą pakuły, aby je, zapaliwszy w przód, na nas puścić.

— Tak w ciemności kręcą?

— Ciemno tam bardzo nie jest, jeno nam się tak wydaje, bośmy w jasności. Pogaście beczki, obaczycie że prawdę gadam.

— Hej tam! — krzyknął Hrehory — pogasić beczki!

Wnet przykryto beczki i kotły żelaznymi pokrywami, gasząc je natychmiast. Na dziedzińcu zapanowała ciemność, jeno z dolnych okien dworu szedł odblask ognia. Po chwili, gdy oko przyzwyczaiło się do ciemności, okazało się, że Wasilko prawdę mówił.

Wprawdzie nikt wrogów ujrzeć nie mógł, ale wokół nich nie było całkiem ciemno.

Nagle z oddali pod lasem za Siemiatyczami pojawiło się kilka światełek. Światełka te migały, czasem gasły, to znów pojawiały się w innych miejscach; zdawały się zbliżać, to znów oddalać. Wreszcie skupiły się razem tuż przy ostatnich domach wsi i po chwili blask ich począł rosnąć, rozpościerać się, aż wreszcie ze środka tych światełek buchnął płomień wysoko w górę. W kręgu światła zamajaczyły w oddali za wałami niewidoczne dotąd w ciemnościach gromady Litwinów. Stali niepewni, patrząc na wysoko w górę buchający płomień, a potem pojedyncze postacie poczęły odrywać się od gromad i dążyć ku światłu. Ale nie zdołali przejść jeszcze i stu kroków, gdy wokoło gródka, za pierścieniem Litwinów rozległy się ponuro rogi i krzyk straszny targnął powietrzem. Odpowiedział mu wrzask przerażonych Litwinów. Poza nimi wyrosły jakby spod ziemi gromady jeźdźców i jeszcze nie przebrzmiał ich straszny krzyk, a już poczuli parcie końskich piersi i straszliwy łomot mieczów i toporów.

— Zapalcie beczki! — huknął Hrehory. — Starosta Litwinów pierze.

Wnet wały zajaśniały płomieniem i przy jego świetle widać było straszliwą rzeź Litwinów. Całe ich gromady, gonione przez jeźdźców, uciekały ku wałom, na oślep przed siebie goniąc i wyjąc i kładąc się trupem gęstym na polu.

— Hej druhy! Na koń! — krzyknął Hrehory. — Bramy otworzyć! Wyjedzięm tym pohańcom naprzeciw! Z wałów nie strzelać, aby swoich nie razić. Hajda, hajda!

Zakotłowało się na środku dziedzińca, szczęknęła brama i z wrzaskiem przeraźliwym wyskoczyła drużyna bojarska na błonie.

Tymczasem Litwini otoczeni ze wszystkich stron, parci ku wałom, porzucali broń i ukląkłszy na ziemi, wznosili ręce do góry, prosząc o zmiłowanie.

Nim ranek zaświtał, z całej ich watahy jedni spoczywali snem wiecznym na krwią zlanej murawie, inni jęczeli, a większość z powiązanymi rękami stała pod wałem, otoczona bojarską drużyną i chłopami.

ROZDZIAŁ XXX

w którym kończy się opowiadanie tak, jak się skończyć musiało, a nie jakby sobie mogli wszyscy życzyć

Myślał bojaryn, że starosta uporawszy się z Litwinami zagości do dworu i już kazał poczynić przygotowania do przyjęcia. Ale stało się inaczej. Od jeńców wypytywanych przez Wasilka dowiedziano się, że równocześnie z ich wyjściem na wyprawę siemiatycką, Lubart z całą potęgą wyruszył na Lwów. Zasępił się na tę wiadomość starosta i nie tracąc chwili czasu, począł zbierać chorągwie i ustawiać je do pochodu. Otek, Wicherek i Juraszek, ten ostatni za pozwoleniem stryjka, przyłączyli się do niego i pożegnawszy się ze wszystkimi, stanęli przy Włodku konni i zbrojni.

Tymczasem siemiatyccy i czurczynieccy chłopi zajęli się oczyszczeniem pola z trupów. Pod lasem wykopano olbrzymi dół, do którego znoszono zabitych i przysypywano ziemią, a rannych zwlekano pod

bramę, gdzie ich ksiądz z niewiastami opatrywał, modląc się i biadając.

Pomiędzy ranionymi znaleziono też i Koniuchę. Zbój leżał pod wałem ze straszliwie poparzoną twarzą. Dawno wyłupione oko zalane było zaschniętą smołą, a jedyne, dotąd widzące, wypłynęło na wierzch, brocząc krwią. Przytomny był, bo klął spoza zaciśniętych warg i wierzgał nogami, ale świata bożego już nigdy nie miał zobaczyć. Druhy zobaczywszy go, chcieli dobić, a najwięcej odgrażał się Tatarzyn, ale ksiądz nie pozwolił.

— Niechajcie go! — zawołał. — Już on nikomu nie groźny. Bóg go nie zabił i wam tego nielża czynić. Na pokutę mu widać życie darowano; nie przeciwcie się Bogu.

To mówiąc, pochylił się nad nieszczęśnikiem, aby go opatrzyć.

Bojaryn zeszedł również na pole, aby przynajmniej podziękować staroście za pomoc, jeśli go przyjąć u siebie nie mógł. Dziękował mu też gorąco i zapraszał choć na chwilę do dworu, ale starosta, strapiony wieściami o wyprawie Lubarta wymawiał się:

— Rada by dusza do raju, bojarynie, ale nielża mi wypoczywać, kiej gród mój zagrożony. Boję się, czy go jeszcze całym zastanę, a sił nie mam na tyle, aby się z Lubartem rozprawić. Wyruszam w tej chwili; może się nam uda jeszcze nieszczęście odwrócić. Dałby Bóg, aby Otto nadciągnął jak najprędzej, bo z tymi chorągwiami, co mam, jeno Lubarta szarpać mogę, ale go pobić nie mogę. Was proszę, abyście owych wziętych Litwinów zatrzymali u siebie, bo mi nijak ciągnąć się z nimi.

— Pewnie! Rozeszlę ich po swoich gródkach, a gdy każecie, zwrócę wam wszystkich do grodu. Gdy zaś zaproszenia mego nie przyjmujecie, jedźcie z Bogiem! Niech wam Bóg pomaga!

— Ostawajcie z Bogiem!

Skoczył na podanego sobie konia i wysunąwszy się na czoło jednej chorągwi ruszył ku grobli, a za nim jedna chorągiew za drugą.

Rycerz Włodko z chłopakami, znającymi dobrze drogę, wyforowali się za pozwoleniem starosty naprzód, służąc wojsku za przewodników. Jechali początkowo w milczeniu i dopiero na grobli pod wpływem wspomnień niedawno przeżytych chwil rozwiązały się im języki.

— Tu się zbóje potopili — odezwał się Otek.

— Bagna tu są straszeczne — rzekł rozglądając się Włodko. — Dziwi mnie, jak oni głupcy odważyli się schodzić w nie.

— Ciemno było, a zresztą cóż im innego pozostawało?

— Niechby się byli zdali.

— Aby na stryk pójść?

— Byłby ich bojaryn puścił, jako i tamtych.

— Byłby ich może i puścił, ale oni przewidzieć tego nie mogli.

— Dlatego też i potopili się. Ale wam to wszystkim na dobre wyszło, a najwięcej Liskowi. Mnie się jeszcze wierzyć nie chce, aby on panem był i bojarskim synem.

— A ten bojarskim zięciem — dodał śmiejąc się Wicherek i wskazał na Otka, który zaczerwienił się mocno.

— Jak prawisz? — zdziwił się Włodko.

— Nie słuchajcie go! — wymawiał się Otek. — Ślubowałem Romile, ale gdzie mnie tam do niej.

— Nie strachaj się — pocieszał go Jurek. — Kiej Romiła ciebie zechce, bojaryn przeciwić się nie będzie. Nawidzi on ciebie bardzo, a dońce niczego odmówić by nie mógł. A tak miarkuję, że ona nawidzi ciebie nie mniej, niż ty ją, bo się jej oczy do ciebie świecą, nikiej gwiazdy.

— Mówiła ci co?

— Ej nie! Ale i bez mówienia widać.

— Daleko mi tam jeszcze do tego, w przód pasa dosłużyć się muszę.

— Wojna jest — rzekł Włodko — to i o pas nietrudno. Byleby jeno posiłków się doczekać, to i bitki będą większe i odznaczyć się łatwiej.

— Oj, to, to! Byle tatulo prędko nadciągnęli, bo mi już skuczno za nimi.

— Da Bóg, wszystko dobrze będzie. Wyżeniem pohańców i może już raz odetchniemy spokojnie. Tak mi się widzi, że ostatnia to już napaść Lubarta. Odwrócili się odeń bojary, spokoju przy królu pragnący, Kiejstut zajęty Krzyżakami pomocy mu nie da, a sam on królowi nie zdzierży. Byle jeno Otto w czas nadążył, skończą się Lubartowe rządy a nastaną królewskie. Mądry to król nasz Kazimierz, hej i jak mądry. Dwadzieścia ledwie lat na tronie siedzi, a ninie już by nikt Polski nie poznał. Siła on już wsi postawił, grodów pobudował, tego by nikt nie zliczył. Mówią pono, że i nam gród odbudować chce, jeno nie na tym miejscu, gdzie dzisiaj stoi. To mu się nie podoba.

— A bez co?

— Ano, powiada, że pod górą samą przyczepiony,

nie ma się kędy rozrastać. Zrobi on, co zechce; małoż to wszędy miejsca? Zobaczycie, jakie tu będzie szczęście, spokój i dostatek.

— Ja nie obaczę — rzekł nagle Wicherek.

Włodko zwrócił na niego swe wyłupiaste, niebieskie oczy i spytał:

— Jak prawisz? Nie obaczysz? I dlaczego?

— Bo kiej się jeno wojna skończy, w świat pójdę, rycerskich przygód szukać.

— Znalazłbyś je i tutaj dosyć. Nie brak przygód tam, gdzie pod bokiem Tatarzyn siedzi.

— A ja taki pójdę!

— A to sobie pójdziesz. Wzbraniać ci nie będę, bom sam z takiego wyrósł. Ale jak to Marychnę samą ostawisz?

— Tacyście chytrzy, a nie wyrozumieliście jeszcze, że Marychna ni wam, ni mnie zastępować nie będzie. Zaopiekuje się nią Lisek, nie bójcie się! On bez niej i tak żyć nie może... A ja taki w świat pójdę! — dokończył.

— To sobie idź! — mruknął Włodko.

Minąwszy groblę wjechali w puszczę zieloną, pachnącą rannym wiosennym zapachem zroszonych liści i ziół, rozświegotaną tysiącami ptactwa. Gorące promienie słońca, przeświecające przez konary drzew, odbijały się od zbroi jeźdźców, rozpalały światła na szyszakach, że od tych blasków pojaśniała mroczna puszcza. Rycerz Włodko z chłopcami zatrzymał się nieco, aby poczekać na chorągwie i już teraz połączeni razem przedzierali się gęstwiną krzewów, omijając ostrożnie bagienka leśne i kłody na pół spróchniałych od starości drzew. Te przeszkody nie pozwalały im

tak szybko jechać, jakby sobie życzył starosta, którego niepokój o całość grodu wzrastał z godziny na godzinę.

Wreszcie dobili do traktu chełmskiego, gdy słońce prawie zenitu dochodziło. Starosta wstrzymał wojsko na krótki odpoczynek, bo konie pomęczyły się srodze przejściem przez las, a potem ruszono już szybciej dalej. Chłopcy ze strażnikiem znowu wysunęli się naprzód, pilnie obserwując kraje puszczy i zapuszczając oczy w dal. Ale oprócz zwyczajnego rozgwaru leśnego, żadnych ludzkich głosów słychać nie było.

Dopiero gdy droga wyprowadziła ich z puszczy i wyjechali na otwarte pole, z rzadka tylko porosłe krzakami, strażnik wstrzymał konia i począł gwałtownie wciągać nosem powietrze.

— Dym czuć! — rzekł po chwili.

— Może gdzie Litwiny blisko ognie palą — zauważył Otek.

— Kiejby palili, tobyśmy ich widzieli. Przecież wszystko widać stąd jak na dłoni. Chyba że w lesie, poza nami palą, ale i to nie, bo wiatr od pól wieje, a nie od lasu.

— Może wam się tylko tak wydaje — mruknął Wicherek.

— Pociągnijcie nosem!... Jak miarkujecie?

— Nic nie czuję — rzekł Otek.

— I ja nic.

— No to jedźmy dalej. Musić wydawało mi się.

Pobudzili konie ostrogami i jechali dalej piaszczystą drogą, wijącą się wśród łąk i rzadkich krzaków. Przed nimi daleko na jasnym tle nieba odcinał się wał górski zalesiony, z jedną stożkowatą górą, wyrastającą z niego i jaśniejącą wśród czarnej smugi lasów. Aż do

tego wału cała okolica była otwartą równiną, na której gdzieniegdzie srebrzyły się do słońca tafle stawów. Od tych łąk i dalekich lasów powiewał łagodny wiatr, chłodząc pod szyszakami spotniałe czoła rycerzy.

Nagle Włodko wstrzymał znowu konia.

— Gadajcie, co chcecie — rzekł ja czuję dym i to nie tyle dym, co spaleniznę. Tak całkiem, jakby coś gorzało.

Chłopcy nastawili twarze pod wiatr i po chwili odezwał się Jurek:

— Prawdę mówicie, panie! I ja czuję spaleniznę.

Stali chwilę w milczeniu, wciągając powietrze, a tymczasem przybliżył się do nich starosta.

— Co się stało? — zawołał. — Obaczyliście co?

— Obaczyć, tośmy nic nie obaczyli, ale czuć jakoby dym w powietrzu.

Starosta pociągnął nosem i wpatrzył się wdal.

— Jużci — przytwierdził. — Wiatr niesie spaleniznę. Cóż by to gorzało?

To mówiąc przysłonił oczy ręką i wpatrzył się przed siebie. Nagle zbladł i wyciągając rękę w kierunku lesistych wzgórz — zawołał:

— Stamtąd wiatr idzie, na Boga! Czyżby gród gorzał? Wołajcie mi tu Wasilka.

— Wasilko! Osiłek! Migiem do pana starosty! — poszło wołanie po chorągwiach.

Spoza szeregów rycerskich wysunęła się postać Wasilka i w kilku skokach stanął przy staroście.

— Kiedyś ty był w grodzie? — spytał starosta.

— Dwa dni temu rankiem.

— I gród był cały?

— A ino. Jeno pusty, bom żywej duszy nie widział.

— Weźmij dwudziestu ludzi i pędź do grodu. Obacz, jak tam wygląda i wracaj zdać sprawę. Jeno migiem!

Wasilko skoczył pomiędzy chorągwie i za chwilę gromadka ludzi pocwałowała naprzód, niknąc to wychylając się spomiędzy krzaków, aby się wreszcie rozpłynąć w promieniach słonecznych.

Starosta stał jeszcze, śledząc wzrokiem znikający oddziałek, a potem skinął ręką i rzekł krótko:

— Ruszajmy!

Im bliżej byli wzgórz, tym żywiej dolatywała ich woń spalenizny, a wiatr począł przynosić ze sobą czarne nitki perzu i osadzać je na piaskach i trawie. Nie było wątpliwości. Musiało gdzieś blisko zgorzeć jakieś osiedle i to niedawno, skoro wiatr tyle perzu nanosił, że im dalej posuwali się, tym ciemniejszy stawał się piasek na drodze.

Wreszcie gdy już prawie docierali do podnóża lesistych wzgórz, zobaczyli powracającego Wasilka z towarzyszami. Starosta wypuścił konia naprzeciw i już z daleka wołał:

— A co, Litwini są?

— Nie masz Litwinów — rzekł Wasilko, wstrzymując gwałtem konia — ale i grodu nie masz. Widno spalili go pogańscy synowie i odciągnęli dalej, bo żywej duszy tam nie ma.

Starosta długo stał z opuszczoną głową i namarszczoną brwią, wreszcie westchnął ciężko i rzekł:

— Czyniłem, co mogłem, aby im przeszkodzić. Taka widać była wola boża. Jedźmy obaczyć pogorzelisko.

Miało się już pod wieczór, gdy wjechali w dolinę Pełtwi, skąd roztoczył się przed nimi widok spalonego

grodu. Na tarasach zamkowej góry i na dolinie wokoło czerniły się przepalone belki i rumowiska, z których miejscami jeszcze wydobywał się dym ciężki, czarny, rozdzierany przez wiatr. Z całego grodu nie pozostał ni jeden dom, ni jedna cerkiew kopulastą wieżą nie pięła się w górę. Tylko po drugiej stronie góry wśród rumowisk i zgliszczy wysterczały opalone ściany i wieżyczka murowanego kościółka Najświętszej Panny Marii Śnieżnej.

On jeden ocalał z pożogi, jak gdyby stać się miał zadatkiem nowej, lepszej przyszłości.

ZAKOŃCZENIE

Doczekał się starosta posiłków, a pod jesień i samego króla. I stało się tak jak przewidywał Włodko: skończyły się rządy Lubarta, a zaczęły królewskie. W trzy lata później nową wyprawę przedsięwziął Kazimierz Wielki, jeno już nie na Czerwieńskie Grody, ale na Wołyń, aby i stamtąd Lubarta wyforować. Brali w niej udział wszyscy nasi bohaterowie i powrócili z niej przepasani pasem rycerskim, pełni pochwał starościńskich i królewskich.

I wytyczył król nowe miejsce na gród u stóp stożkowej góry, którą ubrał w koronę murów i postawił ją jako strażnicę nad spoczywającym pod nią miastem. A ono otoczone wałem i murami, opasane Pełtwią poczynało złocić się w słońcu wieżami kościołów i cerkwi i tętnić nowym życiem. Przestało już być tylko grodem drużyny książęcej, a stało się miastem królewskim, związanym ze swą Macierzą węzłem nierozerwalnym i na wieki trwałym.

Więc kiedy uciszyły się burze wojenne i pożogi i nastał względny spokój — całkowitego spokoju nigdy nie miała ta ziemia, jak długo o jej granice odbijała się fala tatarska — szczęk miecza zastąpił huk siekier i kielni. Na środku wytyczonego przez króla rynku wzniosły się drewniane ściany ratusza, symbolu wolnego miasta, królewskiej tylko władzy podległego, a wieża jego wysoko wyglądnęła ponad pagórki otaczające miasto. Na nim zasiedli rajcy ze swoim burmistrzem i ławnicy z wójtem. Pierwsi, aby miastem rządzić i wzbić w potęgę, drudzy, aby wytępić z niego wszystko złe. Dał król miastu samorząd, dozwolił się rządzić swoimi prawami, dał mu też i środki potrzebne do tego. Wyposażył je hojnie w ziemię, darując 70 łanów ziemi wokoło miasta leżącej, dozwolił pobierać opłaty na opędzenie wydatków, wzbogacił je przywilejami handlowymi. A jak to zwykle bywa, że tam gdzie się dobrze dzieje, tam i o gości nie trudno, ze wszystkich stron świata poczęli dążyć do tego miasta i na tę ziemię przybysze, aby się w niej osiedlić, wzbogacić ją i siebie, zaludnić. I niezadługo rynek lwowski rozebrzmiał gwarem różnej mowy, upstrzył się strojem różnych ludów. Ziemia pustkami dawniej stojąca albo bagnistym lasem porosła, wyzłociła się łanami falującego zboża, pokryła stadami bydła. Drogami, które król zapobiegliwy a mądry bić kazał, szły karawany kupców w dalekie kraje na wschód i zachód, a sława lwowskiego kupiectwa odbiła się echem od murów Kilii do modrych wód Wenecji... Tak to potężna a mądra polityka Kazimierza Wielkiego osiągnęła cel, do którego dążyły niegdyś zabiegi Bolesławów: odebrać ziemie wydarte niegdyś Mieszkowi I. Słusznie też późniejszy

dziejopisarz lwowski rozpływa się w pochwałach króla Kazimierza: „Jako przez Kazimierza — powiada — żyją lwowianie, tak też przez lwowian niech żyje Kazimierz“.

Przebywał też Kazimierz Wielki często w tym mieście, które zbudował i wzbogacił. A ile razy wieść o jego przyjeździe dotarła do miasta, wzbudzała radość niesłychaną. Przystrajano bramy, materiami ubierano wieżę ratuszową, a ludność pospołu z rajcami szła z miasta daleko naprzeciw króla, aby go z czcią i serdeczną miłością przywieść do swoich pieleszy. Kazimierz kochał Lwów. Ten król, co „jakby drugi Salomon swym trudem miasta uczynił wspaniałymi, zamki w nich tudzież domy zmurował“, ten król dziwnie miękkie serce miał dla Lwowa. Może swoim genialnym rozumem przewidywał, że miasto to kiedyś przyjmie na siebie wszystkie troski Rzeczypospolitej, że stanie się Jej tarczą przed zalewem półksiężyca i przykładem bezwzględnej wierności.

A ono rosło i potężniało i na jego wzrost patrzały oczy wszystkich bohaterów naszego opowiadania, których życie związało się z nim na zawsze. W kilka lat po opisanych wypadkach w kościółku N. P. Marii siwiuteńki ojciec Grzegorz błogosławił dwom parom nowożeńców. U stóp oświeconego ołtarza klęczeli z jednej strony Lisek z Marychną, z drugiej Otek z Romiłą. Jasność szła od złotogłowiu, w który byli przybrani, a większa jeszcze od ich cichych, rozmodlonych twarzy. Za nimi siedzieli lub klęczeli ci wszyscy, dla których te dwie pary były całym szczęściem i radością życia. Chylił tam głowę bojaryn rozmodlony i z głębi serca dziękujący Bogu za szczęście, trząsł się ze wzru-

szenia Hrehory, a nawet po twarzy zwykle niewzruszonej Wicherka spływały łzy.

A na stopniach, wiodących do drzwi kościelnych, cóż to za żebrak z okropnie zeszpeconą twarzą i z pustymi oczodołami wyciąga rękę po jałmużnę? Postacią i twarzą przypomina dawnego zbója Koniuchę, ale na ustach jego zamiast dawnych przekleństw, przewija się teraz cichy szept modlitwy.

— Ręka boska dotknęła go ciężko — mówią niektórzy.

A mnie się zdaje, że właśnie wydźwignął go Bóg z nieszczęścia większego niż to, w jakim pozostawał niegdyś bojaryn: wydźwignął go bowiem z odmętów grzechu i nieprawości.

KONIEC